

CÓRKA CIENI

SIEDEM
SZMACIANYCH
DAT

EWA CIELESZ



CÓRKA CIENI

SIEDEM
SZMACIANYCH
DAT

EWA CIELESZ



Copyright © 2016 by Ewa Cieleisz

Copyright for this edition © 2016 by Axis Mundi

REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski

SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN OPRAWA BR: 978-83-64980-05-3

EAN OPRAWA BR: 9788364980053

ISBN E-BOOK: 978-83-64980-21-3

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ: Marcin Kapusta

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25



1

Zapadał zmierzch, a oni wciąż kręcili się w miejscu, nie mogąc znaleźć właściwej drogi. Plecaki ciążyły, zmęczone nogi odmawiały posłuszeństwa. Szli w milczeniu, słychać było tylko trzask gniecionych butami gałęzi i ciężkie oddechy.

Czterech studentów historii po zaliczeniu ostatniego egzaminu postanowiło nabrać sił w miejscu, gdzie cisza i świeże powietrze zregenerują nadwyrężone organizmy.

– Po cholere włąziliśmy w ten las? – odezwał się Maks, przystanął i napił się wody z manierki. Była ciepła i nie gasiła pragnienia.

Adam milczał. Nie zamierzał tracić energii na wdawanie się w dyskusję. Wszyscy słyszeli, jakie wskazówki dał im napotkany bieszczadzki góral, chłop posepny i zwalisty, jak ta góra za jego plecami. Stał, myślał, w końcu powolnym ruchem podniósł rękę i wskazując palcem kierunek, powiedział: – Tam. Do lasu dojdziecie i przetniecie kawałek blisko brzegu. Dalej droga zaprowadzi. Ale to daleko. Jakies dziesięć kilometrów, może więcej.

– Po cholere? – powtórzył Maks. – Mieliliśmy przy brzegu iść, do drogi. A tymczasem jesteśmy w samym środku lasu. – Skrzywił się i schował manierkę.

– Do kogo właściwie masz pretensję? – zapytał poirytowany Jerzy. Palnął się otwartą dłonią w czoło, a potem dokładnie obejrzał uśmierconego komara. – Wszyscy weszliśmy. Nikt nie protestował, tylko każdy laźł. A teraz noc nas tu zastanie. I zeżrą komary.

– Mogliśmy zatrzymać się w miasteczku. Wypalibyśmy się i ruszyli rano – wysapał Wojtek.

– Trzeba było tak mówić, jak tam byliśmy, a nie teraz – burknął Maks i spojrzał na kolegów spode łba – Adam, powiedz coś!

– Moje gadanie niczego nie zmieni. Wystarczy wasze.

– Marzy mi się ciepły śpiwór w namiocie i materac pod tyłkiem – westchnął tęsknie Jerzy.

– Najpierw musisz sobie ten namiot rozbić – odpowiedział mu Maks i uśmiechnął się zjadliwie.

Szli gęsiego, przedzierając się przez zarośla. Gałęzie czepiały się plecaków, drapały twarze. Adam szedł jako ostatni. I mimo zmęczenia nic nie było w stanie zakłócić radości, że jest tu wreszcie, stawia nogę za nogą po śladach Bojków,

górali bieszczadzkich, intrygujących go od dawna. Cieszył się też, że udało mu się namówić kolegów, tak samo jak on zafascynowanych historią, badających świadectwa przeszłości, problemy wywołujące kontrowersje. A losy Bojków były dramatyczne. Przybyli tu w XV wieku, karczowali lasy, by zdobyć miejsce dla siebie, uprawiali pola, hodowali bydło, borykali się z biedą, bywało, że i z głodem, zwłaszcza na przednówku, gdy zapasy się kończyły i trzeba było rwać zielsko, by wypełnić brzuchy. W 1947 roku zostawili wszystko, bo zostali wysiedleni na Ziemię Odzyskaną w czasie akcji „Wisła”. Potem nigdy nie wrócili do opuszczonych wsi, nie zasiedlili ponownie domów, pozostawionych na zniszczenie. Nie ma tu już bojkowskich wsi. W niektórych z nich osiedlili się Polacy. Długo na tych terenach ziemia leżała odłogiem. Dopiero w latach pięćdziesiątych zapadła decyzja, by zasadzić tu lasy, bo nie było innych możliwości zagospodarowania tych terenów. Dziś doliną górnego Sanu zawładnęła przyroda. Z wysokiej trawy wyzierają resztki porośniętych olchą kamiennych podmurówek, jak kikuty wyciągniętych rąk w błagalnym geście o przetrwanie. Wypełnione mułem sadzawki nie rozbrzmiewają radosnym rechotem żab. Gdzieś przy rozstaju dróg zachował się przekrzywiony żelazny krzyż. Zdziczałe jabłonie i grusze wynurzają się z dawnych przydomowych sadów. Miasteczko, w którym zatrzymali się dzisiaj, wywoływało uczucie smutku. Było jak zatrzymana w kadrze powojennych lat fotografia w barwach sepii, nie poddająca się cywilizacji globalnie ogarniającej resztę kraju. Zanedbane i ubogie, z kilkoma marnie zaopatrzonymi sklepami. Przy straganach kobiety stojące z mlekiem, jajkami i wódką. Stojące, bo kupujących było jak na lekarstwo. Wokół domów sterty kory, z których część poniewiera się pod butami przechodniów. Gospodynie znoszą ją w workach, przywożą wózkami, by zimą było czym palić w piecach. Na przyzbie suszą się pestki dyni, w sieni pod ścianą leżą poukładane główki kapusty, w koszach ziemniaki. O pracę tu trudno, przez okna zagląda bieda, to i dziękować Bogu ludzie się nie kwapią. Z dawnego kościoła powstał Dom Kultury, do którego czasem zaglądają nieliczne dzieci. Przeszłość tu wnika w teraźniejszość, dominuje, nie pozwala o sobie zapomnieć.

– Adam... Adam, śpisz w marszu czy co? – krzyknął na kolegę Wojtek, a on dopiero teraz zauważył, że pozostali zatrzymali się i patrzą na niego wyczekująco.

– Nie śpię. O co chodzi? – oderwał się od własnych myśli.

– Spójrz tam – powiedział Wojtek i machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

Adam wyteżył wzrok.

– No widzę. Drzewa.

– Przyjrzyj się uważnie. Widać czarny zarys. Nie wiem, co to jest. Ściana?

– Może pierwsze domy jakiejś wiochy? A może dotarliśmy właśnie na miejsce? – zastanawiał się Wojtek patrząc z nadzieją po pozostałych.

– Nie... Byłby jakiś prześwit. A tu nic, tylko las i las – stwierdził Jerzy rozglądając się dokoła i próbując coś wypatrzeć. – Jakoś mi tak dziwnie, jakbym czuł czyjąś obecność. Omińmy to coś i idźmy dalej.

– Strach cię obleciał? Czego się boisz? Banderowców już nie ma – roześmiał się głośno Maks. Zbyt głośno, by był to śmiech naturalny.

– Sprawdźmy to – powiedział krótko Adam.

Przedzierali się przez krzaki gęsto porośłe wokół tajemnicy, którą chcieli odkryć. Teren był dziewiczy, żadnych śladów obecności człowieka. Nawet grzybiarze tu nie docierali. W zapadającym zmierzchu ich oczom ukazał się wreszcie niewielki dom z omszałą, kamienną podmurówką, kryty szarą od deszczu i upływu lat strzechą. Podwórko porośnięte było wysoką trawą, krzakami i smukłymi sosnami, prawdopodobnie samoistnie wysianymi przez wiatr. Za domem zdziczałe, rachityczne drzewa owocowe tonęły w leśnych zaroślach. Drzwi osadzone nieco krzywo na zardzewiałych zawiasach zabezpieczał jedynie skobel. Przez okna oblepione wieloletnim kurzem trudno było cokolwiek zobaczyć.

– Dom w takim miejscu? – zdziwił się Jerzy. – W samym środku lasu?

– To dla takich zbłąkanych wędrowców, jak my – odpowiedział mu Maks kładąc dłoń na klamce. – Wchodzimy?

– Zaczekaj! – powstrzymał go Wojtek i obejrzał się na Adama. – Po co mamy tam wchodzić? Nie można tak po prostu wejść sobie do obcego domu.

– Zwariowałeś?! Przecież od lat nikt tu nie mieszka, to widać. Nawet nikt tędy nie przechodzi. To wygląda tak, jakby ktoś zamknął dom z pięćdziesiąt lat temu i już nigdy go nie otworzył – tłumaczył Maks wciąż trzymając rękę na klamce. – Na dobrą sprawę możemy potraktować chałupę jak metę i jedną noc w niej przekimać. Materace mamy. Nadmucha się i już. Adam, co ty na to?

– Możemy zajrzeć z samej ciekawości. Najwyżej zaraz stamtąd wyjdziemy.

Drzwi były odporne. Otworzyły się jednak, przeraźliwie hałasując. W środku panowała ciemność. Małe okienka były zasłonięte i nie wpuszczały resztek światła kończącego się dnia. Adam wyjął latarkę. Słabe światło ogarnęło wnętrze sieni zarośniętej pajęczynami. Jerzy cofnął się, podniósł z ziemi suchą gałąź i zgarnął nią pajęczę sieci. Drzwi do izby były zamknięte. Maks uchylił je powoli. Nie przekraczając progu, Adam omiół światłem ściany i podłogę. Specyficzny zapach długo nie używanego pomieszczenia uderzył w nozdrza. Nieśmiało weszli do środka. Pomieszczenie wyglądało tak, jakby ktoś przygotowywał się do jego opuszczenia. Sprząty, zastygłe w oczekiwaniu na ręce, które co dzień ich dotykały, pogłębiały jeszcze uczucie pustki. Na podłodze zobaczyli coś, co przykuło uwagę wszystkich. Obok drewnianej skrzyni, przykrytej jedynie jakimś skrawkiem materiału, leżały szmaciane lalki, poukładane od najmniejszej do największej. Było ich siedem. Wszystkie uszyte podobnie, w długich sukienkach, wyblakłe, patrzyły pusto przed siebie guzikowymi oczami. Tuż za nimi, w wiklinowym koszyku

spoczywały niezdarnie wyrzeźbione drewniane figurki. Na skrzyni leżał jakiś pakunek owinięty szmatką obszytą poźółkłą koronką, na nim zasuszone rośliny, które kiedyś być może były bukietem polnych kwiatów. Wszystko pokryte było grubą warstwą kurzu i gęstą siatką pajęczyn.

– Jak by tu ogarnąć... – zaczął Maks.

– Nie. Chodźmy stąd. Nie deptaj się po grobach – powiedział poważnie Adam, zgasił latarkę i z zdecydowanym krokiem ruszył do wyjścia.

– Po jakich grobach? Ktoś tu mieszkał i się wyniósł. To wszystko – próbował zbagatelizować to Maks, ale głos miał niepewny.

– No, nie wiem... Mam wrażenie, jakby ktoś się przyczaił i patrzył na nas z jakiegoś kąta. Czuję tu czyjąś obecność. Jeszcze trochę i usłyszę oddech – odezwał się Wojtek i zaszczekał zębami.

– Co ty chrzanisz? Wierzysz w duchy? Daj spokój – roześmiał się Maks.

Wrócił Adam, ponownie oświetlił leżące rządkiem lalki i powiedział:

– Niby wszystko w porządku, ale myślę, że tu stało się coś złego. Spójrzcie na ten metodyczny porządek. Wygląda tak, jakby zrobiło to dziecko. Jakby tu mieszkało. Samo.

– Zgłupiałeś? Samo dziecko? W takiej głuszy? – zdziwił się Jerzy.

– I to jest to nieszczęście – kontynuował Adam. – Matka nie zostawi dziecka, dopóki... dopóki nie umrze.

– Jezu... – jęknął Wojtek.

– Było, minęło. Jestem za tym, żeby zostać. Nie będę po nocach błakał się po lesie – zdecydował Maks i z hałasem odstawił plecak.

– Jak chcesz, my idziemy – powiedział Adam i zgasił latarkę.

– Dobra, idę, idę. Zapal tę latarkę, bo nie wiem, gdzie jest plecak.

Wyszli oddychając z ulgą. Drzwi nie chciały się zamknąć. Dopchnęli je wspólnymi siłami i zatknęli duży, zardzewiały gwóźdź.

Mrok zgęstniał na dobre. Powietrze było rześkie, szum drzew wskazywał na to, że zerwał się wiatr. Tutaj jednak było zacisznie.

– Ciekawe, jak stąd wyjdziemy. Wszystko zarośnięte. Nie przedrzemy się po omacku przez te krzaki – gderał Maks.

– Mnie jest wszystko jedno. Mogę siedzieć tu na trawie, mogę iść. Tam nie wrócę. Za nic – powiedział Wojtek i wzdrygnął się.

– Mam pomysł! – ożywił się Jerzy. – Rozbijmy się tutaj. Rano się wyniesiemy.

– Właściwie, czemu nie – zgodził się Adam i z ulgą postawił plecak – rozbijamy się.

Ugnietli trawę, powbijali w ziemię pochodnie. Przy migotliwych płomykach udało im się ustawić namioty, wypełnić powietrzem materace. Byli tak zmęczeni, że po chwili rozległo się donośne chrapanie.

Adam nie spał. Przyjemne ciepło puchowego śpiwora koło go, ale myśl o mieszkańcach samotnego domu nie dawała mu spokoju. Najbardziej intrygował go pakunek spoczywający na drewnianej skrzyni. Odnosił wrażenie, że zawiniątko otoczono jakąś szczególną czcią, pietyzmem, na co wskazywały ułożone czyjąś ręką kwiatki. Ręką dziecka. Prawdopodobnie dziewczynki.

Wygrzebał się z ciepłego śpiwora, wciągnął spodnie i po omacku poszukał latarki. Powoli odsunął zamek błyskawiczny namiotu. Podnosząc wysoko nogi przeszedł przez wysoką, mokrą trawę. Latarkę zawiesił na szyi. Drzwi wydały rozdzierający dźwięk. Adam zastygł z ręką na klamce i wstrzymał oddech. Przez chwilę stał nieruchomo, patrząc w kierunku namiotów. Nikt nie zareagował. Wokół panowała cisza, zakłócana jedynie szumem wiatru. Wszedł do sieni i zawahał się. Serce kołatało głośno. Powoli uchylił drzwi izby i wsunął się do środka, podążając wzrokiem za smugą światła latarki. Nad łóżkiem przykrytym pasiastą narzutą wisiał wyblakły obraz przedstawiający Matkę Boską ze złożonymi do modlitwy rękami. Nad drzwiami wystrugany z patyków krzyżyk. Ścianę nad skrzynią zdobił portret kobiety. Adam podszedł bliżej i skupił na nim światło. Była młoda. Uśmiechała się lekko, trochę drwiąco. Jej ciemne włosy upięte były w wysoki kok. Jeden kosmyk opadał niesfornie na kark otoczony białym, okrągłym kołnierzykiem. Suknia była elegancka, takie nosiły przedwojenne panie z zamożnych domów. Zdjął portret ze ściany. Na odwrocie spodziewał się daty jego wykonania. Nie mylił się. Z trudem odczytał niewyraźne litery: *1939 roku, Magdalena*.

Powiesił portret na miejscu i zrobił zdjęcie telefonem komórkowym. Potem wykonał jeszcze kilka, utrwalając wnętrze izby. Było ubogie, zupełnie nie pasowało do kobiety z portretu. Sfotografował też lalki. Razem i każdą osobno. Nie wiedział, po co to robi. Był spięty. Przez cały czas nasłuchiwał dźwięków, których irracjonalnie się spodziewał, mimo świadomości, że jest tu sam. Ostrożnie zsunął suche kwiatki z pakunku. Czuł się tak, jakby profanował jakąś świętość. Odslonił zawartość, którą stanowił gruby zeszyt w twardej oprawie. Otworzył go. Na tytułowej stronie przeczytał starannie wykaligrafowany napis: *Dzienniki, Magdalena Sarnecka, Konstancin*. Wtedy usłyszał głębokie westchnienie. Zimny pot spłynął mu po plecach. Bał się obejrzeć, by nie zobaczyć przejrzystej postaci Magdaleny Sarneckiej tuż za plecami. W pośpiechu wpakował zeszyt pod bluzę i czym prędzej opuścił izbę. Kiedy zamykał drzwi wejściowe, uświadomił sobie, że westchnienie narodziło się w jego głowie.



Dziennik Magdaleny ukrył głęboko w plecaku i nie sięgnął do niego ani razu podczas pobytu w Bieszczadach. Kusił go, ale nie chciał wtajemniczać nikogo w pewien rodzaj więzi, jaka narodziła się między nim a nieznaną Magdaleną od momentu, gdy poczuł pod palcami twarde okładki. Nie mógł przestać myśleć o tajemniczych losach kobiety z portretu, kobiety z lasu. Studiował historię w przestrzeni publicznej, co oznacza wręcz dziennikarską dociekliwość, pasję odkrywania.

Kiedy po dwóch tygodniach włóczęgi po górach, śpiewie przy ognisku, rozmów z mieszkańcami okolicznych wsi i miasteczek ujrzał pierwsze zabudowania Wrocławia, ucieszył się nie tyle powrotem do domu, co odkrywaniem sekretu Magdaleny. Postanowił spotkać ją jeszcze dziś, u siebie, przy filiżance czarnej kawy.

W mieszkaniu na czwartym piętrze, po obiedzie, który ciągnął się w nieskończoność, zamknął się wreszcie w pokoju i otworzył plecak. Ostrożnie wyjął dziennik, przyjrzał się zniszczonym okładkom. Potem położył go na tapczanie i sięgnął po kawę. Upił mały łyk i przymknął oczy. Delektował się chwilą, kiedy przeczyta pierwsze zdanie. Wreszcie otworzył zeszyt. Uderzył go delikatny zapach leśnego domu, zachowany między pożółkłymi kartkami.

18 maja 1936 r.

Ojciec kupił dom w Konstancinie. Jest to o tyle znaczące, że zrobił to dla mamy, która zawsze chciała tu mieszkać. Uważa, że podniesie to prestiż rodziny, bo nie każdy może sobie na to pozwolić. Bogacząca się warszawska elita – finansisci, kupcy, przemysłowcy – opuszcza stolicę i zajmuje piękne wille i pensjonaty. Jestem trochę przerażona, zostawię przecież przyjaciół i wszystkie atrakcje Warszawy. Mama uspokaja mnie, że nie będę się tu nudzić, bo przyjeżdżają tam aktorzy, literaci, malarze, a także zamożni kuracjusze uzdrowiska, którzy na pewno uatrakcyjnią każde spotkanie towarzyskie. Poza tym do Konstancina dojeżdża kolejka wąskotorowa z Warszawy, więc w każdej chwili będę mogła spotkać się ze znajomymi.

23 maja 1936 r.

Wczoraj ojciec zawiózł nas do Konstancina. Skakałam z radości, aż Felisia musiała mnie mitygować, że dużej pannie takie zachowanie nie przystoi. Sama natomiast chodziła od pokoju do pokoju i fukała, że będzie tu miała dużo więcej

sprzątania niż w Warszawie. Ojciec poszedł doglądać ogrodnika, a mama popłakiwała po kątach. Nie rozumiem jej zachowania. Nie wygląda na to, że płacze ze szczęścia. Postanowiłam porozmawiać o tym z ojcem.

Ogród jest ogromny! Wygląda trochę jak las, tyle w nim sosen. Szumią i skrzypią na wietrze. Niektóre sprawiają wrażenie, jakby za chwilę miały się przewrócić. Przed domem ogrodnik sadził jakieś kolczaste krzewy. I tu właśnie znalazłam ojca. Zapytany, zmieszał się, aż wreszcie powiedział, że kobiety w tym stanie często tak się zachowują.

W tym stanie?! Mój Boże! Będę miała rodzeństwo!

29 października 1936 r.

Trzy dni temu urodził się mój brat Stanisław. Stanisław Brzeski. Mama omal nie przyplaciła tego faktu życiem. Nie chcę pamiętać tych wstrząsających przeżyć. Niestety kwilenie maleńkiego Stasia przypomina każdy jęk, krzyk rozhisteryzowanego ojca, drżący głos Felisi, stanowczy doktora, tupot na schodach, trzaskanie drzwiami, wreszcie rozdzierający wrzask chłopczyka oznajmiającego przyjście na świat. Teraz mama odpoczywa w sypialni, ojciec wciąż trzyma ją za rękę, a Felisia mrucząc pod nosem, że czterdziestoletnie kobiety powinny zapomnieć o macierzyństwie, biega tam i z powrotem, by mamie i Stasiowi niczego nie zabrakło.

Jest koniec października. Konstancin opustoszał. Prawie nie ma kuracjuszy, którzy latem zapełniali rosnące jak grzyby po deszczu pensjonaty, szlifowali brukowane ulice, oddychali w parku zdrojowym zdrowym powietrzem, przechadzali się parkowymi alejkami. Goście przyjeżdżali kolejką wąskotorową, wysiadali na małej stacyjce przy wejściu do parku, by następnie oddać się wypoczynkowi, zabawie i korzystaniu z wszelkich atrakcji letniskowej wsi. Choć tak naprawdę miejscowość posiadająca telefony, elektryczność i wodociągi nie ma ze wsią nic wspólnego. Często przechodziłam obok „Kasyna” w parku, gdzie mieszczą się pokoje gościnne, kawiarnia i restauracja prowadzona przez pana Berentowicza, którego znakomity kurczak po polsku i sprowadzane z Łap raki zasłynęły w całej Warszawie. Elita ze stolicy przybywała tłumnie, by skosztować specjalów, zatańczyć na dancingu czy zażyć kąpieli w przejrzystej Jeziorce. Nie brakowało też amatorów kajaków, koni lub tenisa. W Konstancinie nikt się nie nudził. Dlatego moje przyjaciółki, Jasia i Mania, przyjeżdżały tu chętnie, by wśród elitarnej młodzieży znaleźć sobie męża. Towarzyszyłam im, ale ciągle zamartwianie się o mamę, która czuła się coraz gorzej, gasiło mój entuzjazm.

Teraz nie ma tu prawie nikogo. Okno mojego pokoju zalewa jesienny deszcz. Przyglądam się spływającym strugom, wsłuchuję się w jednostajny rytm uderzających kropli i tęsknię za Warszawą, gdzie życie nie gaśnie wraz z kończącym się latem.

23 grudnia 1936 r.

Nigdy jeszcze nie mieliśmy tak ogromnej choinki. Musiałam poświęcić bardzo dużo czasu na przygotowanie błyskotek i papierowych łańcuchów. Mama zaaferowana Stasiem nie zaprzętała sobie głowy świecidelkami, a Felisia zajęta przygotowaniem tych wszystkich ciast, mięs, ryb i innych smakołyków dla całej rodziny nie mogła mi pomóc. Tuż przed świętami odwiedziła mnie przyjaciółka, Jasia. Tego dnia padał wilgotny, lepki śnieg. Na ulicach tworzyło się błoto, po którym ciężko było chodzić. Wstąpiłyśmy więc do cukierni Bliklego, by rozgrzać się trochę i zjeść pyszne ciastko. Nie spodziewałam się, że spotka mnie tam nieprzyjemna przygoda.

Gdy podchodziłyśmy do lady, by wybrać ciastko, potknęłam się o nogę stolika i na pewno upadłabym, gdybym w ostatniej chwili nie przytrzymała się lady. Niestety w tym samym czasie postawiono tam kremowe ciasto przygotowane do zapakowania. Oparłam się więc o nie całym ciężarem ciała i upaprałam się po łokcie! Nie byłoby to takie okropne, gdyby wcześniej nie zakupił go pewien młodzieniec. Jęknął, a ja podniosłam głowę i... ujrzałam najpiękniejsze dzieło Stwórcy w męskim wydaniu. Strasznie się zdenerwował! Zapłaciłam oczywiście i on zamówił nowe ciasto, dzięki czemu na tyle go udobruchałam, że pozwolił zaprosić się na herbatę. Jasia obrazila się i poszła sobie, a my przegadaliśmy całe dwie cudowne godziny! W tej chwili leżę w łóżku, jutro Wigilia, a ja mam w głowie najpiękniejsze imię świata. Piotr.

Adam odłożył dziennik i sięgnął po telefon komórkowy, którym zrobił zdjęcie portretu Magdaleny. Przyjrzał mu się z uwagą. Tak, panna z dobrego, bogatego domu, z pokojówką i ogrodnikiem, trochę znudzona, trochę rozpieszczona, jedna z tych, dla których największym problemem był wybór sukienki na popołudniową herbatę. Co się wydarzyło w jej życiu, że znalazła się w samym środku lasu bieszczadzkiej głuszy?

27 marca 1937 r.

Nie mogłam przestać o nim myśleć. I kiedy uświadamiałam sobie, że być może nigdy go nie zobaczę, że herbata u Bliklego była jedyną okazją do wsluchiwania się w barwę jego głosu, patrzenia w oczy rozsiewające wesole iskiereki, mowę ciała, moje serce zamieniało się w ołów. A jednak spotkałam go. Zupełnie nieoczekiwanie, w Parku Zdrojowym.

Wiosna wahała się. Przychodziła i odchodziła przeganiana mroźnym wiatrem. Tego dnia jednak ziemia rozgrzała się, a nieśmiałe rośliny uniosły się ku słońcu. Ze Stasiem w wózku spacerowałam alejkami parku, wdychając rześkie powietrze. Naprzeciwko zobaczyłam postać, która wydała mi się znajoma. Młody mężczyzna szedł szybkim krokiem, niosąc przed sobą sporych rozmiarów paczkę obwiązaną sznurkiem. Mijając mnie zawahał się, potem uchylił czapkę. Odpowiedziałam skinieniem głowy i pozwoliłam, by mnie minął. Odległość między nami rosła, a ja gorączkowo szukałam słów, którymi mogłabym go zatrzymać.

Serce biło mocno. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Przysiadłam na najbliższej ławce i patrzyłam, jak Piotr znika za zakrętem ścieżki obrośniętej krzewami. Staś zaczął marudzić, w końcu rozplakał się na dobre. Przez chwilę go kołysałam, potem wyjęłam z wózka i posadziłam na kolanach. Złapał kosmyk moich włosów i zaczął wkładać go do buzi, strasznie się przy tym śliniąc. Sięgnęłam do torebki, w której jak na złość nie było chusteczki. Nagle na twarzączkę Stasia padł cień. Podniosłam głowę i ujrzałam Piotra. Podawał mi chusteczkę z uprzejmym uśmiechem: „Nie wiedziałem, że pani jest zamężna” – powiedział i odszedł. Odszedł!

13 kwietnia 1937 r.

Byłam wraz z rodzicami i małym Stasiem na obiedzie u Berentowicza. Felisia miała pogrzeb w rodzinie i dostała wychodne. Czekaliśmy na kelnera. Staś dokazywał na kolanach mamy, ojciec przeglądał kartę dań. Poszukiwałam w torebce lusterka, by poprawić fryzurę, gdy dobiegł mnie znajomy głos. Obejrzałam się zaskoczona. To był Piotr. Stał wyprostowany z przewieszoną śnieżnobiałą serwetką i oczekiwał zamówienia. Czulałam, jak oblewa mnie rumieniec. Patrzyłam mu głęboko w oczy, oddychając szybko, za szybko, czym zdradziłam się przed nim, przed rodzicami, przed światem, że jestem... zakochana.

14 kwietnia 1937 r.

Ojciec kazał mi wybić sobie Piotra z głowy. Powiedział, że człowiek, który jest kelnerem, nie może stanowić dla mnie partii. I nie po to mnie wychowywał i uczył, bym zmarnowała życie przy boku takiego zera. Tak właśnie powiedział: zera.

2 maja 1937 r.

Spotykam się z Piotrem potajemnie. Powiedział, że mnie kocha. Wierzę mu. I nie mogę bez niego żyć. Przy nim czuję się szczęśliwa.

4 sierpnia 1937 r.

Obok zakładu przyrodoleczniczego o nazwie „Hugonówka” jest kąpielisko i przystań kajakowa, gdzie często spaceruję z Piotrem. Lubię to miejsce, spotykamy tu bowiem sławnych aktorów, popularnych dziennikarzy, marząc, że jesteśmy jednymi z nich. Nie przypuszczałam jednak, że spotkam tam ojca. Dziś właśnie to się stało. Schowani w cieniu Hugonówki trzymaliśmy się za ręce, rozmawiając o naszej miłości. I w momencie, gdy Piotr pochylił się nade mną (jestem pewna, że chciał mnie pocałować!), poczułam ciężką rękę ojca na ramieniu. Zacisnął palce, aż syknęłam z bólu i powiedział tylko: „Do domu, natychmiast!” Nie pomagały tłumaczenia, że szłam akurat do krawcowej przymierzyć nową suknię w kolorze głębokiej zieleni. Ojciec prowadził mnie, milcząc przez całą drogę. W domu też nie odzywał się do mnie. Dopiero wieczorem oznajmił spokojnym, ale nie znoszącym sprzeciwu głosem, że bym nie ważyła się wychodzić z domu bez towarzystwa Felisi. Ale ja nie pozwolę się więzić! I nie pozwolę umrzeć miłości tylko dlatego, że

pozycja społeczna Piotra jest niższa od naszej. Nie pozwolę!

19 października 1937 r.

Dziś stało się coś strasznego! Zaraz po obiedzie Felisia zaanonsowała młodego mężczyznę o nazwisku Piotr Dors. Chciał niezwłocznie widzieć się z ojcem. Mama zabrała Stasia i wyszła z bawialni, dając mi do zrozumienia znaczącym spojrzeniem, że też powinnam to zrobić. Siedziałam w swoim pokoju nasłuchując, ale znaczenie słów gubiło się w podniesionych głosach. Cała drżałam ze zdenerwowania. Wydawało mi się, że rozmowa trwa bardzo długo, ale wskazówki zegara przesunęły się zaledwie o dwadzieścia trzy minuty, gdy trzasnęły drzwi. Jestem pewna, że to ojciec zamknął je w ten sposób. Piotr nigdy by się tak nie zachował. Czekałam w napięciu, lecz ojciec nie zamierzał powtórzyć mi rozmowy.

20 października 1937 r.

A jednak zamierzał. Musiał widocznie uspokoić skołatane nerwy, by przy mnie zachować spokój. Odkąd pamiętam, nie okazywał emocji. Kiedy był zdenerwowany, zamykał się w swoim gabinecie i przemierzał go wzdłuż od drzwi do okna, tam i z powrotem, w samotności rozważając problem. Tak było i tym razem. Przekazał mi przez Felisję, że chce porozmawiać przy popołudniowej herbacie. Przeżyłam najgorsze pięć godzin oczekiwania.

Herbatę piliśmy w milczeniu. W powietrzu wisiało napięcie. Kiedy filiżanka mamy była pusta, ojciec przeprosił ją oznajmiając, że chce zostać ze mną sam. Serce zaczęło mi bić bardzo mocno. Przycisnęłam je obiema dłońmi, żeby nie wyskoczyło z rozdygotanej piersi. Ręce spotniały i zaczęły się trząść. Ojciec najpierw długo mi się przyglądał. Potem podszedł do okna i przez muślinową firankę obserwował rozkołysane wiatrem drzewa. Nagle odwrócił się i bez ogródek powiedział, że Piotr poprosił wczoraj o moją rękę. Zamilkł i zajął się nabijaniem fajki. Siedziałam na brzeżku krzesła, nie śmiałam nawet westchnąć, by nie zakłócić ciszy panującej w bawialni. Miałam mieszane uczucia. Z jednej strony rozpieszczała mnie radość, że Piotr chce, bym została jego żoną i byłam dumna, że odważył się powiedzieć o tym ojcu, z drugiej zaś obawiałam się tego, co za chwilę usłyszę. Ojciec zapalił fajkę i zaciągnął się głęboko. Nie zgodziłem się – powiedział. – Nie zgodziłem się i wyrzuciłem tego człowieka z domu. To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

Wybiegłam do swojego pokoju i zatrzęsnęłam drzwiami. Teraz leżę na swoim łóżku i płaczę. Ojciec przemierzył już ze sto kilometrów po swoim gabinecie. Wciąż słyszę jego kroki. Mam żal do mamy, że nie wstawiła się za mną ani razu. Po prostu milczy i umyka wzrokiem, gdy tylko napotka moje zrozpaczone spojrzenie. Postanowiłam jednak, że będę silna. I chyba już wiem, co zrobić.

8 listopada 1937 r.

Długo czekałam na tę okazję. Rodzice pojechali z samego rana do

Warszawy, Felisia musiała zająć się Stasiem, więc nie zwracała na mnie uwagi. Wymknęłam się z domu i pobiegłam do restauracji Berentowicza. Przez całą drogę modliłam się, żeby był tam Piotr. Weszłam do środka i usiadłam przy stoliku. O tej porze było tu prawie pusto. Podeszedł do mnie jakiś kelner. Wstydziłam się pytać o Piotra, więc zamówiłam herbatę. Przyniósł tacę z zastawą do herbaty i właśnie napełniał moją filiżankę, gdy pojawił się Piotr. Serce skoczyło mi do gardła, zaklinałam go wzrokiem, żeby spojrzał w moim kierunku, ale on obsłużył jakieś starsze małżeństwo i wyszedł. Wypiłam całą herbatę, a jego wciąż nie było. Gdy mój kelner przyszedł, by się rozliczyć, zostawiłam mu suty napiwek i zapytałam, które stoliki obsługuje. Zdziwił się, ale pokazał. Wtedy przesiadłam się do stolika poza jego rewirem. Może poczuł się urażony, ale mnie było już wszystko jedno. Dopięłam swego. Przyszedł Piotr i na mój widok zrobił się biały jak papier. Skinęłam, żeby się nachylił, i określiłam miejsce i czas spotkania: jutro o siódmej wieczór w altanie przy restauracji. Ścisnął mnie tylko za rękę i na znak zgody przymknął na chwilę powieki. Nie wiedziałam jeszcze, jak uda mi się jutro wyjść z domu o tej godzinie, ale wróciłam szczęśliwa i nie zauważona przez Felisję.

9 listopada 1937 r.

Cały dzień byłam niespokojna. Około piątej Felisia przyniosła herbatę i konfitury. Ojciec był w wyjątkowo dobrym humorze. Pachnący wodą kolońską i dobrym tytoniem, dokazywał wesoło ze Stasiem. A kiedy zapytał Felisję, czy nie ukryła w spiżarni orzechowych ciasteczek, ta zaróżowiła się ze szczęścia i pobiegła, aż fartuszek zafurkotał jej na brzuchu. Mama wyszywała coś przy lampie i z uśmiechem obserwowała bawiącego się ze Stasiem ojca, który w pewnym momencie ucałował pucułowate policzki syna, postawił go ostrożnie na podłodze i zwracając się ciepło do mnie (od wizyty Piotra był bardzo oficjalny), wskazał stojący w rogu fortepian i poprosił, bym coś zagrała. Palce miałam zeszytywniałe, ale zasiadłam do instrumentu. Grałam zerkając dyskretnie na wiszący na ścianie zegar i z przerażeniem liczyłam umykające minuty. O szóstej dziesięć przeprosiłam rodziców i powiedziałam, że pójdę do siebie poczytać. Zamknęłam szczelnie drzwi pokoju, wyjęłam skórzaną torbę podróżną i spoglądając czujnie na drzwi, wrzucałam do niej gorączkowo wrywane z wnętrza szafy suknie. Gdy torba była pełna, rozejrzałam się po pokoju, dorzuciłam jeszcze szkatułkę z kosztownościami i wszystkie oszczędności. Nie było tego wiele, ale w sytuacji, gdy będę zdana tylko na siebie, każdy grosz się przyda. Powoli, by nie narobić hałasu, otworzyłam okno, wyrzuciłam przez nie zapakowaną torbę i zamknęłam je z powrotem. Moje palto wisiało w holu. Zła na siebie, że nie pomyślałam o tym wcześniej, lawirowałam tak, by nie zauważona przemknąć obok otwartych drzwi bawialni. Była za dziesięć siódma. Staś zaczął marudzić, zbliżała się pora jego kąpieli i musiałam zdążyć, nim zacznie się bieganie między łazienką a pokojem Stasia. Zdjęłam właśnie palto z wieszaka, gdy do holu weszła Felisia i ze zdumieniem zapytała, dokąd wychodzę.

Powiedziałam, że urwał mi się guzik i biorę palto, żeby go przyszyć. Nie pytała o nic więcej, chyba szczęśliwa, że nie obarczam jej naprawianiem mojej garderoby. Zabrałam palto do swojego pokoju, zastanawiając się, jak mam opuścić dom, by nikt tego nie zauważył. Jedyne wyjście było okno. Otworzyłam je ponownie, wyrzuciłam palto, następnie poszłam w jego ślady. Okno zostało na oścież otwarte, ponieważ byłam zbyt niska, by je zamknąć. Opuściłam dom i wiedziałam, że od tej chwili nie ma już odwrotu.

Teraz siedzę na ławeczce w altanie. Jest dziesięć po siódmej, a Piotra wciąż nie ma. Korzystając ze światła latarni robię notatki. Denerwuję się nieobecnością Piotra i tym, że ojciec może zacząć mnie szukać i znajdzie tutaj.



Adam odłożył notatki i zapatrzył się w okno. Nawet nie zauważył zapadającego zmierzchu. Przeciągnął się i wyszedł do kuchni po herbatę. Podświadomie zaczął szukać w kuchennych szafkach orzechowych ciasteczek i bardzo zdumiał go fakt, że zamiast Felisi w progu stanęła jego własna matka, tak bardzo niepasująca do domu, który właśnie opuścił wraz z Magdaleną.

– Głodny? – zagadnęła wesoło, manipulując przy uszach. Domyślił się, że zakłada kolczyki. – Idziemy z ojcem do Kameralnego. Może potem wpadniemy gdzieś na lampkę wina. Nie czekaj na nas, weźmiemy klucze. Kolację znajdziesz w lodówce. Odgrzej sobie lazanię. Nie siedź długo. Pa!

Zapachniało Euforią i już jej nie było. Ojciec widocznie wyszedł wcześniej i odpalał samochód. Adam złapał bułkę, ułamał kawał suchej kielbasy i czym prędzej wrócił do pokoju. Był jak w transie. Czuł, że przenika do świata Magdaleny. Widział ją przerażoną i zmarzniętą w ciemnej altanie. Musiał też tam być, natychmiast. Nie mógł pozwolić, by Magdalena czekała tak długo. Kiedy brał do ręki jej notatki, zakręciło mu się w głowie. Czuł, że zapada się gdzieś, gubi w czasie. Krew zaczęła mu pulsować rytmicznie, stuk–stuk, stuk–stuk – jak koła jadącego pociągu.

Stuk–stuk, stuk–stuk, pociąg toczył się powoli, twarda, drewniana ławka wpijała się w pośladki i kręgosłup. Adam siedział naprzeciwko młodej dziewczyny, która patrzyła przed siebie. Uśmiechała się lekko, trochę drwiąco. Miała ciemne włosy upięte w wysoki kok. Jeden kosmyk opadał na kark otoczony białym, okrągłym kołnierzykiem. Był pewien, że gdzieś już ją widział. Obok niej siedział przystojny młody człowiek, do którego zwracała się „Piotr”. Adam jadł bułkę z suchą kielbasą i przysłuchiwał się rozmowie tej pary.

– Przepraszam Lenko, że się spóźniłem. Szef zatrzymał mnie dłużej, chodziło o jakiś rachunek, który się nie zgadzał. Puścił mnie dopiero wtedy, gdy wyjaśniłem, że nie obsługiwałem tego stolika.

– Najważniejsze, że jesteś – powiedziała Magdalena, przytuliła się do Piotra i z czułością spojrzała mu w oczy.

– Jesteś pewna, że dobrze robimy? Jedziemy w nieznane. Twój ojciec...

– Z tobą choćby na koniec świata. A o ojcu mi nie mów. Stał między mną a tobą. Nie chcę go więcej widzieć! Tylko mamy mi żal. Będzie się martwić. No i za Stasiem będę tęsknić.

– Wszyscy będą nas szukać. Twoja rodzina, moi znajomi, właścicielka pokoju, który zajmowałem... Nie zapłaciłem jej za ten miesiąc.

– Będą szukać, ale nie znajdą, bo my będziemy już bardzo, bardzo daleko!

– No właśnie, daleko. Martwię się, bo zupełnie nie wiem, gdzie się zatrzymamy, czy znajdziemy jakiś dach...

– Och, Piotrze, ty jesteś taki dzielny. Na pewno jakoś temu zaradzisz.

Jechali i jechali bardzo długo. Krajobraz za oknem zmieniał się, ciemniał, aż zrobił się zupełnie czarny. Magdalena była zmęczona. Pod jej oczami utworzyły się cienie. Coraz częściej zapadała w drzemkę wsparta o ramię Piotra.

Zaczęło świtać. Pociąg zatrzymał się na dobre. Widok otaczającej ściany lasów znikających w opadającej mgłę między łagodnymi stokami gór był zachwycający. Ruszyli przed siebie piaszczystą drogą, przy której nie wyrósł żaden dom. Było bardzo zimno, więc Piotr otworzył torbę Magdaleny, by wyjąć cieplejsze odzienie. Nie znalazł tam jednak nic prócz strojnych sukienek. Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział. Magdalena wyczytała jednak wyrzut w jego oczach. Uświadomiła sobie własną bezmyślność i zaczerwieniła się po korzonki włosów. Głód dokuczał im coraz dotkliwiej. Daleko w dolinie zamajaczyły domy. Słysząc było ujadanie psów. Opadając z sił, wlekli nogę za nogą coraz wolniej. Piotr niósł torbę z sukienkami, które w sytuacji, w jakiej się znaleźli, były po prostu śmieszne. Magdalena dopiero teraz zaczęła rozumieć, jak bardzo inne życie ją czeka. Inne, niż wiodła, zanim poznała Piotra. Przy drodze ujrzeni karcznię. Piotr sięgnął do kieszeni i przeliczył pieniądze. Potem z niepewną miną wskazał Magdalenie drzwi. Znudzony i mrukliwy karczmarz podniósł się niechętnie. W ciągu dnia nikt tu nie zagląda. Większy ruch jest wieczorem, gdy gospodarze schodzą się na kwartę piwa. Widząc jednak zdrożonych gości, podał Piotrowi kartoflanę z grochem i fasolą, a przed Magdaleną postawił drobne kluseczki z tartych ziemniaków, które nazywał cyrem. Łykała szybko i łapczywie, prawie w całości. W Warszawie nie znano takich potraw, ale byli tak głodni, że o nic nie pytali.

– Z daleka? – zapytał i łypnął okiem karczmarz, kiedy zjedli i poprosili o chleb na drogę.

– Z daleka, noclegu szukamy – powiedział Piotr wymijająco. Nie wiadomo, czy ktoś nie będzie ich tu szukał, nie chciał więc mówić za dużo.

– Idźcie do samej wsi. Może kto na izbę przyjmie.

W karczmie było ciepło i przytulnie. Oczy same się zamykały. Magdalena zerknęła za okno i szczerzej otuliła się chustą. Wiatr szarpał nagie gałęzie, zaczął siąpić drobny deszcz. Zwlekali z wyjściem. Karczmarz wprawdzie nie wyganiał, ale coraz częściej obrzucał ich ciekawym spojrzeniem. Zebrali się w końcu, Piotr podał palto Magdalenie, opatulił ją nim, jak mógł najlepiej, i otworzył drzwi. Do środka wtargnął tak zimny wiatr, że aż się wzdrygnęli. Ruszyli przed siebie, z zalem zostawiając ciepłe wnętrze. Droga była kręta, ale pierwsze zabudowania

niedaleko. Chaty niskie, z wysokimi dachami, krytymi słomą. Budowane z ociosanych belek. Stały na podmurówce z kamieni pozlepianych gliną. Magdalena nie mogła się nadziwić, że stajnie lub obory były dalszą częścią budynku, w którym mieszkali ludzie. Na górze zwykle była stodoła.

– Myślę, że w środku jest cieplej, gdy pod dachem mają siano – stwierdził Piotr, przyglądając się konstrukcji budynku, przed którym stali. Potem głośno, jakby z determinacją zapukał do drzwi. Otworzyła im kobieta w średnim wieku. Spojrzała nieufnie. Piotr zdjął czapkę i uklonił się.

– Chcielibyśmy gdzieś przenocować, zapłacimy.

– U mnie miejsca nie ma. I za pieniądze nie ma. Idźcie dalej. W tamtej chacie dwie izby mają i na pieniądze łase, to może przyjmą – powiedziała wskazując bardziej okazały dom niż pozostałe.

Piotr chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Magdalena pociągnęła go za rękaw. Poszli w kierunku wskazanej chałupy. Pukali, ale nikt nie otworzył, mimo wyraźnych dźwięków dobiegających ze środka. Ściemniało się, a oni wciąż nie wiedzieli, czy uda się im znaleźć nocleg. W chałupie stojącej na samym skraju wioski było zupełnie ciemno. Mimo to odważyli się zapukać w byle jak sklecone deski krzywo zawieszonych drzwi. Przez chwilę panowała cisza. Potem usłyszeli ciężkie człapanie.

– Kto?! – zapytał schrypnięty pierwszym snem głos.

– Swój! – zawołał Piotr i przesunął się pół kroku do tyłu. Magdalena pomyślała, że nie wiedziałaby, co odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

Odkoczył skobel strzegący mieszkańców przed obcymi. W szparze ukazała się nieogolona twarz. Zmrużone oczy krótkowidza lustrowały przybyszów uważnie.

– Czego? – zapytał gospodarz i drzwi otworzyły się szerzej. Jego zwalista postać przytłaczała.

– Noclegu szukamy.

– Nie ma noclegu. Kto wy?

– Przyjezdni. Z daleka. Niech pan nas przyjmie. Tylko na jedną noc. Nie mamy dokąd pójść.

– Zły to gość, co po nocy szuka, gdzie głowę położyć. Nie ma noclegu. Idźcie stąd, spać dajcie.

– Ojciec, a kto tam? – rozległ się z głębi chałupy kobiecy głos.

– Nikt. Śpij, kobieto! – padła odpowiedź. Drzwi zatrzasnęły się i człapanie zaczęło się oddalać, aż w końcu ucichło.

Piotr bezradnie rozejrzył się dookoła.

– To już ostatni dom w tej wsi. Możemy wrócić do karczmy, choć nie wiem, czy nie jest za późno.

Deszcz wzmógł się. Niesiony wiatrem siekł zimnymi strugami w twarz.

Przemoczone ubrania lepiły się do ciała. Oddalili się od ostatniej chałupy zaledwie kilka kroków, gdy w wejściu pojawiła się kobieta w długiej lnianej koszuli. Skinęła ręką. Podeszli pełni nadziei.

– Do chaty nie zaproszę, bo mój obcych nie lubi. Ale jest tu niedaleko kościółek i plebania. Tam jest dobry ksiądz. On pomoże. Tamta droga poprowadzi – powiedziała wskazując na nią. – Idźcie już, no idźcie! – Zatrzasnęła krzywe drzwi i już jej nie było.

Brnęli przez błoto we wskazanym kierunku. Magdalena słała się na nogach. Góry wyglądały złowieszczo, przytłaczająco. Niewielki drewniany kościół wyłonił się z ciemności. Gdzieś zaczął ujadać pies. Minęli kościół i zatrzymali się przed chatą różniącą się od innych tym, że nie było przy niej zabudowań gospodarczych. Pies rozszczękał się na dobre i w drzwiach ukazała się postać niewysokiego mężczyzny.

– Wszelki duch, a kto tam po nocy?

– Przyjeźdźni. Z daleka. Nie mamy gdzie przenocować... – zaczął Piotr.

– A nie stójcie na deszczu. Podejdźcie bliżej. To żona? – zapytał wskazując Magdalenę.

– Tak... Nie, jeszcze nie. Ale będzie – odpowiedział Piotr.

– Chodźcie, chodźcie. Prześpicie noc, a rano powiecie, co i jak. Chłopak tu, na ławie, a narzeczona... tam, do izby. Ja do alkowy pójdę.

Zrzucili przemoczone ubrania i zaraz zapadli w kamienny sen.

Kiedy Magdalena otworzyła oczy, był już dzień. Szary i dżdżysty. Rozrzucone ubrania ktoś pozbił i rozwiesił na sznurku. Włożyła suchą sukienkę i przygładziła włosy. Zza drzwi dobiegał ją głos Piotra i chyba księdza. Uchyliła je nieśmiało. Siedzieli po dwóch stronach stołu, wokół nich uwijała się drobna kobieta, ustawiając przed nimi misy z jadłem. Na Magdalenę spojrziała z naganą w oczach, ale nie odezwała się. Ksiądz wskazał Magdalenie krzesło, na którym usiadła niepewnie. Piotr podsunął jej chleb i mleko, patrząc jednocześnie z uwielbieniem na księdza.

– Nie trzeba mi już nic więcej tłumaczyć – powiedział ksiądz i uśmiechnął się do Magdaleny. – Nie pochwalam zachowania, o jakim tu usłyszałem. Posłuszeństwo wobec ojca rzecz święta. Ale kiedy sami postanowiliście inaczej, nie pozwolę w grzechu żyć. Ślub dam i coś w podarku, bo widzę, że Bóg was wzajem dla siebie wybrał, to ja na drodze stać nie będę i Bogu się sprzeniewierzał.

Po posiłku ksiądz poszedł do kościoła przygotować się do udzielenia sakramentu. Piotr zajrzał Magdalenie w oczy.

– Wszystko jak na spowiedzi księdzu opowiedziałem, najwięcej o tym, że kocham cię i ty mnie kochasz. I że żyć nam bez siebie nie sposób. A nie gniewasz się, że sam zdecydowałem o naszym ślubie? Zrobiłem to, bo przecież mówiliśmy o tym, nie raz mówiliśmy, więc kiedy nadarzyła się taka okazja...

– Piotrze – przerwała mu Magdalena – jestem szczęśliwa, naprawdę! Bardzo szczęśliwa! Ślub? Mój Boże, niejedną noc nie przespałam marząc o tej chwili. Tak się cieszę, kochany... Ale teraz musisz poczekać. I nie wchodzić za mną do izby!

Magdalena wybrała sukienkę najbardziej odświętną, którą miała na sobie tylko raz na weselu kuzynki. Uczesała włosy i tak wystrojona wyszła do Piotra. Gospodyni aż klasnęła w ręce, urwała kwiatek, który zakwitł w doniczce i wpięła go w ciemne włosy panny młodej.

Nie o takim ślubie Magdalena marzyła. Miała być biała suknia i welon, co ściele się po kościelnej posadzce, organy i *Veni Creator*, tłum gości, kwiaty i kosztowne prezenty. Tymczasem w niewielkim kościółku pachnącym starym drewnem i ziołami prócz młodej pary, księdza i jego gospodyni nie było nikogo. W ciszy rozległy się słowa przysięgi i stłumione „tak” nowożeńców. A potem wszystko było jak we śnie.

Ksiądz zaprowadził ich do chaty, zamknął szczelnie drzwi izby, żeby niepowołane uszy nie słyszały tego, co chciał im powierzyć w wielkiej tajemnicy.

– Jestem stary – powiedział i zamilkł. Twarz ukrył w dłoniach i siedział tak dłuższą chwilę, jakby zbierał myśli. – Niewiele życia przede mną i nie mam nikogo, z kim moją tajemnicę mógłbym podzielić. Kiedy tak rozmawiałem z tobą, Piotrze, pomyślałem, że ty i twoja żona dopiero zaczynacie żyć, a ponieważ, jak widzę, też nie macie nikogo oprócz siebie, ofiaruję wam w podarku to, co tak długo noszę w sercu. – Posmutniał i zadumał się przez chwilę. – Przyjechałem tu z daleka, aż z Krakowa, gdzie żyłem i nauki teologiczne pobierałem. Teraz tym ludziom służę i mimo że trudno nieraz z nimi, bo prawie wszyscy są wyznania prawosławnego i modlą się w cerkwi, to jednak odkąd tu jestem, zaglądam do mnie często, o pomoc proszą. Nigdy nie odmawiam, bo wiem, że bieda u nich, ziemię kamienistą uprawiają w trudzie, żyto i owies sieją, len i konopie, z włókien których sami szyją odzienie dla siebie. Robią, co mogą, żeby przeżyć, zwłaszcza przednówek, kiedy zapasy się kończą i nie ma co jeść. Zapytacie, skąd u mnie tyle dobra, że mogę się dzielić? Miałem brata, Władysława. Posiadał własną olejarnię i dobrze mu się wiodło. A że skąpy nie był, pomagał, jak umiał, potrzebującym. I mnie często obdarowywał pełną sakiewką. Ludzie kochali go, bo nikomu nie odmówił pomocy. Ożenił się z piękną panną i byłby szczęśliwy, gdyby nie to, że za jego żoną ktoś inny oczy zaczął wypatrywać i życie jej uprzykrzać. Była nieustępliwa, więc zakradł się raz i czynu lubieżnego się dopuścił. Gdy brat dowiedział się o tym, wpadł w szal i z tej złości pozbawił go życia. Potem zabrał żonę i do mnie, do tej głuszy uciekł. Tylko że tutaj wcale nie był bezpieczny. Zebraliśmy zaufanych ludzi i uradziliśmy, że wzorem zbójników, co po lasach w czasach Królestwa się kryli, chatę w najbardziej niedostępnym miejscu wyszukujemy i tam się skryje, jak banita. Tak też zrobiliśmy. Pięciu ludzi z nim do lasu poszło chałupę budować. Żonę na ten czas w łajbik i farbankę przyodziliśmy,

by nie różniła się od tutejszych kobiet. Kiedy już wszystko było gotowe, poszła za nim do lasu mieszkać. Olejarnię kazał sprzedać, a pieniądze zachować za okazaną pomoc. Zaradny był. Sad za domem założył, kawałek lasu wykarczował na pole. Radzili sobie, dopóki drzewo go nie przywaliło. – W tym miejscu ksiądz zamilkł i znowu twarz ukrył w dłoniach, a po chwili znowu kontynuował: – Żona pielęgnowała go, jak mogła, ale kiedy tam pojechałem, zobaczyłem, że jego życie się kończy. Zdążyłem udzielić ostatniego sakramentu, gdy brat konał na moich rękach. Pochowaliśmy go w sadzie, który tak ukochał. Dom zamknąłem i zabrałem stamtąd zrozpaczoną kobietę. Wróciła do swojej rodziny i nigdy jej już nie widziałem. Od czasu do czasu zaglądałem do tej chaty, żeby to wszystko nie zmarniało. Teraz sił już nie mam. Z pięciu pomocników, którzy ten dom budowali, już nikt nie został i tylko ja znam tajemnicę i drogę do niego. Mój podarunek dla was to mapa, którą Władek mi wyrysował, i chata, którą – mam nadzieję – znajdziecie zachowaną w dobrym stanie. Ruszajcie za dnia, bo noc zostanie was w środku lasu. To daleko stąd i kluczyć trzeba. Chaty musicie dobrze wypatrywać, bo z żadnej strony nie jest widoczna. Wam się ona przyda, a ja szczęśliwy będę, że pamięć po bracie w żywych rękach zostanie. Pewnie kiedyś odejdziecie stamtąd. W takim pustkowiu, z dala od ludzi trudno żyć, zwłaszcza kobiecie... Ale choć przezimujecie pod dachem.

Magdalena i Piotr słuchali opowieści księdza i nie mogli uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Byli tak zahipnotyzowani jego słowami, że nie zastanawiali się, jak będą żyć w leśnej głuszy, odcięci od świata i ludzi. Zebrali swoje rzeczy i uściskawszy dobroczyńcę, ruszyli do wyjścia. Przy drzwiach spotkali gospodynię, która skrywała coś pod łajbikiem. Skinęła na Magdalenę i wyjęła spod kamizelki małego, szarego szczeniaczka.

– Dla ciebie. Na obronę i towarzystwo. A dbaj o niego! – powiedziała.

– Dziękuję! – odpowiedziała Magdalena i przytuliła ciepłe futerko do policzka. – Jest szary jak popiół! Już wiem, jak go nazwę – Popiół!



Magdalena uśmiechała się i wyglądała jak mała dziewczynka obdarowana właśnie nową zabawką. Adam wyciągnął rękę, by podrapać psiaka między sterczącymi uszkami, gdy usłyszał chrobot klucza w zamku. Odłożył pamiętnik Magdaleny i przez dłuższą chwilę próbował wrócić na swoje miejsce. Ojciec zajrzał do pokoju przez uchylone drzwi.

– Myśleliśmy, że już śpisz – uśmiechnął się – a ty, jak zwykle, mól książkowy. Nie siedź długo, jutro też jest dzień. Czekamy na twoje opowieści z wakacji. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedział nieprzytomnie.

Wstał, podszedł do okna i przeciągnął się. Było zupełnie ciemno. Mżyło. Wrócił na tapczan. Powinien iść spać, ale nie mógł się oprzeć chęci powrotu do niej, do Magdaleny. Teraz przeżywał coś nieokreślonego, jakieś swoiste *déjà vu*.

Przedzierali się przez krzaki gęsto porośłe wokół tajemnicy, którą mieli odkryć. Teren był dziewiczy, żadnych śladów obecności człowieka. Nawet grzybiarze tu nie docierali. W zapadającym zmierzchu ich oczom ukazał się niewielki dom z omszałą kamienną podmurówką, kryty szarą od deszczu i upływu lat strzechą. Znaleźli wreszcie miejsce dla siebie w samym sercu lasu.

Podwórko porośło już wysoką trawą. Za domem drzewa owocowe tonęły w leśnych zaroślach. Patrząc z zewnątrz przez okna domu trudno było cokolwiek zobaczyć. Drzwi zabezpieczał jedynie skobel, ale stawiały opór przy otwieraniu. W środku panowała ciemność. Piotr wyjął zapalki. Słabe światło ogarnęło wnętrze sieni zarośniętej pajęczynami. Cofnął się, podniósł z ziemi suchą gałąź i zgarnął nią pajęczę sieci. Drzwi do jedynej izby były zamknięte. Magdalena uchyliła je powoli. Specyficzny zapach długo nie używanego pomieszczenia uderzył w nozdrza. Nieśmiało weszli do środka. Uwięziony w ramionach Magdaleny Popiół zaczął popiskiwać. Postawiła go delikatnie na podłodze, jednocześnie rozglądając się po pomieszczeniu.

– Wszystko wygląda tak, jakby ktoś wyszedł i miał za chwilę wrócić – zauważyła Magdalena i wzdrygnęła się. – Może ktoś tu zamieszkał?

– Niemożliwe. Spójrz na tę warstwę kurzu – powiedział Piotr i przybliżył zapalkę do wieka dużej skrzyni.

– Nie wypalaj zapalek – zwróciła mu uwagę jego żona. – Może znajdziemy tu jakąś świecę.

Po omacku próbowali natrafić na coś, co nadawałoby się do oświetlenia wnętrza. W końcu Piotr ułamał kawałek gałęzi, którą omiatał pajęczyny i podpalił jej czubek. Na chwilę zrobiło się jasno. To wystarczyło, by Magdalena dostrzegła lampę naftową, z której na szczęście nafta jeszcze nie całkiem wyparowała. Postanowili przygotować sobie jakieś legowisko, a następnego dnia zająć się urządzaniem domu. Kierowana kobiecą intuicją Magdalena otworzyła skrzynię i wydobyla z niej lnianą tkaninę, która mogła być prześcieradłem lub równie dobrze obrusem. Rozścieliła ją na łóżku ze skrzynią wypełnioną słomą. Przykryli się kapą z łóżka.

– To nasza noc poślubna, wiesz? – wyszeptał Piotr i przygarnął Magdalene.

– Tak, poślubna... – westchnęła i prawie natychmiast oboje zasnęli.

Kiedy otworzyli oczy, przez małe okienko wpadało światło całkiem już rozbudzonego dnia. Magdalena przez dłuższą chwilę nie mogła sobie uświadomić, gdzie właściwie się znajduje. Przypomniała sobie jednak wydarzenia wczorajszego dnia i serce zabiło jej mocniej na myśl, że u boku ma świeżo poślubionego męża. Piotr sięgnął po duży, okrągły zegarek na srebrnym łańcuszku. Była to jedyna pamiątka po ojcu. Zegarek wskazywał dziesiątą. W izbie było przeraźliwie zimno i Magdalena pomyślała, że musi poszukać cieplejszego przykrycia. Ogarnęła wzrokiem pomieszczenie. W świetle dnia ujawniły się wczorajsze zarysy sprzętów, nabrały kształtów i barw. W lewym rogu przeciwległej ściany stał wielki bielony piec, nad którym wisiał oblepiony gliną okap. Niedaleko pieca stał stół z podnoszonym blatem, pod którym znajdowała się skrzynia przeznaczona na zapasy jedzenia. Za stołem pod ścianą ława, nad którą wisiały dwie półki z glinianymi misami, dzbankami i kubkami. Na haczykach przymocowanych do niższej półki wisiały drewniane łyżki. Skrzynia, w której Magdalena znalazła wczoraj lniane prześcieradło, stała nieco dalej. Nad łóżkiem wisiał obraz przedstawiający Matkę Boską ze złożonymi do modlitwy rękami. W izbie były dwa małe okienka, w tej chwili brudne i zakurzone, zasłonięte szarymi firankami. Magdalena westchnęła za Felisją, której pracowite ręce szybko poradziłyby sobie z kurzem i brudem. Teraz jednak sama musiała zaplanować kolejne czynności, którymi trzeba się zająć.

Piotr przymknął oczy i drzemał jeszcze wtulając twarz w jej ramię. Oddychał spokojnie i miarowo. Poza tym panowała cisza, którą nagle przerwało cichutkie skomlenie. Magdalena wychyliła się z łóżka, budząc tym pomrukującego z niezadowolenia Piotra. Po podłodze toczyła się szara, puchata kuleczka. Popiół przysiadł przy łóżku, wpatrując się w Magdalene czarnymi okrągłymi oczkami. Popiskiwał żałośnie.

– Pewnie jesteś głodny... Co ja ci dam jeść? – zastanawiała się głośno. Piotr zbudził się na dobre i wsparty na łokciu przyglądał się psu.

– Przydałoby się mleko. Nie pomyśleliśmy o tym, czym będziemy go karmić

w środku lasu. Prawdę mówiąc, sami też nie mamy co jeść – zafrasował się. Wysunął nogę spod kapy i aż się wzdrygnął. – Strasznie tu zimno, trzeba rozpaść w piecu.

Ubrał się szybko i wyszedł z izby. Magdalena okryta kapą wyjęła z torby resztkę chleba z karczmy i łamiąc go na drobniutkie kawałki zaczęła wkładać Popiołowi do pyszczka. Początkowo wypluwał wszystko, po chwili jednak przekonał się, że chleb jest jadalny i połknął kilka kawałków. Piotr przyniósł naręczę chrustu i zaczął rozpalać w piecu. Drobne patyki spłonęły błyskawicznie, ale nie zdążyły rozgrzać izby ani trochę.

Magdalena przysiadła na brzegu łóżka chrzęszczącego słomą i przez jakiś czas obserwowała wysiłki Piotra, który walczył z kopcącym, długo nie używanym piecem. Nagle rozplakała się.

– Jak my tu sobie poradzimy? Nie mamy co jeść, nie mamy czym się ogrzać. Dlaczego mnie tu przywiozłeś? Nie chcę tu być! Chcę wracać! Zabierz mnie stąd! – szlochała.

– Kochanie, uspokój się. Poprzedni mieszkańcy tego domu jakoś sobie poradzi i potrafili przeżyć tu kilka lat. Nie jesteśmy od nich gorsi. Chcesz, żeby znalazł nas twój ojciec i nas rozdzielił? Poza tym na pewno pozostały tu rzeczy, które potrzebne są w gospodarstwie. Poszukam siekiery i narąbię drewna. W lesie drewna nie brakuje, ogrzejemy się. Weź się w garść. Ubierz się i poszukaj czegoś, co nadaje się do jedzenia.

– Do jedzenia? Co tu może nadawać się do jedzenia? Umrzemy z głodu i nikt nas nie znajdzie – histeryzowała.

– Może w sadzie zostały jakieś owoce. No, nie płacz, Lenko. Zaradzimy tej biedzie. Potrzebujemy tylko czasu. Zobaczysz, jak będzie nam tu dobrze. No już. Nie płacz, ubierz się.

Magdalena ubrała się posłusznie, choć jeszcze łzy płynęły jej po policzkach. Postanowiła, że nie będzie się skarżyć. Są małżeństwem. Muszą oboje stawić czoła przeciwnościom, żeby być razem. Wyszła z domu, otuliła się szczelniej chustą i skierowała do sadu. Prawie wszystkie jabłka spadły między wysokie, schnące badyle. Zaczęła je rozgarniać wypatrując owoców. Było ich tam mnóstwo, w większości zgniłe, ale można było coś jeszcze ocalić. Odkryła też późną gruszę, na której wisiały ciemnozielone owoce. Na końcu sadu znalazła również jabłonkę, której jabłka jeszcze nie spadły. Były twarde i kwaśne, ale mogły zaspokoić głód. Niestety Popiół przy największej dobrej psiej woli takiego jedzenia nie tknie. Rozglądała się też za grobem, gdzie według słów księdza spoczywał jego brat, dzięki któremu ona i Piotr zaczęli wspólne życie. Wszystko jednak porośnięte było leśną trawą.

Adam odłożył zeszyt i przymknął oczy. Pod powiekami przewijały się różne obrazy. Widział wyraźnie Magdalenę niosącą w chuście nadgniłe jabłka, Piotra

rąbiącego drewno na opał. Widział też dom na kamiennej, omszałej podmurówce, teraz pełen życia, głosów, miłości tych dwojga. Nagle przed oczami pojawiły się upiorne szmaciane lalki patrzące przed siebie pustymi oczami. Co się stało z Magdaleną?

Wyciągnął rękę i zgasił lampkę nocną. Jutro do nich wróci. Jutro razem z nimi podejmie trud przetrwania.

W piecu buzował wesoło ogień. W izbie zrobiło się ciepło i można było zdjąć grubą odzież. Piotr na podwórku znalazł studnię, w komorze cebrzyk. Przyniósł wodę, którą zagrzał na piecu. Mogli się wreszcie umyć. Magdalena zatopiła zęby w jabłku, skrzywiła się, a w jej oczach znowu pojawiły się łzy.

– Zamiast płakać pokrój jabłko, ugotujemy z nich papkę. Będzie wprawdzie kwaśna, ale nie zaszkodzi na żołądek, co mogłoby się zdarzyć po zjedzeniu surowych owoców – poradził Piotr. Potem patrzył, jak nieporadnie kroi owoce i wrzuca je do małego saganka.

Potrawa nie była wykwintna, ale wypełniła puste brzuchy. Wtedy Piotr powiedział:

– Widzisz, Lenko, już jest lepiej. Jesteśmy najedzeni, umyć i jest nam ciepło. Teraz spróbujemy pomyśleć, co dalej. Trzeba się zastanowić, jak zdobyć krowę.

– Krowę? – zapytała wytrzeszczając oczy.

– I kury – ciągnął niezrażony – mielibyśmy mleko i jajka. Pieniądze, które mam, nie wystarczą. Może wybrać się do wsi i poprosić o pomoc księdza?

– Mamy iść taki kawał drogi? Wyprawa do wsi przecież zajmie cały dzień. Pamiętasz, ile godzin błądziliśmy? A jeśli ksiądz odmówi?

– Pójdę sam. Mam przecież mapę. Wydaje mi się, że ta wieś po drugiej stronie lasu jest bliżej. Może udałoby mi się znaleźć tam jakieś zająćie?

Piotr obmacywał kieszenie, Magdalena zaś czyniła wysiłki, by powstrzymać nowe łzy, które napłynęły na samą myśl o samotnym pozostaniu w chacie.

– Pamiętasz, gdzie schowaliśmy tę mapę? – zapytał udając, że nie dostrzega przerażenia w jej oczach – byłem pewien, że mam ją w kieszeni...

Rozejrzał się po izbie, potem spojrzał na nią tak, że wstała i sięgnęła do swojej skórzanej torby, gdzie schowała zwinięty rulonik. Musiała wyjąć wszystko, bo zawieruszył się na samym dnie torby. Wtedy zobaczyła swój kuferek.

– Piotr! – krzyknęła, zapominając o strachu, który czuła przed chwilą. – Mam! Mam pieniądze! – Wysypała na stół całą zawartość kufereka. Była tam jej biżuteria, w większości prezenty od ojca, i niewielki zwitek banknotów. – Jesteśmy uratowani!

– Lenko, to twoje pamiątki. Nie możemy tego sprzedać. A pieniądze... To wstyd, żeby mąż korzystał z pieniędzy żony.

– Nie bądź głupi. Na tych błyskotkach mi nie zależy. Po co mi one tutaj.

Przed kim mam się stroić? W dodatku są od ojca. Nigdy mu nie zapomnę tego, co musimy przez niego przeżywać. Gdyby nie jego upór, nie głodowalibyśmy teraz. Weź je, proszę.

– Dobrze... Obiecuję, że wynagrodzę ci to. Nie będziemy wiecznie biedni. Nie będziemy tu mieszkać przez całe życie. Zobacysz, będziesz miała wszystko!

Piotr rozwinął mapkę i długo jej się przyglądał. Zgarnął ze stołu kosztowności i schował je do kieszeni.

– Idę – powiedział i spojrzał na nią pytająco.

Nie powiedziała nic na pożegnanie. Schyliła się po psa i wtuliła twarz w jego ciepłe futerko, a on podniósł pyszczek i zaczął lizać ją po policzku.

Kiedy Piotr wyszedł, dała Popiołowi resztę chleba, pogłaskała go po łebku i poszła rozejrzeć się po gospodarstwie. Starła się nie myśleć o tym, że jest sama, zupełnie samiuteńka w środku ogromnego lasu, ani o tym, co zrobi, jeśli Piotr nie wróci.

– Wróci! – powiedziała na głos i zacisnęła pięści.

W komorze znalazła wianuszek suszonych grzybów skurczonych czasem i lniany worek wypełniony do połowy zbożem. Wychowana w mieście, nie miała pojęcia, co to za zboże. Wiedziała tylko, że można z niego zrobić mąkę. Powąchała ziarno i ucieszyła się, że nie pachnie stęchlizną. W sadzie zebrała kilka kwaśnych jabłek i wzdrygnęła się na samą myśl o kolejnej porcji rozgotowanej papki. Przejrzała zawartość drewnianej skrzyni, gdzie znalazła trochę lnianej pościeli i pasiastą kapę na łóżko. Wspięła się po drabinie na poddasze, pełniące rolę stodoły. Na drągu wspartym o deski wisiała pierzyna i poduszki, wyniesione tu pewnie do wietrzenia. Na podwórzu prócz studni były dwie szopy sklecone z okrągłych belek. Jedna z nich pełniła rolę drewnutni, druga chyba kurnika. Całość gospodarstwa otaczał płot, zarosnięty suchą trawą i krzakami. Sztachety wykrzywiły się, część spróchniała, więc w niewielkim stopniu chroniły przed dziką zwierzyną. Magdalena zaczęła wyrывать trawę i badyłe zarastające podwórko. Pracowała tak do zmierzchu, od czasu do czasu spoglądając w kierunku, gdzie zniknął Piotr. Zmrok gęstniał, z gałęzi poderwał się duży ptak, załopotał skrzydłami i odfrunął kracząc głośno. Poczuli się nieswojo. Wróciła do domu, zapaliła naftową lampę i zajrzała do pieca. Tliło się jeszcze. Podrzuciła trochę suchych gałązek i zaczęła w nie dmuchać, tak, jak robił to Piotr. Żar rozjaśnił się i przerodził w mały płomyk, który natychmiast zaczął gasnąć i dymić. Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić. Dym gryzł ją w oczy i mimo że dmuchała coraz mocniej, piec najwyraźniej wygasiał. Zrezygnowana sięgnęła po chustę i okryła nią zziębnięte plecy. Wtedy buchnął płomień. Drobne gałązki zajęły się, dając chwilowe ciepło. Ostrożnie włożyła do pieca kawałek drewna i czekała w napięciu. Pociemniało, ale nie zgasło. Kiedy po paru minutach piec zahuczał wesołym płomieniem, postanowiła pilnować ognia. Szczękając zębami z zimna i ze strachu,

udała się do drewnutni, gdzie uchoowało się kilka kawałków drewna rozrzuconych niedbale. Pozbierała je po omacku i przyniosła do domu. Popiół podbiegł merdając króciutkim ogonkiem. Przytuliła go szepcząc pieszczotliwie, jakby chciała wynagrodzić mu własną bezradność.

Wyjęła dziennik i zapisała pod datą 12 listopada minione wydarzenia. Pomyślała o konieczności regularnych wpisów, które będą pełnić rolę kalendarza. Dni zapowiadają się podobnie i w końcu zagubią się w upływającym czasie. Poczula głód. Z niechęcią spojrzała na jabłka, zamknęła na haczyk drzwi, powlekła poduszki i pierzynę. Dołożyła resztę drewna do pieca, zdmuchnęła lampę i ułożyła się na słomianym pośłaniu. Szczeniaka umieściła na poduszce obok. Czula się rażniej mając przy sobie żywe stworzenie. Polizał ją szorstkim języczkiem po twarzy, zaskomlał cichutko i zasnął. Magdalena zazdrościła mu tego snu. Leżała z szeroko otwartymi oczami i nasłuchiwała obcych dźwięków lasu. Drzewa szumiały i skrzypiały coraz głośniejsze, jakby podeszły pod sam dom i szeptały swoje tajemnice. Sprzęty w ciemności stały się obce, nabrały innych wymiarów, jakby falowały. Drewno w piecu posykiwało złowieszczo. Szelesty zza okien przypominały czyjeś kroki. Przed oczami stanął jej grób wykopany gdzieś w sadzie. Brat księdza wciąż tu jest, może nocami obchodzi dom, dogląda gospodarstwa? Skurczyła się ze strachu i zaczęła się zastanawiać, gdzie jest teraz Piotr. Może przedziera się przez leśne krzaki i nie może trafić do domu? A może został na noc we wsi, nie myśląc o tym, że ona się boi? Zacisnęła powieki i naciągnęła pierzynę na głowę. Dźwięki przycichły. Zmęczona dniem, pracą, wrażeniami, odpłynęła w krainę snu.

Ranek przywitał ją szumem deszczu i skomleniem psa. Piotra wciąż nie było. W piecu dawno wygasło i w izbie panował przejmujący chłód. Piszczący z głodu Popiół dopełniał uczucia bezsilności i beznadziejności sytuacji. W drewnutni nie było ani kawałka drewna, tylko porzucona w kącie siekiera. Magdalena nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna. Dokuczał jej dotkliwy głód. Nadgryzła jabłko, ale przy próbie przełknięcia poczuła mdłości. Szlochając rzuciła się na łóżko. Wraz ze łzami wylewała cały żal, jaki zgromadził się w niej od chwili przestąpienia progu tego domu. Nie wierzyła, że może ją tu spotkać coś dobrego.

Mijały godziny, a ona wciąż leżała, czekając powrotu Piotra. Nawet Popiół zrezygnowany skulił się w kącie izby i zapadł w drzemkę. Za oknami było już zupełnie ciemno. Osłabiona płaczem i głodem, nie wstała nawet po to, by zapalić lampę. Pies nie ruszył się ze swojego kącika. Leżał tam zwinięty w kłębek. Bała się sprawdzić, czy oddycha. Jakiś czas jeszcze nasłuchiwała kroków, w końcu znużona zasnęła.

Obudził ją dziwny hałas. Na pewno nie był to człowiek. Usiadła przerażona na łóżku. Dźwięk dochodził z podwórka. Ciężkie stąpanie, prawdopodobnie dużego zwierzęcia, zbliżało się do drzwi. Jeśli trąci łbem, bez wysiłku je wyważy –

pomyślała. Naciągnęła pierzynę na głowę i zaczęła się modlić. Drzwi otworzyły się, a po chwili coś ściągnęło z niej nakrycie.

– Kochanie – usłyszała – kochanie, już jestem. Przyprowadziłem krowę.



Piotr prócz krowy miał jeszcze worek. Wyjmując z niego dwie kury i koguta, powiedział:

– Tyle udało mi się wytargować od pewnego Żyda. A to dla ciebie. Gościniec. – Podał jej zawiniątko, które z niecierpliwością rozwijała. Nie wyzbyła się jeszcze przyzwyczajęń z bogatego domu, kiedy obdarowywana była prezentami. Takich podarków jednak nie otrzymywała. Jej oczom ukazały się podpłomyki, kawałek sera i osełka masła.

– Piotrze, nigdy jeszcze nie otrzymałam tak cudownego prezentu! – krzyknęła rzucając mu się na szyję.

Coś ścisnęło go za gardło. Magdalena, której nigdy niczego nie brakowało, która otrzymywała złote naszyjniki i pierścionki, cieszy się na widok podpłomyków, jakimi zadowalają się najbiedniejsi. To dla niego wybrała takie życie. Przytulił ją bardzo mocno.

– Chodź, Piotrze, zjedzmy to – zaproponowała uwalniając się z jego uścisku. – Na pewno jesteś głodny. Ja od wczoraj nic nie miałam w ustach. I Popiół... Nie wiem, czy on jeszcze...

– Żyje, żyje – roześmiał się Piotr – spójrz, jak do nas biegnie.

Nabrał trochę masła na palec i podsunął mu pod pyszczek. Popiół szybko je zliżał, przysiadł na tylnych łapkach i poprosił o więcej. Magdalena ułamała kawałek sera, który też psu smakował.

– Wygląda na to, że jest wszystkożerny – zauważył uradowany Piotr.

– Nieprawda. Jabłek nie chciał – przypomniała Magdalena.

Rwała podpłomyk, zbierała nim masło i jadła łapczywie.

– Nie jedz tak szybko, Lenko, bo się rozchorujesz – upomniał ją Piotr. – Zbyt długo byłaś głodna.

– Nie jem szybko – odpowiedziała z pełnymi ustami i poczęstowała taką samą porcją Piotra. Jedli we trójkę. W końcu Popiół z pełnym brzuszkiem potoczył się do swojego kąta, gdzie Magdalena przygotowała mu legowisko. Po drodze zrobił sporą kałużę. Ale nawet to nie było w stanie oburzyć Magdaleny zachwyconej obecnością Piotra. Położyli się w czystej pościeli syci i pełni optymizmu na przyszłość.

Kolejny dzień wstał radośniejszy, z przebłyskami słońca. Magdalena obudziła się wcześniej i w dobrym humorze. Szczękając zębami umyła się w zimnej

wodzie i zaczęła krząć się po izbie, gdy usłyszała podejrzone dźwięki w sieni. W pierwszej chwili znieruchomiała, potem odważnie otworzyła drzwi.

– Piotrze, Piotrze! Co to za pomysł, żeby kury chodziły po domu! A sio! Uciekajcie! A sio! Piotr! Zabierz je stąd! Czemu ten kogut tak wytrzeszcza oczy?

Piotr zaśmiewał się widząc przerażoną minę Magdaleny.

– Skoro boisz się koguta, jak wydoisz krowę?

– Nigdy nie wydoję krowy!

– Wydoisz, wydoisz. Musisz się tego nauczyć. Co będzie, jeśli wyjdę na dłużej z domu?

– Nie wyjdiesz. Już nigdy cię nie wypuszczę! – przekomarzała się. Ale Piotr spoważniał.

– Lenko, takich rzeczy musisz się nauczyć. Mieszkamy sami w lesie. Mogę zachorować, zgubić się, zranić...

– Nawet nie próbuj opowiadać takich rzeczy. Nie możesz chorować. Nie poradzę sobie bez ciebie.

– Chodź ze mną. To nie jest takie trudne. Zobaczysz.

Magdalena zarzuciła chustkę na plecy i posłusznie wyszła za Piotrem. Na widok krowy wykrzyknęła:

– Nie! Nie! Jest za duża, nie zbliżę się do niej. Tupie nogami i wywijają ogonem.

– Jest bardzo łagodna. Chodź, nic ci nie zrobi – uspokajał żonę Piotr. – Trzeba ją doić trzy razy dziennie, co osiem godzin. Każde dojenie to dziesięć litrów mleka, czyli każdego dnia będziemy mieć trzydzieści litrów.

– Nie można wydoić mniej? Po co nam tyle mleka? – zawołała przerażona.

– Jak to po co? Masło, śmietana, ser...

– Nie umiem robić masła ani sera!

– Nauczę cię. Wszystkiego cię nauczę. Robiłem to, kiedy mieszkałem na wsi. Musiałem pomagać w gospodarstwie.

– Nie wiedziałam, że mieszkałeś na wsi.

– Czy przez to mniej mnie kochasz? – roześmiał się.

– Ależ nie! Cieszę się, że potrafisz to robić.

Magdalena przyglądała się pilnie, jak Piotr doi krowę do drewnianego cebrzyka. Potem wszyscy razem pili mleko ze smakiem. Popiół napelniwszy brzuszka, zasnął w swoim kącie, Piotr resztę dnia spędził na poszukiwaniu paszy dla krowy, Magdalena podśpiewując szorowała, czyściła i prała, pozbywając się brudu i kurzu. Stwierdziła nawet, że taka praca może przynosić radość, jeśli widzi się jej efekty. W leśnej chacie zaczęło być naprawdę przyjemnie.

– Adam! – dobiegło do niego wołanie z kuchni. – Nie od razu uświadomił sobie, gdzie jest. Zamknął zeszyt i poszedł do matki. – Biegnij po pieczywo. Nie mamy nic na śniadanie. Tu masz pieniądze. I mleko kup!

Zbiegał na dół pokonując po dwa schody naraz. Ogłuszył go szum jadących samochodów, oślepiło słońce. Z zazdrością pomyślał o przyjemnym chłodzie i spokoju, w jakim przebywała Magdalena z Piotrem. I o świeżym mleku. Prosto od krowy. To, co przeżywał, zdumiewało go. Ilekroć przestawał czytać pamiętnik Magdaleny, trudno mu było powrócić do realnego świata, który był tu i teraz. Coraz bardziej wnikał w ich życie. Widział wszystko i słyszał, jakby był tam razem z nimi. Nigdy nie doznał czegoś takiego czytając jakąkolwiek inną lekturę. Czy może zdarzyć się tak, że kiedyś nie wróci, bo czas dokona transformacji, pozostawi go w chacie, w samym środku bieszczadzkiej głuszy, tuż przed wojną, w towarzystwie Piotra i Magdaleny? Czy to prawda, że człowiek żyje na różnych poziomach, w innych rzeczywistościach? Podobno każdy ma filtr w mózgu, który pozwala mu na skupieniu się na świecie fizycznym, tym wokół siebie, nad którym jest w stanie panować. Adam przenosząc się w czasy Magdaleny był jedynie bezwolnym obserwatorem.

Kupował bułki, mleko w kartonie, wciąż jednak słyszał wesołe podśpiewywanie Magdaleny, widział, jak przeciera szyby w małych okienkach, zdejmując szare firanki do prania. Właśnie otworzyły się drzwi.

– Spójrz, znalazłem...

– Spójrz, znalazłem jedno jajko! – zawołał zadowolony Piotr, stając w otwartych drzwiach.

– Jajko! – wykrzyknęła i klasnęła w ręce Magdalena. – Co zrobimy z jednym jajkiem?

– Dodamy trochę mleka, trochę mąki...

– Skąd weźmiemy mąkę?

– Utlukę z ziarna, które znalazłaś w komorze. Wymieszamy wszystko razem i upieczemy.

Magdalena podziwiała Piotra, przy nim czuła się bezpiecznie. Nawet praca fizyczna, której tak naprawdę nigdy wcześniej nie zasmakowała, tutaj, u boku Piotra, sprawiała jej przyjemność. Piotr był mądry. I bardzo pracowity. Praktycznie całe dnie spędzał poza domem. A to oborę dla krowy budował, to znów zniknął gdzieś, wracał wieczorem, zawsze przynosząc jakąś zdobycz. Najbardziej cieszyli się z wózka na dwóch kółkach z długim dyszlem, który nie raz pomógł w przywiezieniu zboża w worku, ziemniaków czy kapusty. Magdalena wołała nie pytać, skąd Piotr to wszystko bierze. Nie chciała się dowiedzieć, że okradł komuś pole czy komorę.

Ona tak, jak umiała, zajmowała się gospodarstwem. Wieczorami robiła zapiski w swoim zeszycie, skrupulatnie oznaczając je datami. Dzięki temu zauważyła, że niedługo będą święta, a tuż przed nimi rocznica poznania Piotra w cukierni Bliklego. Po raz pierwszy boleśnie zatęskniła za domem, matką, Stasiem. Przed jej oczami jak żywa stanęła Felisia z ubielonymi mąką rękoma,

przygotowująca pierogi z kapustą i grzybami. Zapach pieczonych ciast i mięs rozniósł się po całym domu. Święta Bożego Narodzenia w jej domu były obfite w jadło i bogate w prezenty. Choinka musiała obowiązkowo sięgać sufitu. Tutaj wprawdzie choinek nie brakowało, ale czym ją przystroi? W pierwszej chwili chciała podzielić się tą troską z Piotrem, doszła jednak do wniosku, że dość ma innych problemów, by zajmować się błahostkami. Poza tym dlaczego nie miałyby zrobić mu niespodzianki? Ucieszyła się nawet, że będzie miała zajęcie, które pozwoli oderwać się od smutnych myśli o porzuconym domu. Odtąd każdego dnia wymyślała nowe ozdoby. A to słomę podkradzoną krowie pocięła na drobne paseczki i nanizła na konopne nici, to znów nazbieranym szyszkom brzegi klajstrem z mąki oszroniła, nasuszyła na piecu plastrów jabłek i powycinała w gwiazdki. A wszystko skrzętnie chowała przed Piotrem na górze, w stodole.

Piotr zdawał się nie zauważać umykających dni, pierwszego śniegu za oknem. Jak się jednak okazało, też myślał o świętach. Na kilka dni przed Wigilią przywiózł na wózku dzika. Magdalena za głowę się złapała i przede wszystkim obejrzała Piotra z każdej strony, czy nie jest po walce ze zwierzęciem ranny. Ale on roześmiał się tylko.

– We wnyki wpadł. Męczył się, więc dobiłem. Na święta jak znalazł.

– Wiesz, kiedy święta? – zdziwiła się.

– Mam i ja swój kalendarz. Na pniu uschniętego drzewa co dzień wycinam jedną kreskę. W Wigilię rano pójdziesz ze mną i wybierzesz świerczek w lesie, to ci go wytnę. A dzika musimy sprawić od razu.

– Boże, jak? Tyle mięsa! A nie popsuje się?

– A cóż by z nas za gospodarze byli, żeby mięso miało się popsuć? Uwędzimy je.

– Uwędzimy?

– Tak, w becze. Będziesz jednak musiała mi pomóc. Najpierw postaramy się o drewno. Koniecznie z liściastego drzewa. Może być dąb albo buk.

Do wieczora wszystko było gotowe. Skóra zdjęta, mięso uwędzone lub obłożone śniegiem czekało na swój czas bulgotania w garnku. Teraz już Magdalena nie mogła doczekać się pierwszych wspólnych świąt w leśnym domku. Podpatrywała Piotra, a potem z dumą sama szykowała masło, sery, zbierała śmietanę. Odkładała jajka, żeby jak najwięcej zapasów zgromadzić na tę okoliczność. Martwiła się tylko, że żadnego podarku nie ma dla Piotra i zachodziła w głowę, co mogłaby mu przygotować w warunkach, w jakich się znalazła. Kiedy zobaczyła, jak kurnik wymiata świerkową gałązką, nazbierała brzożowych witek i uwiązała z nich piękną miotłę. A żeby nie pomyślał, że liczy się dla niej tylko jego praca, uformowała wielkie serce z ciasta, posypała odrobiną cukru, który chowała na wielką okazję, i upiekła na piecu.

W dzień Wigilii poszła z Piotrem w głąb lasu, by wybrać nieduży świerczek

do wycięcia. Piotr ustawił go w kącie izby i wyszedł do szopy. Nie było go na tyle długo, że Magdalena zdążyła przybrać drzewko. Wyglądało pięknie i naturalnie w słomkowych łańcuchach, gwiazdkach i pobielonych szyszkach. Pod choinką ułożyła prezenty i przykryła je białym płótnem. Popiół przyglądał się wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem. Piotr wszedł do izby i oniemiał z zachwytu.

– Lenko! Jak ślicznie ozdobiłaś choinkę! Widzę, że będziemy tu mieli prawdziwe święta!

Magdalena aż zarumieniła się z zadowolenia. Potem zaczęła nakrywać świąteczny stół. Nie zabrakło białego obrusa i sianka pod nim. Uwiła ze świerkowych gałązek wianki i przystroiła je szyszkami, Piotr natomiast pozapalał wszystkie lampy naftowe, jakie były w domu. Wieczerej jedli miło gawędząc i podśpiewując kolędy.

– Ach, Piotrze! Zjrzyj koniecznie pod choinkę. Zdaje się, że coś tam dla siebie znajdziesz – zawołała Magdalena.

Piotr długo śmiał się z mioty, wzruszył się na widok serca z ciasta i mocno wyściskał Magdalenę. Potem powiedział:

– Wiesz, ja też mam coś dla ciebie. Przyniosę z komory.

Magdalena czekała niecierpliwie. Była bardzo ciekawa prezentu od Piotra. Toteż aż krzyknęła, gdy wniósł coś dużego i ustawił pod choinką.

– Co to jest, Piotrze? Co to za maszyna?

– To krosna, Lenko – roześmiał się widząc jej zdumioną minę – będziesz mogła sama tkać płótno i szyć nowe koszule.

– Skąd je masz?

– Koło we wsi dostałem, jak kupowałem krowę. A resztę to już sam zmajstrowałem.

– Jaki ty jesteś zdolny! – Patrzyła na niego z podziwem i nagle posmutniała.

– Ale ja nie umiem tkać. Nie wiem, jak mam się z tym obchodzić.

– Nie martw się. Wszystko ci pokażę. Na wiosnę zasiejemy len. Będzie z tego olej i piękny obrus, który utka moja piękna żona.

Święta upłynęły w przyjemnym nastroju. Po Nowym Roku jednak zaczęła się długa i ciężka zima. Śnieg padał nieustannie i Piotr musiał wciąż go odgarniać, by dojść do obory i kurnika. Kiedy śnieżyca ustała, przyszedł mróz. Tak silny, że trzeba było ciągle dokładać do pieca, żeby utrzymać w chacie na tyle znośną temperaturę, by nie grabiwały ręce. Piotr nie mógł nastarczyć drewna, które znikало szybko w piecu. Dwie kury ledwo się niosły, a krowa dawała dużo mniej mleka. Magdalena przestała tak hojnie gospodarować jedzeniem, Piotr natomiast nie znikał na całe dni w poszukiwaniu coraz to nowych łupów. Najwięcej czasu spędzali przy piecu i niecierpliwie czekali wiosny. Kiedy z dzika nie zostało ani śladu i Magdalena wytrząsnęła resztkę mąki z worka, zaczęły się roztopy.

Był początek marca. Magdalena zdjęła z palca ostatni pierścionek z dużym

brylantowym oczkiem i wręczyła go Piotrowi.

– Mówiłeś, że trzeba kupić ziarno. Wystarczy?

– Ależ to pamiątka po twojej babce! Jej zaręczynowy pierścionek! – zaprotestował Piotr.

– Pierścieniem się nie najemy. Trzeba siać. Tak mówiłeś. Czy ten pierścionek wystarczy? – Dotknęła krzyżyka na złotym łańcuszku, którego nigdy nie zdejmowała. Piotrowi ścisnęło się serce.

– Wystarczy, Lenko – powiedział cicho – wystarczy...

Wziął z szopy wózek i zniknął w gąszczu lasu.



Minęły dwa dni, a Piotr nie wracał. Spokojna dotąd Magdalena zaczęła się martwić. Wyglądała przez małe okienka, wychodziła przed dom, podchodziła do płotu, nasłuchiwała. Niczego jednak, prócz narastającego gwaru ptaków i szumu drzew, nie słyszała. Popiół dreptał za nią i skamlał żałośnie. Klepała go po łebku, dodając otuchy bardziej sobie niż jemu. – Pan wróci, musiał załatwić ważne sprawy, ale wróci, na pewno. – A potem rozglądała się wokół w nadziei, że zaraz go ujrzy wyłaniającego się z ciemnego lasu. Niestety zapadała kolejna noc, a Piotra wciąż nie było.

Dnie były znośne. Przyzwyczajona do częstej nieobecności męża, zajmowała się drobnymi pracami w domu. Zwykle wracał wieczorem, a przy jego boku nie obawiała się niczego. Samotne noce budziły niepokój. Szmary wiatru i szelesty traw urastały do demonicznych szeptów, tajemniczych kroków, czyjegoś ciężkiego oddechu tuż nad głową. Nawet Popiół spał niespokojnie, budząc się co chwilę i nasłuchując. Czasami zrywał się, podbiegał do drzwi i wracał na swoje miejsce. Mówią, że zwierzęta mają dodatkowy instynkt i odbierają znaki nadprzyrodzone. Dlatego Magdalena lękała się takich zachowań.

Tej nocy Popiół wciąż podnosił się ze swego legowiska. Jakby coś czuł. Biegał od okna do okna, węszył pod drzwiami. W końcu usiadł przy łóżku Magdaleny i wpatrywał się w nią w napięciu. Odezwała się do niego:

– Popiół, co się stało? Dlaczego tu siedzisz? Wracaj na miejsce!

Zachowanie psa skłaniało ją do niedobrych myśli, była pewna, że coś złego przytrafiło się Piotrowi. Zsunęła nogi z łóżka i powoli, jakby się wahając, czy to ma sens, zaczęła się ubierać. I dokąd pójdzie? Gdzie będzie szukać Piotra? Nie zna ścieżek, którymi on chodzi. Zapaliła lampę i zaczęła szukać mapy podarowanej przez księdza. Wtedy ktoś załomotał do drzwi. Głośno i przejmująco. Potem jeszcze raz i jeszcze, w końcu łomot nie ustawał. Magdalena struchlała. Popiół zaczął szczekać zajadle.

– Otwieraj! – usłyszała zmieniony głos Piotra. – Otwieraj, na miły Bóg! Szybko!

Pobiegła do drzwi, potrącając po drodze sprzęty. Ręce trzęsły się jej, gdy podnosiła haczyk. Piotr był blady, oglądał się nerwowo za siebie.

– Coś mnie goniło! Nie widziałem w ciemności, chyba niedźwiedź! Boże! Nareszcie. Zamknij te drzwi. Czekał, sam zamknę. Daj mi wody.

Magdalena złapała blaszany kubek, zaczerpnęła wody z wiadra i podsunęła naczynie Piotrowi. Pił łąpczywie, opróżnił kubek i podał go żonie. Nalała znowu, wypił do połowy i odetchnął.

– Lenka, ledwie uszedłem z życiem. Wózek zostawiłem. Nie pamiętam gdzie. Był ciężki, musiałem go porzucić, bo nie zdołałbym uciec – tłumaczył się.

– Przestań myśleć o wózku – oburzyła się Magdalena. Najważniejsze, że żyjesz!

Adam odłożył zeszyt i wytarł pot z czoła.

Dwa lata temu, chyba w kwietniu, niedźwiedź zaatakował człowieka. Starszego mężczyznę. Strasznie go poranił. Gdyby nie syn, który odpędził zwierzę głośnym krzykiem, byłoby po nim. Adam czytał o tym w jakiejś gazecie. Niedźwiedzie nie atakują, jeśli nikt ich nie zaczepia. No, chyba że jest to samica z młodymi i czuje się zagrożona. Niedźwiedzia mógł przestraszyć terkoczący wózek, dlatego ruszył na Piotra. Uciezka jest najgorszym rozwiązaniem. Niedźwiedź rzuci się na pewno na swoją potencjalną ofiarę. Piotr miał dużo szczęścia. Gdyby nie zdołał uciec, pewnie by tego spotkania nie przeżył. Co zrobiłaby bez niego Magdalena?

– Co bym bez ciebie zrobiła? – rozplakała się jak dziecko i przytuliła do Piotra. Odsunął ją od siebie i spojrzał głęboko w oczy.

– Musiałabyś uciekać stąd, Lenko. Nie poradziłabyś sobie. Posłuchaj, jeśli kiedyś – zaczął mówić szybko, jakby miał nie zdążyć udzielić jej tych kilku rad – jeśli coś mi się stanie, musisz stąd odejść. Mapa będzie zawsze w tym samym miejscu, w skrzyni. Zanim wyjdiesz, przestuduj ją dokładnie. Kiedy dojdiesz do wsi, zapytasz ludzi. Najlepiej...

– Przestań! – krzyknęła histerycznie – przestań, rozumiesz?! Dlaczego mi to robisz?! Chcesz odejść? Znudziłam ci się, tak? Bo nic nie umiem? Dlatego? – Stała naprzeciw, z zaciśniętymi pięściami, a łzy lały się jej po policzkach.

– Uspokój się, Lenko, uspokój – starał się mówić łagodnie. Wiedział, że puściły jej nerwy po długich godzinach oczekiwania, zamartwiania się, wreszcie po wrażeniu, jakie musiała wyrzucić na niej jego ewentualna śmierć. – Lenko, mówię to tylko na wszelki wypadek. Wcale tak nie będzie, ale wolę, żebyś to wiedziała.

– Wcale tak nie będzie, więc po co mam to wiedzieć? – zaszlochała.

– Po to, żebyś mogła spokojnie pójść do wsi albo do lasu wyrąbać drzewo. Żebyś mogła myśleć o tym, jak coś zdobyć lub co zrobić dla nas, a nie o tym, co stanie się z tobą, jeśli stanie się coś ze mną, rozumiesz? – Kiedy słuchała jego spokojnego głosu, jej pięści rozluźniały się powoli, aż otworzyły się zupełnie. – Chcę, żebyś wiedziała – mówił dalej, a jej twarz łagodniała – co masz robić, jeżeli kiedyś nie będę mógł wrócić. Ty musisz wtedy wrócić do ojca.

– Nigdy! – krzyknęła zaciekle, a jej oczy zapłonęły. – Nigdy, słyszysz?! Wolę umrzeć tutaj albo niech mnie rozszarpie ten twój niedźwiedź, wszystko

jedno, ale nigdy nie wrócę do ojca!

Nie powrócili więcej do tego tematu.

Piotr zrobił sochę z drewna i z trudem wspólnie zaorali pole, które tak długo leżało odłogiem. Obsiali je w większej części żytem, w mniejszej lnem. Zasadzili ziemniaki. Piotr trochę obawiał się o plony na takiej poleśnej ziemi, ale ksiądz mówił przecież, że jego brat wraz z żoną uprawiali tu rolę i na zbiory nie narzekali. W kwietniu jedna z kur wyraziła ochotę na macierzyństwo. Siedziała cierpliwie na piętnastu jajach, a uszczęśliwiona Magdalena przynosiła jej ziarno i wodę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za trzy tygodnie wylęgną się kurczęta. Trzeba było pilnować psa, bo podbiegał do kwoki, żeby się z nią podroczyć. Zrywała się wtedy z gniazda, machała skrzydłami i starała się dosięgnąć intruza dziobem. Były to jedyne momenty, kiedy Magdalena naprawdę gniewała się na swojego pupila. Krowę Piotr od niedawna zaczął wyprowadzać na polanę i Magdalena trzy razy dziennie robiła krótkie wycieczki, by ją wydoić. Czasem zastanawiała się, jaką minę zrobiłaby matka, widząc, jak radzi sobie w gospodarstwie. O ojcu nie myślała wcale.

Na początku maja wesoła gromadka trzynastu żółtych kuleczek biegała po małej zagrodzie z żerdzi. Z jednego jaja nic się nie wylęgło, jedno pisklą zaś było zdeformowane, nie przeżyło i Magdalena zakopała je w rogu podwórka.

– Po co zakopywałaś? Mogłaś dać Popiołowi – zauważył Piotr.

– Mój przyjaciel pies nie będzie zjadał dzieci moich przyjaciółek kur – odparła i odeszła z godnością rzucić kurczętom posiekane listki młodej pokrzywki.

Piotr cieszył się zaangażowaniem Magdaleny we wspólne gospodarstwo. Jakaż była inna od Magdaleny, którą poznał w cukierni. W prostej płócienną sukni uszytej z prześcieradła, w kapeluszu uwitym z trawy, opalona wczesnym wiosennym słońcem wyglądała jak nimfa. Piotr wodził za nią zakochanymi oczami, ilekroć znalazła się w ich zasięgu. Czasem siedząc przy wieczornym kubku ciepłego mleka starał się poruszyć temat odejścia stąd, rozpoczęcia innego życia w jakimś bardziej cywilizowanym miejscu.

– Jeszcze nie czas – ucinała krótko – dopiero zaczęliśmy tu gospodarzyć. Nie nauczyłam się wszystkiego. Mamy zwierzęta. Poza tym jest mi tu dobrze.

W gruncie rzeczy Piotr był zadowolony. Pokochał to miejsce, mimo że niewątpliwie było im trudniej niż ludziom żyjącym wśród innych. Chciał jednak wiedzieć, czy Magdalena nie czuje się nieszczęśliwa krzątając się między kurami. W końcu to panna z dobrego domu, która dawniej grała na pianinie i czytała piękne książki o miłości.

Po mroźnej zimie lato okazało się upalne. Magdalena na przemian z Piotrem nosili wiadrami wodę na swoje uprawy. I chyba tylko dzięki temu w sierpniu zebrali hojny dar ziemi. Pole nie było duże, ale w sierpniowym słońcu ciężko było schylać się z sierpem, wiązać snopki zboża.

Lnu nie wolno kosić, tak powiedział Piotr, a Magdalena zawsze liczyła się z jego zdaniem. Wyrywała go ręcznie, układając prościutkie wiązki, żeby się nie powyginał. Dopiero po upływie doby można było go zebrać i poustawić w zgrabne daszki, żeby równomiernie wysechł. Tych i wielu innych rzeczy uczyła się Magdalena od Piotra, a on ją chwalił, jaką to pojętną jest uczennicą. Przyszedł też czas na ziemniaki, które po zebraniu umieścili w kopcu z ziemi. Magdalena cieszyła się, że tej zimy głodu nie zaznają. Jesienią zaczynają nieść się młode kurki, to i jajek przybędzie. Gromadziła zapasy jak skrzętna gospodyni, ale tak naprawdę bała się głodu i sytuacji, gdy nie będzie miała czym nakarmić męża i swoich ukochanych zwierząt.

Właśnie nabierała wody ze studni, by zanieść ją krowie na polanę, gdy jej oczom ukazał się Piotr. Długo jednak się przyglądała, zanim uznała, że to naprawdę on. Jego twarz była obrzmiała, a oczy przybrały kształt wąziutkich szparek.

– Piotr, to naprawdę ty? – zapytała dla pewności.

– A któż by inny – jęknął i postawił na trawie wiklinowy kosz. – Wyjmij ostrożnie to, co jest w środku.

– A co jest w środku? – zapytała nieufnie. – Jeśli to wyjmę, będę wyglądała tak, jak ty?

– Co ty opowiadasz. Mnie pokąsały pszczoły. Wczoraj natrafiłem na barć. A dziś się do niej dobrałem. W koszu są plastry miodu. Wyjmij ostrożnie.

– Jak ty wyglądasz, ledwo cię poznałam! Nie mogłeś jakoś tych pszczół przegonić?

– Okadzałem dymem, ale nie wszystkie uciekły. Niektóre zaciekle broniły gniazda. Ale to nic. Opuchlizna zejdzie, a my będziemy mieli miód.

Opuchlizna jednak schodziła powoli, a skóra Piotra pokryła się wysypką. Zaczął skarżyć się na duszności i przerażona Magdalena kazała mu położyć się do łóżka.

Wszystko wskazuje na to, pomyślał Adam, że Piotr jest uczulony. Kolega Adama miał kiedyś wstrząs anafilaktyczny. Bez lekarza i podania zastrzyku adrenaliny przeniósłby się na tamten świat. Jeśli to nie wstrząs, Magdalena powinna go czymś odczulić. Amoniakem albo cebulą.

Przypomniała sobie, jak Felisia okładała ją plastrami cebuli po ukąszeniu przez osę. Narwała dzikiego szczypioru wraz z maleńkimi cebulkami, roztarła na miazgę i przyłożyła Piotrowi na obolałą twarz. Okład przyniósł ulgę, a następnego dnia Piotr wyglądał całkiem nieźle.

– Widzę, że przy tobie nie zginę – powiedział i ucałował jej dłonie. – Czuję się dużo lepiej. Magdalena odetchnęła z ulgą i na pociechę upiekła miodowe ciasteczka.

Lato upłynęło szybko. Oboje mieli pełne ręce roboty. Piotr cepem młócił

zboże, Magdalena rosła len. Piotr okradał pszczoły, Magdalena pozyskiwała z plastrów miód i воск. Piotr przygotowywał opał na zimę, Magdalena zbierała grzyby i jagody. Potem przyszedł czas na owoce, które suszyła krojąc w plastry. Zapasów było na tyle, że nie przeraziły ich pierwsze chłody. Dni stawały się coraz krótsze, wieczorami Piotr majsterkował, a ona stawiała pierwsze kroki przy krosnach.

Dwunastego listopada Piotr wniósł do izby kołyskę.

– Co to jest? – zdumiała się Magdalena.

– Dziś pierwsza rocznica naszego ślubu! – oznajmił, po czym złapał ją wpół i obrócił dookoła.

– Ale ta kołyska... Nie mamy dziecka. I nie jestem... – mówiła urywanymi zdaniami, rumieniąc się po czubek głowy.

– Nie mamy, ale możemy się o to postarać. Wiedzie nam się całkiem nieźle.

– Piotrze... – próbowała jakoś na to zareagować, ale zaraz skromnie spuściła oczy i czym prędzej wybiegła przed dom, by ochłonać.

Czasem myślała o dziecku, maleńkiej dziewczynce lub chłopczyku podobnym do Stasia, tłuściutkim i rumianym, nie miała jednak odwagi rozmawiać o tym z Piotrem. A tu okazuje się, że i on o tym myślał, a nawet wyraził to piękną drewnianą kołyską. Nie miała pojęcia, kiedy ją wykonał.

Adam protestował. Dziecko? Nie teraz! Nad głowami zawisła właśnie jak czarna chmura druga wojna światowa. To najgorszy czas na posiadanie dziecka. Nie mogła jednak wiedzieć o tym Magdalena, która zaczęła snuć marzenia o małej istotce.



Pod koniec listopada spadł pierwszy śnieg. Sypał i sypał. Magdalena urzeczona bielą za oknem, zerkąła co chwilę na ośnieżone drzewa. Zrobiło się naprawdę zimno. Nawet wszędobylski Piotr nie miał ochoty opuszczać ciepłego miejsca pod piecem. Do zimy przygotował się solidnie, dlatego mógł sobie pozwolić na krótki urlop. Czuł, że zrobił wszystko, by zapewnić im poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Magdalenę cieszyły zasoby spiżarni, Piotr był obok, zasypiała więc w jego ramionach szczęśliwa jak nigdy dotąd. Tej nocy jednak nie było im dane spać spokojnie. Piotr jak zwykle przed snem dołożył do pieca. Nie zauważył żaru, który wysunął się z pieca wprost na leżące pod nim szczapy. Obudziło go głośne szczekanie psa. Kiedy otworzył oczy, drewno pod piecem, krzesło i serweta leżąca na stole stały w płomieniach. Magdalena spała w najlepsze.

– Wstawaj, Lenko! Szybko! Uciekaj!

Półprzutomna wybiegła z domu. Stała boso na śniegu, gdy tymczasem Piotr walczył z rozprzestrzeniającym się żywiołem.

– Wody! Więcej wody! – krzyknął wyrzucając przez drzwi opróżnione cebrzyki. Magdalena rzuciła się do studni. Wyciągała wodę, po którą przybiegał Piotr, przynosząc jednocześnie puste wiadra. Popiół biegał od drzwi do studni głośno ujadając. Piotr dość szybko opanował ogień, jej wydawało się jednak, że trwa to całe wieki. Dygotała z zimna. Z wnętrza dolatywał smród spalenizny, wszystko ociekało wodą. Widząc zwęglone krzesło, osmalone sprzęty i przemoczone łóżko, rozplakała się.

– Nie płacz, Lenko. Żyjemy. Gdyby nie Popiół, który obudził mnie szczekaniem, splonęlibyśmy żywcem.

Magdalena podeszła do psa, który na jej widok zamerdał ogonem.

– Dobry pies – pochwaliła go i mimo że trzęsła się z zimna, uklękła w kałuży wody i przytuliła mocno poczciwą psią mordę. Nie mogła zapanować nad szczekaniem zębami.

Przygotowali legowisko w komorze i przykryli się wszystkim, co pozostało suche. W chacie było lodowato. W powietrzu czuło się wilgoć. Przytulili się do siebie, usiłując choć trochę się rozgrzać i dotrwać do rana.

Następny dzień upłynął na porządkowaniu izby. Piotr suszył palenisko i starał się rozpalić ogień. Drewno kopcilo się szczypiąc w oczy. Magdalena rozwieszała przemoczone poduszki, kapy i pierzynę. Wszystko to wymagało

jednak nie tylko ciepła, ale i czasu. Pierze zbijało się i nie chciało schnąć. Piotr wymienił słomę w łóżku, na której Magdalena ułożyła worki po zbożu, które znalazła w komorze. Wieczorem owinęła się chustą i dygocząc cała, poprosiła Piotra o kubek gorącego mleka. Oczy miała szkliste, dłonie i stopy lodowate. Piotr dotknął jej czoła. Było rozpalone.

– Lenko, masz gorączkę – powiedział przerażony – połóż się.

Otulił ją ciepło. Zanim zagrzał mleko, zasnęła. Miał wrażenie, że gorączka wzrasta. Budziła się i zapadała w krótkie drzemki. W środku nocy zaczęła majaczyć. Piotr bezradnie krążył po izbie, zupełnie nie wiedząc, jak jej pomóc. Ciałem Magdaleny wstrząsały dreszcze, oddychała szybko przez wpółotwarte usta. Próbował podać jej wodę, ale zdołała tylko zamoczyć spierzchnięte wargi.

– Lenko, tylko mi tu nie umieraj – zaklinał rozpaczliwie. Gorączka nie odpuszczała.

– Co mam zrobić? Co mam zrobić, żeby ci pomóc? – szeptał. Zdawał sobie sprawę, że zdany jest na siebie. Rzadko chorował i nie pamiętał, co robiła matka, by zapanować nad wysoką gorączką. Nie mógł też sprowadzić doktora, bo nawet nie wiedziałby, gdzie go szukać.

Postanowił wziąć się w garść. Histeria nie pomaga w racjonalnym myśleniu. Przypomniał sobie, jak studził wrzątek w konstancińskiej restauracji u Berentowicza. Naczynie z wrzątkiem wstawiał do naczynia z zimną wodą i stygło. Zmoczył więc w wiadrze prześcieradło i owinął nim Magdaleny. Rozgrzało się błyskawicznie. Powtórzył cały zabieg od nowa. I jeszcze raz, i jeszcze. Magdalena leciała przez ręce, ale kiedy zaczęła słabo protestować, Piotr uznał to za dobry znak. Zmienił okład jeszcze kilkakrotnie. Gorączka zaczęła spadać i Magdalena poczuła się lepiej. Poprosiła o wodę. Była bardzo słaba, ale uśmiechnęła się do Piotra. Nigdy jeszcze nie otrzymał takiej wspaniałej nagrody! Przygotował jej mleko z masłem i miodem. Wypiła małymi łyżkami, potem zasnęła mocnym snem. Piotr budził się co chwilę, nasłuchiwał jej oddechu, przykrywał, kładł chłodną dłoń na czole. Miała gorączkę, ale już nie tak wysoką. Dwa kolejne dni prawie całe przespała. Nie chciała nic jeść, podawał jej tylko dużo wody z miodem. Trzeciego dnia pomógł jej usiąść, podkładając pod plecy poduszkę. Fakt, że zjadła jedno ugotowane jajko, uznał za osobisty sukces. Czowała się znacznie lepiej, mimo wszystko nie odstępował jej na krok. Kiedy spała, dotykał jej czoła, wsłuchiwał się w oddech. Wykonywał niezbędne czynności w obejściu, sprawdzając co chwilę, jak się czuje. Magdalena doceniała tę troskę, choć nigdy nie powiedział, co przeżył podczas pierwszej nocy jej choroby. Po tygodniu wstała. Osłabiona krzątała się po chacie, często odpoczywając. W drugim tygodniu rekonwalescencji zaczęła wychodzić na krótko, żeby nakarmić kury lub pozbiierać jajka. Powoli nabierała sił, aż w końcu zupełnie zapomniała o chorobie. Piotr jednak nie mógł zapomnieć i odtąd zwracał na nią większą uwagę,

rozumiejąc, jak kruche może być życie.

To już drugie Boże Narodzenie w leśnym domku. Magdalena, jak wprawna gospodyni, przygotowywała właśnie wieczerzę, gdy do izby wszedł Piotr, bardzo z siebie zadowolony.

– Chodź, Lenko, zobacz, co przyniosłem!

Wytarła ręce w zapaskę i nakrywając się swoją nieodłączną chustą wyszła przed dom.

Piotr z dumą wskazał na kosz pełen pstrągów.

– A gdzieś ty ich nałapał? – Magdalena aż w ręce klasnęła z uciechy.

– W potoku. Konar zatopiony leżał i tamował wodę. Chciałem go usunąć, żeby był dobry przepływ i potok na boki nie wylewał, bo często tamtędy przechodzę. Patrzę, a tu pstrągi schronienie sobie na zimę urządziły. Zacerpnałem wprost koszem, odcedziłem wodę i oto prezent na święta! Pstrągi lubią tak sprytnie przed mrozem się schować. Czasem pod skarpą się chowają albo za dużymi gałęziami. Ale nie pomyślałem, że mogą być pod gałęzią.

Tak więc ryby na misach stanowiły główne danie. Było też wiele innych potraw, które Magdalena przyrządziła i jak mogła najpiękniej podała. A miała do tego zmysł jak mało kto! Z braku talerzy drobne wypieki wysypała na korę drzewa brzoźowego, które jeszcze latem znalazła. Z gałązek świerkowych uplotła gniazdka i wyłożyła nań gotowane jajka w skorupkach. Nawet świec z prawdziwego pszczelego wosku nie zabrakło. Całą izbę przybrała gałązkami świerkowymi i jemiolą, a w kącie, jak ubiegłego roku, królowała choinka, tym razem przystrojona małymi dzikimi jabłkami i owocami dzikiej róży. Pachniało pięknie.

Po wieczerzy długo jeszcze siedzieli przy ciepłym piecu, wsłuchując się w trzask ognia i wycie wiatru za oknem.

– Dobrze mi tu z tobą, wiesz? – powiedział w pewnej chwili Piotr, a Magdalena wtuliła się w jego ramiona i przymknęła oczy. – A nie tęsknisz, Lenko, za miastem, życiem, które dla mnie porzuciłaś? Nie brak ci spotkań z ludźmi, bywania w teatrach i cukierniach, pięknych sukienek, które tak lubiłaś? – droczył się.

– Piotrze, wiesz dobrze, jaka jestem szczęśliwa – zapewniała. – Wszystko, czego tu się przy tobie nauczyłam, sprawia mi radość. Uprawianie pola i ogródka, tkanie z lnu, pieczenie podkłomyków, dojenie krowy, robienie masła i sera... W Konstancinie było mi dobrze, ale inaczej. Czego nauczyłabym się korzystając z pracy Felisi? Wydaje mi się, że tam, mając pieniądze i wszystko, co można za nie kupić, byłam dużo biedniejsza niż tutaj, kiedy potrafię sama robić tyle rzeczy. Pieniądze można stracić, umiejętności nie. Czuję się bogatsza o tu, w środku. – Drobną piąstką uderzyła się w pierś, a Piotr podniósł jej dłoń i bez słowa ucałował.

– Nie chcesz wracać? – zapytał po długim milczeniu.

– Nie. Nie chcę – odparła z mocą.

Nowy Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty przywitał ich skrzącym się w słońcu śnieżnym dywanem. Brodzili w nim, zapadając się po kolana, wsłuchiwali się w ciszę tylko lekko zakłóconą delikatnym wiatrem w gałęziach drzew. Czasem ptak jakiś zerwał się z głośnym krzykiem. Popiół skakał przez zasypany długimi susami, od czasu do czasu parszcząc, gdy śnieg dostał mu się do nosa. Magdalena pomyślała, że nigdzie chyba nie jest tak spokojnie i nigdy nie była tak bardzo szczęśliwa. Piotr snuł plany na wiosnę, zastanawiając się, jak powiększyć gospodarstwo.

– Przydałby się koń, ale nie mamy za co go kupić.

Magdalena odruchowo sięgnęła ręką do szyi, gdzie miała zawieszony złoty krzyżyk na łańcuszku. Nie uszło to uwadze Piotra.

– Nie, Lenko. Nawet twój krzyżyk to za mało. Trudno, poradzimy sobie bez konia. Myślę, żeby pszenicę w tym roku obok żyta zasiać. Mogłabyś piec pszenne kołaczki z serem. Z dzieciństwa takie pamiętam.

– Piekłabym... – mruzczała rozmarzona – i słodkie kukielki z powietrzem w środku. Takie Felisia czasem piekła i posypywała czarnuszką. A len?

– Co len?

– No, zasiejemy?

– Pewnie, że zasiejemy. Tak pięknie nauczyłaś się tkać.

– Trzeba by pola więcej zorać – westchnęła, mając w pamięci ciężką pracę z sochą, którą Piotr ciągnął na ramionach, a ona prowadziła.

– W tym roku krowę zaprzęgnę do sochy. Ty nie masz siły, żeby głęboko w ziemi ją zanurzyć.

– Krowę do sochy? A jak mleko straci?

– Nie straci. Pole nieduże. Nawet się nie zmęczy.

– Popatrz, Popiół coś w pysku niesie!

– Co on złapał? To zając! Złapał zająca!

Popiół położył zdobycz przed Magdaleną, przygniół ją przednimi łapami i wywijając młynka ogonem patrzył w oczy swojej pani, czekając na pochwałę.

– Dobry pies, dobry – poklepała go po grzbiecie – dostaniesz zasłużoną porcję mięsa!

Piotr tymczasem ostrożnie odebrał mu zwierzę.

– Pyszny rosół będzie! – wykrzyknął i aż mlasnął z zachwytem. – A ze skórki łapcie sobie sprawisz, Lenko, żeby już więcej stopy ci nie marzły.

Słońce chowało się powoli, mażąc krwawo niebo. Zmęczeni skierowali się do domu. Do swojej leśnej ostoji.

Zimowe wieczory mijały Magdalenie przy krosnach i igle. Piotr plótł wiklinowe koszyki, starał się też nauczyć tej sztuki Magdalenę. Zerknęła przez ramię na jego sprawne palce i kiwała z uznaniem głową. Sama niechętnie odnosiła się do tego rzemiosła. Kiedy jednak upłótł jej z wiklinowych witek zgrabny stołek,

przekonała się i samodzielnie, choć trochę krzywo, zrobiła koszyczek na owoce.

– Widzisz, Lenko, to nie takie trudne, a ty jesteś pojętną uczennicą. To najładniejszy koszyk, jaki widziałem – chwalił ją trochę na wyrost.

W drugiej połowie marca już tradycyjnie szykował się na wyprawę do wsi po pszenicę. Obejrzał dokładnie wysłużony wózek, tu poprawił, tam przymocował, żeby nie mieć w drodze kłopotów z ziarnem.

– Tylko nie martw się, Lenko, jak dłużej zabawię. Oczywiście będę się starał wrócić jak najprędzej, ale czasem nieprzewidziane okoliczności mogą mnie zatrzymać.

– Wiem. Obiecuję, że nie będę się martwić – podniosła dwa palce do góry jak do przysięgi, czym rozbawiła Piotra.

– Skoro jesteś taka dzielna, przywiozę ci cukru.

– I soli. Przywieź też soli.

– Dobrze. Sól też przywiozę.

– A skąd weźmiesz na to wszystko pieniądze? – zdziwiła się wiedząc, że po ostatniej wyprawie zostało tyle, co na zboże.

– Sprzedam koszyki, kochanie. Przecież plotłem je całą zimę.

– To mój też, mój też sprzedaj!

– O nie. Twój musi zostać. Nikt w całej wsi nie będzie miał tyle pieniędzy, żeby go kupić. Jest bezcenny!

– Nieprawda! Kpisz sobie ze mnie. Nie chcesz go, bo krzywy! – schowała koszyk za siebie i patrzyła na niego wyzywająco.

– Ten krzywy koszyk, Lenko, jest dla mnie najcenniejszy na świecie. Bo zrobiony twoimi rękami. I nigdy go nie sprzedam.

Ucałował mocno Magdalenę i poszedł.

Tym razem Piotr wrócił nadspodziewanie szybko. Przywiózł dorodną pszenicę i wszystko, o co prosiła Magdalena. Był jednak zmartwiony, jakby skrywał coś niemiłego w sercu. Magdalena nie chciała pytać, wiedząc, że mąż nie ma przed nią tajemnic, ale on milczał.

W końcu nie wytrzymała i stawiając przed nim kubek świeżej maślanki, niby od niechcenia zagadnęła:

– Piękną pszenicę kupiłeś. Czy to od tego samego Żyda, u którego żyto w tamtym roku brałeś?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Wydaje mi się, że znowu nie dowążył.

– Co ty mówisz, Lenko. Wręcz przeciwnie, dosypał ze swoją stratą, co się Żydom raczej nie zdarza. Ale obiecałem dać mu następnym razem dwa kosze za darmo.

– Spodobały się kosze?

– Bardzo. Ściśle były plecione, to i szybko poszły.

– Ale cenę pewno zbili.
– Cenę zbili? Nic podobnego. Płacili, ile chciałem. Czemu ty dzisiaj...
– Bo markotny jakiś chodzisz, jakby ktoś cię okradł albo przykrość sprawił.
– Ach... To nie to. Inny mam kłopot, o którym nawet nie wiem, jak mam mówić.

– Boże, co się stało? Może niezdrów jesteś?
– Niezdrów? Nie, nic mi nie dolega. Tylko...
– No, mówże wreszcie. Przecież widzę, że coś cię trapi. Myślisz, że jeśli nie mówisz, tylko chodzisz z nosem spuszczonej na kwintę, jest mi lżej?

– Nie denerwuj się Lenko. Prędzej czy później i tak dowiedziałabyś się, bo to nie o mnie chodzi, ani o ciebie. To, co mnie martwi, dotyczy wszystkich... Będzie wojna.

– Jaka wojna?! Z kim? Na miłość boską! Skąd o tym wiesz?
– Z Niemcami. Ludzie o niczym innym nie mówią.
– Plotki, Piotrze. Ludzie zawsze coś sobie wymyślą i o tym gadają.
– Chciałbym, żeby tak było. Ale Niemcy chcą naszego Gdańska. W styczniu ponoć doszło do spotkania dyplomatów w Warszawie i Polska te żądania odrzuciła. A teraz, w połowie marca, Niemcy zajęli Czechosłowację i Hitler wydał swoim ludziom rozkaz, żeby pracowali nad planem ataku na Polskę. Będzie wojna z Niemcami. Na pewno.

– Piotrze, na razie kazał opracować plan. Nie wiadomo, czy się nie rozmyśli. Nie martw się na zapas. A jeśli już, to niech sobie wezmą ten Gdańsk. Trudno.

– No nie, Lenko. Tak może powiedzieć tylko kobieta. A gdzie nasz honor? Jeśli zażądają kolejnych miast, też je im oddamy? Warszawę i Konstancin, razem z twoją matką i ze Stasiem?

W oczach Magdaleny pojawiły się łzy. Piotr zranił Magdaleny, wiedział o tym. Ale to pomogło jej zrozumieć, o czym mówi. O wolności.



Rozpoczęli prace w polu. Niby nic się nie zmieniło, ale czarna chmura, która zawisła nad Polską, odebrała im radość tworzenia. Zasiewając swoje małe poletka Piotr bardziej myślał o przetrwaniu niż o dobrobycie. Zdawał sobie sprawę, że wojna może wiele zmienić i nie będzie miał możliwości handlu, wymiany koszyków czy obrusów utkanych przez Magdalenę na żywność, bo kto potrzebuje obrusów, gdy nie ma jedzenia. Przypominał Magdalenie o gromadzeniu zapasów zawsze, kiedy na stole pojawiały się bardziej wyszukane dania.

– Lenko, musimy skromniej jeść. Nie wiadomo, co nas czeka.

Kiwała ze zrozumieniem głową i bezwiednie przykładała rękę do brzucha, gdzie – jak przypuszczała – obudziło się nowe życie. Pracowała ciężko, nie mówiąc nic Piotrowi. Nie miała jeszcze pewności, a znając Piotra, wiedziała, że wzięłoby całą pracę na siebie, żeby oszczędzić jej wysiłku. Pewnego dnia pieląc len poczuła delikatny ruch. Podniosła się i znieruchomiła wsłuchując się w siebie. Pracujący obok Piotr zaniepokoił się.

– Co się stało, Lenko? Źle się czujesz? Odpocznij. Nie musimy dziś wszystkiego zrobić.

Milczała, zastanawiając się, jak powiedzieć mu o istocie, która właśnie zawiadomiła ją bardzo konkretnie o swoim istnieniu. Piotr podszedł do niej i z bliska przyjrzał się jej twarzy. Wciąż miał w pamięci walkę z wysoką gorączką i drżał zawsze, ilekroć poczuła się słabiej. Magdalena uśmiechnęła się leciutko, podniosła jego spracowaną dłoń i położyła na swoim płaskim jeszcze brzuchu. Piotr zmienił się na twarzy. Oczy, dotąd zatroskane, nabrały blasku i robiły się coraz większe i większe.

– Nie. Naprawdę? Lenka, powiedz, naprawdę?!

Pokiwała głową. Wziął ją w ramiona z takim zapalem, aż upięte wysoko włosy rozsypały się i opadły kaskadą na ramiona.

– Będziemy mieli dziecko! – wołał, płosząc okoliczne ptaki, które zerwały się z głośnym łopotem. – Dziecko! Będziemy mieli dziecko! – Podniósł Magdalenę i posadził na najbliższej kępie trawy.

– Co ty robisz? Przestań! – zaprotestowała.

– To odtąd będzie twoja praca.

– Jaka praca? Przecież nic nie robię!

– Nosisz dziecko! Nic więcej nie pozwolę ci robić. Sam tu sobie poradzę. –

Ogarnął półprzytomnym wzrokiem pola z lnem, pszenicą, las i połowę nieba.

– Zupełnie oszalałeś. Jeśli chcesz, żebym urodziła to dziecko, musisz pozwolić mi pracować. Inaczej moje mięśnie będą bardzo słabe. Chcę robić wszystko jak do tej pory. Stan błogosławiony to nie choroba, jak mówiła Felisia do mojej matki, gdy miał urodzić się Staś.

Piotr oprzytomniał nieco, spoważniał.

– Dobrze. Ale obiecaj, że będziesz się oszczędzać i odpoczywać, jeśli poczujesz się choć trochę zmęczona.

– Obiecuję – odparła rażno, powstrzymując się w ostatniej chwili przed uniesieniem dwóch palców w górę, by jak na przyszłą matkę przystało, zachować powagę.

Piotr pracował za dwoje, a Magdalena szyła coraz szersze sukienki. Czuła się dobrze i tylko myśl o wojnie zakłócała im spokój. Komora zapełniała się zapasami, a w miarę ubywania w niej wolnego miejsca Piotrowi przybywało pewności, że poradzą sobie i wojnę przeżyją. Nie potrwa przecież długo, a oni ukryci w środku lasu nawet jej nie odczują.

Magdalenę nękały zmiany nastrojów. Ze stanu euforycznej radości popadała w przygnębienie, tęskniła za matką, to znów dopadał ją paniczny strach przed rozwiązaniem. Piotr uspokajał ją, jak umiał, ale sam zachodził w głowę, jak poradzi sobie bez akuszerki. Był początek września, dziecko zaś, według wyliczeń Magdaleny, miało pojawić się w listopadzie.

W listopadzie, a więc już w czasie wojny. Adam zastanawiał się, czy będą wiedzieć o tym, że wybuchła i trwa w najlepsze. Rzeka San, w okolicy której przebywali, stanowiła granicę między Rzeszą Niemiecką a Związkiem Radzieckim. Przekraczanie jej groziło rozstrzelaniem, zesłaniem na Syberię bądź osadzeniem w obozie koncentracyjnym. W zależności od tego, w czyje łapy się wpadło. Ludziom nie było łatwo. Najpierw zmuszano ich do oddawania plonów i produktów mlecznych, potem wysiedlano, mordowano, palono domy. Ci, którzy jeszcze tam byli, żyli w niepewności i skrajnej biedzie. Piotr miał rację gromadząc jak najwięcej zapasów. Nie miałby możliwości kupienia czegokolwiek na targu. Targu nie będzie. Ci, którzy uciekną, nie wrócą już nigdy do swoich wsi. Pod koniec wojny Bieszczady będą praktycznie wyludnione. A co stanie się z Piotrem? Magdaleną? Adam pochylił głowę nad zapiskami i znalazł się z powrotem w leśnej chacie.

Całymi dniami szyła pieluszki i kaftaniki. Składała je w skrzyni w komorze. Czasem przykłękała obok skrzyni, wyjmowała ostrożnie płócienne drobiazgi i tuliła do twarzy. Cieszyła się i bała jednocześnie. Któregoś dnia Piotr zastał ją tonącą we łzach.

– Lenko, dlaczego płaczesz? Stało się coś? Powiedz!

– Chcę wracać. Boję się. Boję się, że umrę przy porodzie. Chcę do matki.

I żeby... Żeby był przy mnie lekarz, jak przy niej, gdy rodziła Stasia.

– Lenko, nie masz się czego obawiać. Jesteś młoda, silna. Zawiozę cię do akuszerki.

– Nie chcę żadnej akuszerki! Chcę lekarza! Rozumiesz?

– Dobrze. Nie płacz. Zawiozę cię do matki. W połowie października wybiorę się do wsi i zorientuję się, jak mogę cię stąd wywieźć.

Po tych słowach uspokoiła się. Nigdy więcej nie powróciła do tego tematu. Wiedziała, że może zaufać Piotrowi, który zawsze spełniał swoje obietnice. Piętnastego października ucałował Magdalенę, do płóciennego worka wrzucił kilka jabłek i ruszył do wsi, w której kiedyś chcieli się zatrzymać na nocleg.

– Jutro wrócę – rzucił na odchodnym i już go nie było.

Wybiegła jeszcze za nim, chciała przytulić go przed drogą, ale zniknął w gąszczu drzew. Wróciła do chaty z uczuciem przykrości. Zajęła się pieczeniem podpłomyków; chciała je zabrać w długą drogę koleją, która ich niebawem czekała.

Następnego dnia, mimo uwag Piotra, żeby nie była rozrzutna, od rana przygotowywała jego ulubione potrawy. Wyglądała przez małe okienka, z niecierpliwością czekając powrotu męża. Stół nakryła najpiękniej, jak potrafiła. Ustawiła też dwie ostatnie świece z pszczelego wosku. Wkrótce przecież wyjadą, nie będą im już potrzebne. Poza tym w ten sposób chciała okazać, jak bardzo docenia wysiłek Piotra. Zapadał zmierzch, a jego jeszcze nie było. Okryła się chustą i wyszła za ogrodzenie. Wsłuchiwała się w dźwięki, z których mogłaby wyłowić odgłos kroków. Wypatrywała znajomej sylwetki do czasu, aż mrok pochłonął nawet najbliższe drzewa. Potem straciła nadzieję, że dziś go zobaczy.

Powoli wróciła do domu i położyła się na łóżku. Nie chciała płakać, ale milczące łzy same spływały jej po twarzy. W środku nocy obudziło ją coś nieokreślonego. Przez chwilę leżała bez ruchu, lecz nie potrafiła sprecyzować, co właściwie przerwało jej sen. Myśli wróciły do Piotra. Dlaczego nie wrócił? Chyba nie przytrafiło mu się nic złego? Nagle poczuła słaby ból. Dotknęła ręką napiętego brzucha i skojarzyła, że właśnie to wyrwało ją ze snu. Czyżby zaczynał się poród? Na samą myśl o tym oblała się zimnym potem. Nie, niemożliwe, przecież... Ból powtórzył się. Usiadła na łóżku. Pogrążoną w ciemnościach, samotną i bezradną kobietę ogarnęła panika. Teraz lęk o Piotra przerodził się w złość, że sobie poszedł, zostawił ją zupełnie samą, bez opieki, bez pomocy. Znowu ból. Tym razem silniejszy. Magdalena nie miała już wątpliwości. Zaczęło się. I nie mogła powiedzieć: nie chcę, rezygnuję, lub chociaż odsunąć to w czasie. Zaczął się poród, a ona jest sama. Histeria ścisnęła ją za gardło. Przypomniała sobie krzyk matki, nerwowe bieganie Felisi i ojca, głos doktora. Zacisnęła powieki. Felisia grzała wodę. Niosła ręczniki. No tak, trzeba obmyć dziecko, gdy będzie już po wszystkim. A przedtem odciąć pępowinę. Musi zrobić to sama, musi mieć jakiś nóż... Ból. Znowu. Wstała na trzęsących się nogach. Zapaliła lampę. Podeszła do pieca, na

którym stało wiadro z wodą. Ogień tlił się jeszcze. Dołożyła drewna. Ze skrzyni wyjęła wszystkie prześcieradła. Umyła dokładnie nóż, wysterylizowała go nad ogniem i owinęła czystym płótnem. Wtedy odeszły wody. Drżąc ze strachu wróciła na łóżko. Modliła się, żeby Piotr wrócił. Teraz. Żeby był przy niej. Bolało coraz częściej i mocniej. Nie wiedziała, czy tak powinno być. Wiedziała tylko, że musi urodzić dziecko. Skurcze rozdzierały jej ciało. Świadomość, że zdana jest na siebie, potęgowała strach, ale jednocześnie dawała siłę. Popiół zaczął niespokojnie biegać po izbie, węszyć przy drzwiach. Potem usiadł przy krzyczącej z bólu Magdalenie i zaczął lizać ją po twarzy. Z wysiłkiem pogłaskała go. To jedyna istota, która zawsze była blisko. Popiół nie odstępował jej na krok. Świtało, kiedy ostatnim wysiłkiem, wyjąc z bólu wypchnęła z siebie dziecko. Przyjście na świat oznajmiło krzykiem. Podciągnęła maleństwo i ułożyła na brzuchu. Zdążyła jeszcze okryć je prześcieradłem i zasnęła. Popiół warował obok łóżka.

Trudno powiedzieć, ile czasu spała. Było już zupełnie jasno, gdy obudził ją płacz noworodka. Odwinęła nóż, ucięła i z trudem zawiązała pępowinę. Potem przytuliła dziecko do piersi. Była bardzo osłabiona.

Musiało być koło południa, bo słońce stało już wysoko. Z trudem podniosła się, obmyła dziecko i owinęła je w pieluszki, które tak pieczołowicie szyła przez ostatnie tygodnie. Wtedy dopiero zobaczyła, że ta maleńka istotka to dziewczynka. Popiół siedział wciąż przy łóżku, przestępował z łapy na łapę i wywijał młynka ogonem. Piotra wciąż nie było.

Z obory dobiegało żalosne muczenie. Krowa od rana nie dojona. Będzie teraz cierpieć przy najmniejszym dotyku.

– Jeśli nie będę jej doić, straci mleko – powiedziała półgłosem Magdalena. Spojrzała na śpiące dziecko, narzuciła chustę na plecy, wzięła cebrzyk i powoli, przytrzymując się ściany poszła do szopy. Ostrożnie usiadła na małym stołku i zaczęła doić. Krowa szarpnęła się i postąpiła o krok do przodu. Magdalena musiała wstać, przestawić stółek i cebrzyk, co kosztowało ją mnóstwo wysiłku. Spróbowała ponownie. Tym razem krowa tylko kopnęła nogą, potem stała spokojnie. Magdalena doiła powoli, z przerwami. Była słaba, zimny pot wystąpił jej na czoło. Kiedy skończyła, nie była w stanie unieść cebrzyka z mlekiem. Przesunęła go tylko pod ścianę szopy i powlokła się do domu. Od progu usłyszała głośny płacz dziecka. Oparła głowę o framugę i rozszlochała się. Nie miała sił. Była zmęczona i obolała. Popiół podszedł do niej i trącił ją nosem. Opanowała łkanie, podeszła do krzyczącego wniebogłosy noworodka, wzięła w ramiona i nakarmiła. Kiedy usnął, dała jeść psu, wzięła z komory woreczek ziarna i poszła do kurnika. Z trudem pozbierała jajka i wróciła do domu. Nie miała apetytu, ale ze względu na małą wypila kubek mleka i zjadła kawałek podpłomyka. Zdawała sobie sprawę, że musi teraz dbać o siebie, o pokarm dla dziecka. Przypomniała sobie, jak Felisia nieraz strofowała matkę, żeby nie denerwowała się i nie przemęczała, bo

straci pokarm. Magdalena ułożyła się ostrożnie obok dziecka i twardo zasnęła.

Obudziła się, gdy zapadał zmrok. Tym razem czuła dotkliwy głód. Wstała i zaczęła łapczywie jeść. Po chwili dziecko zakwiliło cichutko. Przewinęła je i nakarmiła. Potem wyszła do szopy na wieczorne dojenie. Żeby przynieść tak dużą ilość mleka, musiała pokonać drogę między domem a szopą kilka razy. Wycieńczona usiadła przy stole. Jej wzrok powędrował do sąsiedniego krzesła. Na oparciu wisiała koszula Piotra. Podniosła ją, przytuliła do twarzy i rozplakała się rzewnie.

– Adam, Adam! – głos matki docierał powoli. Był nie z tego świata. – Obiad! Siedzisz tu tak cicho, że już zastanawiałam się, czy jesteś w domu. Chodź do stołu.

– Oczywiście. Już idę... – Adam zawiesił wzrok na twarzy matki. – Mamo...

– No, co tam?

– Czy tata był przy tobie, kiedy się rodziłem?

– Jezus Maria! – wykrzyknęła matka i zatrzymała się w pół kroku.

– Co ci się stało? – przestraszył się nie na żarty.

– Adam, będziesz ojcem, tak? Twoja dziewczyna jest w ciąży i dlatego pytasz?

– Mamo, od roku nie mam dziewczyny. Tym bardziej w ciąży. Co ci do głowy przyszło.

– To twoje pytanie...

– Tak pytałem. Z ciekawości.

– Nie – odpowiedziała odetchnawszy z ulgą. – Nie był ze mną przy porodzie. Nie te czasy. Nawet ciebie oglądał jedynie przez okno, bo na oddział niechętnie wpuszczali.

– Ale potem pomagał ci?

– No pewnie! Urlop wziął specjalnie na tę okoliczność. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła zająć się wszystkim sama. Kobieta w tym czasie potrzebuje pomocy i psychicznego wsparcia. Wciąż nie wiem, dlaczego pytasz.

– Nie możecie przy stole rozmawiać? Obiad stygnie! – dobiegł z pokoju głos ojca.

– Już idziemy, już – zawołała matka i popchnęła lekko syna w kierunku jadalni.

– Może wreszcie opowiesz, jak tam było, w tych twoich ukochanych Bieszczadach – zapytał uśmiechając się szeroko ojciec. – Mieliście pogodę?

– Jasne, raz tylko była burza. Poza tym pogoda jak drut!

– I co tym razem odkryliście ciekawego?

– Że Leżajsk jest lepszy od Żywca.

– E tam, lepszy. Rzecz gustu. Zresztą nie o to pytam.

– Po takich odkryciach nic więcej nie pamiętam – roześmiał się Adam.

– Po obiedzie idź na spacer. Piękna pogoda, a ty siedzisz w pokoju jak w norze. Jeszcze naślęczysz się nad książkami, kiedy rok akademicki się zacznie. Tym bardziej że ostatni rok, dyplomu będziesz bronił.

Matka włożyła do ust kęs mięsa i żuła go z namysłem.

– Kiedy tak wyrosło to nasze dziecko? – zdziwiła się i pokręciła głową.



Minął tydzień, a Piotr wciąż nie wracał. Magdalena każdego ranka wstawała pełna nadziei, która opuszczała ją wraz z nadchodzącym wieczorem. Gdyby nie dziecko i codzienne obowiązki, nie zniosłaby tego czekania. Bo Magdalena wierzyła w powrót Piotra. Nawet nie myślała, że mogłoby być inaczej.

Tak, wierzyła. Nie miała bowiem pojęcia, że wojna wybuchła i rozpanoszyła się po całym kraju, a teren, na którym przebywała wraz z Piotrem, dostał się pod okupację sowiecką. Jego mieszkańcy zostali deportowani w ukraińskie i białoruskie rejony Związku Radzieckiego. Adam sprawdził dokładnie informację, że ci, którzy pozostawali po stronie sowieckiej, mogli pod koniec 1939 roku powrócić do domu. Czyżby więc Magdalena miała rację czekając na męża? Co się z nim stało? Co stało się z Magdaleną i ich córeczką?

Magdalena miała ręce pełne roboty. Prócz swoich zajęć przejęła przecież część obowiązków Piotra, dziecko zaś zagospodarowało jej czas do końca. Dni biegły szybko. Codzienne obcowanie z małą uczyło Magdalenę być matką. Nazwała ją Julianą. O księżniczce Julianie, którą kochali ludzie i zwierzęta za jej dobroć i mądrość, opowiadała jej w dzieciństwie Felisia. Magdalena pragnęła, żeby wszyscy tak kochali jej córkę.

Ostatnie dni października przypominały raczej schyłek lata niż jesień. Magdalena wyścieliła wielki kosz wiklinowy, ułożyła w nim dziecko i wystawiła przed dom, by zakosztowało słońca. Sama krzątała się po gospodarstwie, co chwilę wyglądając na małą. Popiół położył się obok, czujny na każdy dźwięk dobiegający z kosza. W pewnym momencie pies zniknął. Magdalena wybiegła przed dom i przede wszystkim zajrzała do kosza ze śpiącym dzieckiem. Juliana spała słodko z kciukiem w buzi. Świeżo naprawiona przez Piotra furtka była zamknięta. Magdalena nie mogła przypomnieć sobie, czy wcześniej była uchylona. Ktoś więc otworzył furtkę i wywabił psa? Ze ściśniętym ze strachu sercem zabrała Julianę do domu i zamknęła drzwi na haczyk. Zdawała sobie sprawę, że to marne zabezpieczenie, ale lepsze takie niż żadne. Odkąd zamieszkała tu z Piotrem, nie widziała nikogo, nawet przypadkiem przechodzącego tędy człowieka. Być może tym razem ktoś się tu zabląkał. Ale co stało się z Popiołem? A jeżeli ktoś tu jest? Wszedł niepostrzeżenie, ukrył się w szopie albo w kurniku? Dlaczego pies nie szczekał? Magdalena zadawała sobie te pytania drżąc ze strachu. Gdyby tu był Piotr, nie musiałyby się bać.

Przytuliła dziecko i usiadła na krześle. Zaczęła się bezwiednie kołysać, jakby ten jednostajny ruch mógł ukoić jej skołatane nerwy. Juliana zaczęła się wiercić, wykrzywiła buzię do płaczu. Magdalena wstała, by zmienić jej pieluszkę, ale mała rozkrzyczała się na dobre. Nie chciała jeść. Prężyła się i krzyczała coraz głośnie. Magdalena była bezradna. Próbowwała ją ukołysać, ale nic nie pomagało. Dziecko poczerwieniało na twarzy i wydierało się wniebogłosy, napinając maleńkie ciało. Magdalena usiłowała przypomnieć sobie, co robiła Felisia z krzyczącym Stasiem. Chyba przykładała mu ciepły okład na brzusek. Magdalena dołożyła drewna do pieca, ale w wiadrze nie było ani kropli wody. Trzeba iść do studni. Trzeba wyjść z domu i zaczerpnąć wody. Zwyczajna czynność, którą powtarzała każdego dnia, nieoczekiwanie stała się barierą nie do pokonania. Jednak dziecko cierpiało i Magdalena nie była w stanie tego znieść.

Podeszła do małego okienka i z uwagą zaczęła lustrować podwórko. Nie było żywej duszy. Nagle za płotem coś przemknęło między drzewami. Jednym susem przesadziło płot i znalazło się na podwórku. Popiół! Pies zachowywał się dziwnie. Zaczął drapać pazurami w drzwi i wściekle ujadać. Juliana zanosila się od płaczu. Magdalena chwyciła wiadro na wodę i otworzyła drzwi. Popiół wpadł z impetem, złapał zębami jej sukienkę i zaczął ją szarpać.

– Przestań, Popiół, zostaw mnie! – krzyczała na niego i odganiała go od siebie usiłując dojsć do studni. Lęk narastał. Patrzyła podejrzliwie na psa, który był nienaturalnie ożywiony. Może jest chory? Boże, a jeśli zaraził się wścieklizną?

– Odejdź! – tupnęła nogą, ale Popiół nie ustępował. Oganiając się od psa, zaczerpnęła wody, z trudem wróciła do domu i zatrzasnęła przed nim drzwi. Zawył żałośnie, przeskoczył ponownie przez płot i zniknął w lesie. Wybiegła przed dom.

– Popiół! Wracaj! Popiół! – krzyknęła, ale odpowiedziało jej tylko echo.

Zagrzała wodę i przyłożyła Julianie do brzuszka ciepłą, wilgotną pieluszkę. Mała nie przestawała płakać. Dopiero kolejny okład uspokoił dziecko. Magdalena wzięła je na ręce i przytuliła mocno. Zaczęła nucić cichutko i Juliana łapiąc spazmatycznie powietrze zupełnie się wyciszyła. Zasnęła niemal natychmiast.

Wyczerpana przeżyciami Magdalena usiadła ciężko na krześle.

Piotrze, gdzie jesteś? Dlaczego mi to robisz?! – rozsłochała się.

Kiedy wylała wszystkie żale i zabrakło już łez, przypomniała sobie o psie. Wyszła przed dom i zaczęła gwizdać. Ale Popiół przepadł. Zostały same. Ona i Juliana.

Wieczór nie przyniósł nic nowego. Piotra nadal nie było, Popiół nie wrócił. Zrozpaczona i osamotniona Magdalena zasnęła na mokrej od łez poduszce.

W środku nocy obudził ją hałas. Serce podeszło jej do gardła. Przez chwilę nasłuchiwała, starając się zlokalizować, skąd dobiega. W ciemnościach brzmiał upiornie. Ktoś wyraźnie usiłował się dostać do środka i drapał drzwi. Potem rozległo się bardzo głośne, niesione echem po lesie szczekanie Popioła. Magdalena

zerwała się na równe nogi. Czuła radość i przerażenie jednocześnie. Ale kiedy otworzyła drzwi, sytuacja się powtórzyła. Popiół złapał zębami jej koszulę i zaczął szarpać z całej siły.

– Uspokój się! Co ty wyprawiasz! Wynocha! Będziesz spał na podwórku! – krzyknęła i zatrzasnęła drzwi.

Wróciła do łóżka, lecz nie mogła zasnąć. Zachowanie psa było przedziwne. Nie знаła się na psych chorobach, ale widziała wyraźnie, że z Popiołem jest coś nie tak. Zaczęła się go bać. Przewracała się z boku na bok, wsłuchiwała w otaczającą zewsząd noc. Ciemność u boku Piotra przynosiła jej zawsze ukojenie. Teraz przynosi paniczny lęk. Drzewa szumiały i skrzypiały. Czasem rozległo się pohukiwanie sowy albo łopot skrzydeł jakiegoś ptaka. Nagle gdzieś daleko w ciemność wdarło się rozpaczliwe wycie psa. Nie miała wątpliwości. To był Popiół. Wysunęła nogę spod pierzyny i natychmiast wsunęła ją z powrotem. Nie, nie odważy się wyjść teraz z domu, przedzierać przez krzaki i zarośla między drzewami, za którymi czają się upiory wyobraźni. Nie pójdzie szukać psa, który zachowuje się nieprzewidywalnie, może niebezpiecznie. I nie zostawi Juliany bez opieki. Wycie powtórzyło się. Rozpaczliwe. Pełne cierpienia. Przed oczami Magdaleny przesunęły się błyskawicznie obrazy: Popiół warujący wiernie przy kołysce, niosący z psią radością zająca, liżący ją po rękach, gdy stawiała przed nim pełną miskę. Popiół przy jej łóżku, gdy rodziła córkę i nie było przy niej nikogo prócz niego. A teraz on potrzebuje jej. Potrzebuje pomocy. Usiadła na brzegu łóżka, sięgnęła po ubranie, by po chwili odłożyć je na miejsce. Serce kołatało, drżały ręce. Nasłuchiwała pełna wahania. Wokół panowała cisza. Śmiertelna cisza. Gdzieś głęboko w sercu Magdaleny czaiła się rozpacz, której nie chciała dopuścić do świadomości: Piotra już nie ma, nie zobaczy go nigdy więcej. Teraz traciła jedynego przyjaciela, psa. A ona nie chciała już tracić. Nikogo.

Ubrała się i wzięła do ręki lampę. Zajrzała do śpiącej Juliany, zdając sobie sprawę, że ten sen w każdej chwili może przerodzić się w płacz rozbudzonego dziecka. Mimo to wyszła w czerń nocy, zamykając za sobą bezgłośnie drzwi.

Furtka skrzypnęła cicho, Magdalena zadrżała od tego dźwięku. Z trudem poruszała zeszywniałymi od napięcia nogami. Za przewodnika miała jedynie lampę, której delikatny płomień mógł w każdej chwili zgasnąć musnięty wiatrem. Zatrzymała się przy furtce, nie wiedząc, w którą stronę powinna pójść. Stała tak, dopóki nie powtórzył się rozdzierający głos Popioła. Zwielokrotniony leśnym echem brzmiał upiornie. Magdalena ruszyła w kierunku, z którego, jak się jej wydawało, dobiegał. Wiązka słabego światła niewiele dawała. Przyczajone za drzewami lęki zdawały się ją osaczać. Brnęła z determinacją, potykając się o wystające korzenie. Wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Co będzie, jeśli Popiół stał się ofiarą jakiegoś dzikiego zwierzęcia? Kto zaopiekuje się Julianą, jeżeli i jej stanie się coś złego? Juliana może właśnie zbudziła się i płacze. Jest

głodna albo znowu ma kolkę. A może wypadła z kołyski? Skowyt powtórzył się, i to zupełnie niedaleko. Magdalena nie potrafiła jednak ocenić, z której dokładnie strony. Kierowana intuicją skręciła nieco w prawo. Nagle za plecami usłyszała trzask gałęzi. Coś do niej biegło, przedzierając się przez krzaki. Zwierzę musiało być sporych rozmiarów. Wstrzymała oddech, zacisnęła powieki. Myślała o swojej małej córeczce. Jakaż była głupia zostawiając dziecko bez opieki. Jak mogła kłaść na szali uczuć Julianę i psa!

Napastnik był tuż za nią. Za chwilę poczuje na gardle jego zaciśnięte zęby.

Na szczęście poczuła tylko szorstki język na swojej dłoni i usłyszała ciche skomlenie Popioła. Z głośnym, spazmatycznym westchnieniem ulgi uklękła i przytuliła psi łeb do piersi. Ale on nie chciał pieszczot. Odbiegł kawałek, by po chwili wrócić. Stała nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Pociągnął ją za chustkę, którą była okryta. Wyraźnie chciał ją gdzieś zaprowadzić. Szczekał przy tym bardzo donośnie. Kiedy ruszyła, pobiegł przodem, ale co chwilę wracał. Wreszcie zatrzymał się przy czymś. Coś upolował i nie mógł tego przyciągnąć do domu. Jakieś duże zwierzę – pomyślała widząc jego czarny zarys. Podeszła bliżej.

– Jezus, Maria! Boże drogi! Piotr! Odezwij się! Piotr, to ty?! Piotr!

– Lenka, kochanie, przyszaś...

– Piotr... Piotr... – powtarzała klęcząc tuż przy nim. Przyłgnęła do niego całym ciałem i rozpłakała się.

– Lenka... pomóż mi. Jestem ranny, pomóż...

Zarzuciła sobie na szyję jego ramię i z wysiłkiem dźwignęła do góry. Popiół nie posiadał się z radości.

– Popiół... Piotrze, Popiół uratował ci życie.



Ranek przyniósł cały wachlarz emocji. Wspomnienie minionej nocy, zmęczenie, radość z odzyskania Piotra, lęk o niego, ulgę, że podczas jej nieobecności nic nie stało się Julianie.

Droga, którą odbyła Magdalena z Piotrem uwieszonym na jej szyi, zdawała się nie mieć końca. Piotr praktycznie nie poruszał nogami, Magdalena ciągnęła go przedzierając się przez chaszczę. Chyba tylko miłość może zmusić do tak nadludzkiego wysiłku, do jakiego była zdolna. Popiół biegł przodem i wskazywał drogę. Lampa, którą niosła Magdalena, dawno zgasła i bez pomocy psa kluczyliby po lesie do samego świtu. Wchodząc do domu Magdalena z duszą na ramieniu nasłuchiwała płaczu dziecka. Przywitała ją jednak cisza. W pierwszej chwili ucieszyła się, potem dopadły ją wątpliwości. A jeśli zachłysnęła się łzami albo ktoś wykradł ją z kołyski? Zostawiła Piotra w komorze na legowisku, które służyło im po pożarze, i pobiegła do izby. Mała spała oddychając miarowo. Magdalena ucałowała jej aksamitne włoski i wróciła do Piotra. Tu w bladym świetle lamp obejrzała jego rany. Prawe udo miało dziurę na wylot, w lewej nodze, tuż nad kostką, była paskudna rana aż do kości. Piotr chyba stracił przytomność, bo nie odpowiadał na jej pytania. Nic dziwnego, utracił dużo krwi. Magdalena obawiała się zakażenia, ale niewiele mogła zrobić w warunkach, w jakich się znaleźli. Póki co obmyła rany, opatrzyła, jak umiała, otuliła Piotra i z ciężkim sercem, pełna obaw poszła do izby. Zajrzała do śpiącej Juliany i śmiertelnie zmęczona upadła na swoje łóżko. Zasnęła natychmiast.

Juliana musiała kwilić od dłuższego czasu, bo twarzyczkę miała zaczerwienioną z wysiłku, a Popiół niespokojnie biegał między kołyską a łóżkiem Magdaleny.

Obudziła się obolała, z dziwnym uczuciem niepokoju. Przez chwilę układała w głowie rozchwiane myśli, zaraz jednak uprzytomniła sobie, że jest tu jedyną osobą w pełni sprawną i musi być gotowa na zajęcie się niemowlęciem, chorym mężem i całym gospodarstwem. Nakarmiła małą i zajrzała do Piotra. Spał niespokojnie. Miał spierzchnięte usta, którymi oddychał jak ryba wyrzucona na piasek, wypieki na policzkach, zroszone potem czoło. Magdalena przyłożyła mu zimny okład i zajrzała do woreczków z ziołami, które zbierała tego lata. Odnalazła liście olchy, zrywane z myślą o ewentualnych ranach Popioła biegającego często po lesie i narażonego na rozmaite skaleczenia. Rozpaliła w piecu, zaparzyła olchę

i poszła wydoić krowę, muczącą wniebogłose od dłuższego czasu. Nakarmiła kury i pobiegła do płaczącej Juliany, by zmienić jej pieluszkę. Potem zajęła się nogami Piotra. W świetle dnia widok był jeszcze bardziej przerażający. Udo wyglądało na przestrzelone. Na szczęście kula chyba nie utkwiała w środku, bo dziura była na wylot. Lewa noga wyglądała straszliwie. Brzegi rany były poszarpane, odsłaniały mięśnie i kość. Było duże prawdopodobieństwo zakażenia, a przy braku jakichkolwiek lekarstw mogłoby ono spowodować konieczność amputacji nogi. Pod Magdaleną ugięły się kolana. Potrzebny był lekarz, lekarstwa, środki opatrunkowe. A jeśli wda się gangrena, kto obetnie nogę?

Piotr otworzył oczy, uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie i słabym głosem poprosił o wodę. Podała mu i pogłaskała go po głowie. O nic nie pytała. Nie chciała męczyć Piotra, który i tak nie miałby sił odpowiadać. Zaczęła zastanawiać się, co stosowała Felisia na różne dolegliwości. Bo Felisia była zagorzałym wrogiem sztucznie sporządzonych lekarstw, wykorzystywała tylko to, co natura dała. Magdalena wybrała ze swojej apteczki szałwię, pokrzywę, poziewnik, dziurawiec i przygotowała napar. Te zioła znała i wiedziała, że działają przeciwwzapalnie. Podarte na pasy prześcieradło miało służyć za bandaż. Nic więcej prócz opatrywania ran domowym sposobem i podawania naparów do picia nie mogła dla Piotra zrobić. Postanowiła dodawać mu do jedzenia duże ilości czosnku, o którym słyszała, że zabija bakterie i wirusy. Zdawała sobie sprawę, że od niej teraz zależy życie i zdrowie męża.

Trzy kolejne dni upłynęły jej jak we śnie. Zajęta pielęgnowaniem Piotra, Juliany, przygotowywaniem posiłków, robieniem sera, masła i całą resztą czynności związanych z gospodarstwem, nie zauważała, kiedy dzień się kończył i późnym wieczorem dosłownie padała pólżywa na swoje słomiane łóżko. Nie była w stanie nawet martwić się o stan Piotra, który mimo jej zabiegów był bardzo zły. Wciąż gorączkował i większość czasu przesypiał niespokojnym snem. Lewa noga wyglądała paskudnie i Magdalena była już przekonana, że nie uda się jej uratować. Czwartego dnia gorączka spadła i Piotr poczuł się trochę lepiej. Kiedy rankiem Magdalena weszła do komory, leżał z szeroko otwartymi oczami. Na jej widok wyraźnie się uśmiechnął.

– Lenko, kochanie...

– Och, Piotr! Nie śpisz. Jak się czujesz?

– Dobrze. Zupełnie dobrze. Za dzień, dwa wstanę i pomogę ci w gospodarstwie.

– Za dzień, dwa? Piotrze, ty nie wiesz, o czym mówisz!

– Wczoraj, kiedy wlokłaś mnie przez las, było kiepsko. Ale dzisiaj...

– Piotr, to nie było wczoraj. Jutro minie tydzień, odkąd Popiół cię znalazł. Powiedz, co się stało? Gdzie zniknąłeś na tyle czasu? Kto cię tak...

– Boże, Lenko, nie masz pojęcia, co ja przeżyłem, kiedy mnie złapali, a ty

tutaj sama, tuż przed... Lenko, na miłość boską! Twój brzuch! – poderwał się z posłania i musiała go przytrzymać.

– Co się stało z dzieckiem? Lenka, co się stało?! – grube krople potu wystąpiły mu na czoło, a oczy rozszerzyło przerażenie.

– Cicho, Piotr... Cicho. Nie powinieneś się denerwować. Tylko sobie zaszkodziś – niemal siłą ułożyła go z powrotem na poduszce – przygotuję ci napar, zaczekaj.

Magdalena wyszła, ale zamiast naparu wzięła na ręce niemowlę i zaniósła je do Piotra.

– Masz córeczkę, kochany – oznajmiła, a w kącikach jej oczu pojawiły się łzy i powoli spłynęły po policzkach. – Spójrz, to Juliana – powiedziała to tak, jakby nie pamiętała przerażenia, bólu, osamotnienia w chwili, gdy dziecko przychodziło na świat, a jedyną istotą towarzyszącą tym przeżyciom był Popiół.

– Dziecko... – Piotr wyciągnął ramiona, a Magdalena ostrożnie położyła Julianę na jego piersi – moja maleńka córeczka, moja dziewczynka – mówił płacząc z radości i wzruszenia. – Lenko, kiedy?

– Juliana ma cztery tygodnie – powiedziała rzeczowo.

– Cztery tygodnie... Boże, przyszła na świat akurat wtedy, gdy ja... gdy mnie... A ty byłaś tu zupełnie sama. Jak sobie poradziłaś?

– Nie byłam sama. Był ze mną Popiół. Pilnował mnie i lizał po twarzy, jak krzyczałam z bólu.

– Lenko, najdroższa moja... Co ty musiałaś przeżyć. Moje biedactwo! Taka jesteś dzielna, kochanie.

– Nie miałam wyjścia. Juliana pchała się na świat. Musiałam ją urodzić i już. A potem... Potem wydołam krowę – dodała szybko.

– Co? – zawołał z niedowierzaniem i opadł na poduszki – urodziłaś, wstałaś i poszłaś doić krowę?

– Co miałam zrobić? Mówiłeś, że jak się nie doi, to zwierzę cierpi. Muczała. Nakarmiłam też kury, a potem Julianę i psa.

– Na miłość boską! – Piotr patrzył na Magdalenę jak na istotę z innego świata. Nie poznawał swojej delikatnej, kruchej Lenki, o którą tak się troszczył. Okazała się silna. Silniejsza od niego. – Na miłość boską – powtórzył – to niemożliwe!

– Możliwe. I konieczne. Tak, jak konieczne jest to, byś ty wyzdrowiał.

– Wyzdrowieję, kochanie, wyzdrowieję – uniósł się na łokciu, żeby dokładniej przyjrzeć się Julianie – dla niej wyzdrowieję. I dla ciebie.

Magdalena wzięła od niego dziecko i zaniósła je do kołyski. Juliana gwałtownie zaprotestowała. Dopiero nakarmiona i przewinięta zasnęła spokojnie, pozwalając Magdalenie wrócić do męża. Jednakże zmęczony wrażeniami i chorobą zasnął.

Obudził się po południu. Był głodny, co niezmiernie ucieszyło Magdalенę. Apetyt uznała za sygnał powrotu do zdrowia. Przyniosła mu posiłek, napar, który pił trzy razy dziennie, i podczas zmiany opatrunku zagadnęła.

– Opowiesz mi, co się stało?

Skinął głową i zaczął mówić:

– Lenko, ty nawet nie wiesz, że zaczęła się wojna. Pierwszego września. Niemcy zaatakowali Polskę. Tutaj natomiast przybyli sowietci. Kiedy zjawilem się we wsi, mieszkańców zbierano właśnie, żeby ich wywieźć gdzieś daleko, chodzący słuchy, że na Syberię. Zabrano mnie z tłumem, który pędzono na najbliższą stację kolejową, do miasteczka... nie pamiętam nawet jego nazwy. Tam pilnowani czekaliśmy na wyjazd. Przez cały czas myślałem z przerażeniem o tobie i naszym dziecku. Nie mogłem zostawić cię samej w takim stanie. Nie mogłem dać się tak po prostu wywieźć. Zacząłem planować ucieczkę, ale straż była czujna. Grozili, że za każdym, kto ośmieli się uciekać, wypuszczą psy i będą strzelać. Bałem się, ale wiedziałem, że muszę uciec. Ryzyko było ogromne. Mogli mnie zabić i wtedy nie wróciłbym w ogóle, nigdy... Chociaż jak pomyślę, ile kłopotów ci sprawiam, to może byłoby lepiej. Radzisz sobie beze mnie doskonale. A ja teraz, o... – klepnął się po nogach i syknął z bólu – tylko utrapienie masz ze mną, nic więcej...

– Piotrze, jak możesz tak mówić! Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że jesteś ze mną. Że jesteś...

– Po trzech tygodniach czekania w straszliwych warunkach, brudnych i głodnych zapędzili nas na peron. Ludzie pousiadali na swoich tłumokach. Niewiele pozwolono im zabrać. Ja nie miałem nic. Była noc, większość owinęła się czym mogła i zasnęła. Strażnicy oddalili się na koniec peronu i śmiejąc się z czegoś głośno, wyjęli papierosy i skupili się na ich zapalaniu. To był najlepszy moment. Zacząłem czołgać się za siedzącymi ludźmi w przeciwną stronę do tej, gdzie byli strażnicy. Przy następnym peronie stała lokomotywa. Postanowiłem przebiec tam i ukryć się za nią. Serce łomotało mi tak głośno, że nic innego nie słyszałem. Zeskoczyłem z peronu i schylony, żeby mnie nie dostrzegli, przemknąłem za lokomotywę. Czekałem teraz na odpowiedni moment, aby przedostać się do pierwszych drzew rosnącego tam lasu. Oderwałem się od lokomotywy i ile sił w nogach ruszyłem. Wtedy mnie zobaczyli. Zaczęli krzyczeć: „Stój! Stój!” Potem padły strzały. Jedna kula trafiła mnie w nogę, ale biegłem dalej. Wypuścili psy. Nie mogłem biec tak szybko ze zranioną nogą. Złapałem jakiś kamień. Pies, który wybiegł pierwszy, dogonił mnie. Drugi gdzieś się zawieruszył. Ten, który mnie dopadł, złapał zębami moją nogę. Szarpałem się, ale nie zdołałem wyrwać. Wtedy z całej siły uderzyłem go kamieniem w głowę i prawdopodobnie zabiłem na miejscu. Z poranionymi nogami uciekałem dalej. Czuję, jak krew spływa mi po nogach. Myślałem, że wykrwawię się do końca. Kiedy byłem już daleko, zatrzymałem się, zdjąłem koszulę, oderwałem rękawy i przewiązałem nogi, żeby

tak nie krwawiły. Musiałem jednak dalej uciekać. Nie wiedziałem, czy nie gonią mnie psy. Dobiłem do jakiejś wsi. Tam było pełno Sowietów. Miejscowych chyba już wyprowadzili. Ukryłem się w szopie. Była pusta, tylko w kącie leżał stos drewna. Schowałem się za nim i czekałem, aż zapadnie noc albo Sowietów się wyniosą. Czuję się słabo. Krew wciąż sączyła się z nóg. Porwałem resztę koszuli i zabandażowałem rany, żeby nie zostawiać krwawych śladów. Kiedy zapadał mrok, Ruskie zaczęli pić, chyba samogon. Wyglądałem czasami przez szparę w drzwiach, ale nie mogłem wyjść, bo cały czas kręcili się niedaleko. Nad ranem usłyszałem, że ktoś szarpie drzwi. Schowałem się w najgłębszym kącie za drewnem i wstrzymałem oddech. Dwóch weszło i zaczęli się rozglądać. „Tu możemy się przespać – powiedział jeden z nich – przynieśmy wiązkę siana, żeby nie było twardo”. Poszli i był to jedyny dobry moment na ucieczkę. Po cichu wymknąłem się z szopy i przysiadłem za studnią na podwórku. Wtedy wrócili z lampą i jeden z nich zobaczył ślady świeżej krwi na klepisku. Wybiegli stamtąd i zaczęli węszyć. Bałem się, że mnie znajdą. Jeden z nich stanął przed studnią, by zaczerpnąć wody. Pił wprost z wiadra i co chwilę się rozglądał. Siedziałem nieruchomo, wszystko mi ścierpło. Na szczęście ten drugi go zawołał i poszli za szopę. Wtedy rzuciłem się do ucieczki. Na oślep, byle dalej. Błąkałem się po lesie, nie mając pojęcia, czy idę w dobrym kierunku. Myślałem wciąż o tobie, o lekarzu, którego chciałaś mieć przy porodzie i zastanawiałem się, jak ci powiem, że to niemożliwe. Byłem coraz słabszy i bardzo chciało mi się spać. Zagrzebałem się jak jeź w kupie liści, żeby mnie nikt nie znalazł, i przespałem kilka godzin. Po tym odpoczynku nie mogłem już wstać. Nogi bolały mnie bardzo. Z trudem pokonywałem odległość od drzewa do drzewa, chwytając się ich kurczowo. Nie wiem, jak długo tak szedłem. Przez ten czas nie miałem nic w ustach. Ciemniało mi w oczach. Ogarnął mnie strach, że wykrwawię się na śmierć. Ból stawał się nie do wytrzymania. Nie miałem już sił nawet pełznąć. Poraniłem sobie ręce o wystające korzenie i gałęzie. Szyszki wbijały mi się w dłonie i kolana. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Byłem w takim stanie, że tracąc nadzieję, traciłem też cel, motywację, rozumiesz, co mam na myśli... było mi wszystko jedno. W końcu położyłem się na ziemi i pomyślałem, że dalej nie dam rady, że już tu zostanę. W głowie tworzyła mi się pustka, zacząłem odpływać. I wtedy coś polizało mnie po twarzy. Z trudem poznałem, że to Popiół. Ale myślałem, że to jakieś moje majaczenie, bo był przy mnie, zniknął i znowu był... A potem usłyszałem twój głos. Jak z innego świata. Wołałaś: Piotr, Piotr, a ja myślałem, że to już koniec, że mi się tylko wydajesz, że umieram...

– Och, Piotrze! Mój biedaku! – powiedziała współczująco Magdalena, a po jej policzkach toczyły się łzy. Popatrzyła na jego owinięte bandażami nogi i serce jej się ścisnęło. Musi go uratować. Musi!

Nie było to łatwe. Rana na lewej nodze paskudziła się i ropiała. Wokół niej

pojawiła się czerwona obwódka. Magdalena wpadła w popłoch. Bała się zakażenia jak niczego dotąd.

– Piotrze – powiedziała któregoś dnia – pójde do wsi. Może wskażą mi jakiegoś lekarza.

– Ani się waż! Tam nikogo nie ma, tylko Sowieni! Zabiją cię!

Było tyle przerażenia w jego głosie, że zrezygnowała z tej ryzykownej wyprawy. A rana wyglądała coraz gorzej. Piotr, znoszący dotąd cierpliwie zabiegi Magdaleny, zaczął krzywić się z bólu.

– Boli bardziej niż do tej pory? – dopytywała się z troską.

– Chyba tak – odparł z wahaniem – i tak dziwnie pulsuje...

– Boże! Chyba nie będę musiała obciąć ci nogi! Nie dam rady!

– Nie wiem, Lenko. Jeśli nie będzie wyboru... – urwał i syknął z bólu, gdy zawiązywała bandaż.

– Nie! Nie zrobię tego! Boję się!

– To tak, jakbyś rąbała drewno. Tylko... Tylko teraz będzie to moja noga.

Magdalena zacisnęła zęby i jeszcze częściej przemywała rany i zmieniała opatrunki. Była oddaną, pełną poświęceń pielęgniarką. Nie pozwoliła też sobie na jakiegokolwiek zaniedbanie. Opatrywała rany, poila naparami z ziół, prała bandaże. Obserwowała, czy nie pojawiają się jakieś nowe niepokojące symptomy, ale po pewnym czasie zauważyła niewielką poprawę. W końcu rany zaczęły się zablizniać. Samopoczucie Piotra z dnia na dzień też ulegało poprawie. Magdalena odzyskała radość życia. Pracowała ciężko, ale teraz podśpiewywała wesoło i żartowała z Piotrem. Przynosiła mu też Julianę, żeby mógł się nią nacieszyć.

Kiedy Juliana miała prawie dwa miesiące, a Piotr trzy tygodnie leżenia za sobą, postanowił wreszcie wstać. Pierwsze kroki były trudne. Magdalena wyszukała w lesie dwa solidne kije, których Piotr używał w charakterze lasek. Opierając się na nich mógł pokonywać większe odległości. Po kilku dniach rzucił je w ką. Odnieśli zwycięstwo!



W obliczu tylu wydarzeń nawet nie zauważyli, kiedy minął listopad. Grudzień zaczął się ponuro. Niebo zasnuwane ciężkimi, sinymi chmurami zdawało się opadać drzewom na ramiona wilgotną peleryną. Przez małe okienka prawie nie wpadało światło i wszystko pogrążone było w półmroku, jak o szarej godzinie. Magdalena chciała zapalić lampę, ale Piotr zaprotestował:

– Lenko, nafta może być później bardziej potrzebna niż teraz, a mamy jej niewiele.

Miał wyrzuty sumienia, że coraz bardziej ogranicza w miarę normalne funkcjonowanie rodziny i bał się, że kiedyś Lenka wypomni mu to, co utracił wiążąc się z nim. Ale ona przyjmowała jego słowa bez uwag. Może zdawała sobie sprawę, że teraz, kiedy jest wojna, nie tylko oni są w takiej sytuacji. Być może rodzicom i Stasiowi nie powodzi się lepiej. Jeśli jeszcze żyją.

Po południu zaczął padać śnieg. Magdalena stanęła z Julianą w ramionach i spoglądała przez małe okienko na sypiące płatki. Często wędrowała myślami do domu w Konstancinie, do matki i Stasia, pełna obaw o ich los. Tutaj, w leśnej głuszy, mogli czuć się raczej bezpiecznie. Nic im nie grozi, dopóki jakiś nieproszony gość nie natknie się przypadkiem na ich dom, ich azyl.

Adam założył czytana stronę skrawkiem papieru i wyszedł do pokoju rodziców. Dopijali kawę, przeglądając prasę. Przez otwarte okno wpadał ciepły wietrzyk i hałas z ulicy.

– A przed chwilą padał śnieg – mruknął odchylając firankę.

– Co mówisz, synu? – zapytał ojciec, odłożył gazetę i przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

– Ech, nic. Tak sobie mruczę.

– Chyba nudzisz się trochę? Chcesz kawy? – zapytała matka i uśmiechnęła się ciepło. – Może wybrałbyś się z jakimś kolegą do kina, co?

– E tam, nie ma nic ciekawego.

– To zależy, co cię interesuje.

– Wojna.

– Nie rozumiem. Co takiego mają w sobie mężczyźni, że ich tak do tej wojny ciągnie. Wojna to najstraszniejsza rzecz na świecie! – westchnęła matka.

– Właśnie dlatego mnie interesuje. Szkoda, że dziadka już nie ma. Pięknie opowiadał o wojnie.

– Bo był w samym środku tego całego kotła. Dziadkowie mieszkali wtedy w Warszawie.

– Mamo, możesz mi pokazać album dziadka?

– Przecież już ze sto razy go oglądałeś.

– Wiem, że ze sto. Ale dziś chcę sto pierwszy.

– No to sobie sięgnij. Jest w szafce, na górze. Nie na tej półce. Wyżej... Ten album to kawał historii. – Matka przesunęła się na kanapie. – Chodź tu koło mnie. Też chętnie obejrzę.

– A to i ja do was dołączę – odezwał się ojciec, wypił ostatni łyk kawy i odstawił filiżankę.

– O, popatrz jaki przystojniak – powiedziała do Adama jego matka. – To dziadek tuż przed wojną. Chyba ze dwa lata po ślubie wtedy był.

– To prawie tak samo, jak Piotr!

– Co? Jaki Piotr?

– A... taki jeden. Z książki.

– Ty sobie odpuść trochę te książki, bo ci się fikcja z rzeczywistością miesza.

– Nic mi się nie miesza. A to? Gdzie to jest? Po Wiśle tak pływają?

– Po jakiej Wiśle! Widziałeś żeby miała takie wąskie koryto? To jakaś rzeczka. Czeka, wyjmę zdjęcie, może jest podpisane. No jest. Jeziorka. Konstancin, 1938 rok.

– Konstancin? – Adama przeszył dreszcz. – Dziadek jeździł do Konstancina?

– A cóż w tym dziwnego? Wszyscy tam jeździli. To bardzo blisko Warszawy.

W trzydziestym ósmym... Już ich tam nie było – pomyślał Adam.

– O, tutaj twój dziadek już w mundurze. Poszedł na wojnę i babcię samą zostawił. No, niezupełnie samą. Twój wujek się wtedy urodził. Bo ja to dopiero po wojnie. Trzydzieści lat jestem od brata młodsza. Powinieneś z babcią o wojnie porozmawiać. Prawie cały czas w Warszawie była. Kiedyś z łapanki uciekła. Zostawiła Jurka, to znaczy twojego wujka, samego w domu i poszła zdobyć coś do jedzenia. A tu łapanka! Zgarnęli ją do samochodu, a ona o niczym innym nie myślała, tylko o tym, że Jurek jest sam. Właściwie to już było wszystko jedno, czy ją wywiozą, czy zginie od kulki. Dziecko i tak zostało samo. Zaryzykowała. Przełożyła nogę przez barierkę, a Niemiec, który ich pilnował, nic. Przełożyła drugą – nic. Wyskoczyła i spokojnym krokiem zaczęła iść. Przez cały ten czas czuła jego wzrok na plecach. Pomyślała: bawi się mną, zaraz strzeli. Nogi miała miękkie, jak z waty. Po plecach strużką ściekał jej pot. Czekala na ten strzał. Była tak spięta, że właściwie chciała, żeby było już po wszystkim. A on dalej nic. Skręciła za róg i myśli: teraz! To ostatni dzwonek, żeby strzelić! A on nic. Kiedy zniknęła za rogiem, przeszła jeszcze parę kroków i upadła. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ze strachu. Wróciła bez jedzenia, ale żywa! Oj, działo się wtedy.

Historię studiujesz, to wiesz.

– Wiem, wiem. Dobrze, że zdążyli się wyprowadzić. W tym lesie to jak w kokonie.

– Adam, oni się nie wyprowadzili. Mówię ci, że babcia przez całą wojnę była w Warszawie. Wszystko przeżyła. Warszawa powoli zamieniała się w cmentarz. Niemcy bez wahania strzelali do ludzi. Ciągłe bombardowania. Wszyscy chowali się w piwnicach. Czasem ktoś odważniejszy wychodził z ukrycia po jedzenie dla siebie i innych. Jakaś zdeterminowana matka gotowała codziennie w mieszkaniu nad piwnicą zupę dla dzieci, pod gradem przelatujących nad domem bomb.

Tak, Adam wiedział. Pisał o tym jakąś pracę na studiach. Warszawiacy tłumnie uciekali z miasta. Rozpaczliwie szukali schronienia po okolicznych wsiach. Nastąpił wielki chaos. Jedni uciekali z Warszawy, inni przybywali do niej. Na drogach prowadzących do miasta koczowały tłumy cywilów – kobiet, starców i dzieci. Wojsko rekwirowało samochody, konie, nawet rowery. Nagle zabrakło gazet, zamilkły radia. Komunikaty nie były jasne i dokładne. Nikt nie wiedział na pewno, jak wyglądała sytuacja. Sklepy świeciły pustkami. To wszystko powodowało, że przerażeni ludzie stali się nieufni, często agresywni. Była to walka o przetrwanie. Brud z braku wody, chłód, głód i paraliżujący, nie ustępujący strach niejednego doprowadziły do obłędu. Warszawa płonęła, nad miastem unosiły się czarne skłębione chmury. Życie stało się przerażające, nie do wytrzymania. Przestały działać poczty, ci, którzy zawieruszyli się w wojennym bałaganie, nie mieli kontaktu z bliskimi. Na przejazd pociągiem potrzebne było specjalne zezwolenie. Włamania i kradzieże były na porządku dziennym, Rząd konfiskował oszczędności zgromadzone w bankach. Ludziom brakowało pieniędzy, nie mieli z czego żyć, gdy jednocześnie ceny sprzedawanych pokątnie podstawowych artykułów osiągały gigantyczne ceny. Kilogram ziemniaków kosztował całą złotówkę! Gaz został odcięty, a węgla nigdzie nie można było kupić. Nocami miasto pogrążało się w ciemnościach, rozświetlanych tu i ówdzie przez łuny nad płonącymi domami. Umierało, a jego oddechem były kłęby czarnego dymu. Te i inne fakty Adam znał nie tylko z literatury i historii, rozmawiał z wieloma ludźmi w ramach studenckich ćwiczeń. To piekło jak dotąd omijało Magdalenę i Piotra. Ale co będzie dalej? Czy zdecydują się jednak na powrót do domu, do Konstancina? Tu teraz Niemcy upodobali sobie piękne, stylowe wille. Wysiedlili więc część mieszkańców, wymordowali Żydów i umieścili w willach wysokich dygnitarzy niemieckich. Może również w domu Magdaleny? Może jej rodzina tułała się gdzieś w poszukiwaniu miejsca dla siebie?

– A co ty mówisz o lesie? – przerwał mu rozmyślenia ojciec. – Dziadek nie był w partyzantce i nie biegał po lasach. Zresztą tam też było niebezpiecznie. O jakim ty kokonie opowiadasz?

– Wiem, że nie był w partyzantce. A to? Już po wojnie? – postukał palcem w zniszczoną fotografię.

– Już po niej. Wszystko zburzone, spalone. Mówiłam, wojna jest straszna...

Ach, żeby nie wracali... Ale chyba nie wrócą. Te dzienniki znalazłem przecież w chacie – zastanawiał się Adam.

– No co? Wystarczy ci tej wojny? – zapytał ojciec.

– Moja wojna dopiero się zaczyna – odpowiedział Adam.

Matka przyjrzała mu się uważnie.

– Strasznie zagadkowy dzisiaj jesteś. Idź na spacer, niech ci się mózg przewietrzy.

– Dobrze, mamó. Przejdę się po lesie.

Adam pocałował matkę w policzek, mrugnął do ojca, który przyglądał mu się z zastanowieniem, i umknął do swojego pokoju.

Śnieg zasypywał wydeptane ścieżki codziennych wędrówek do szopy, kurnika i drewnutni. Piotr dołożył drewna do pieca i usiadł przy nim, prostując obolałe nogi. Nie były jeszcze zupełnie sprawne.

– Nie powinieneś przemęczać swoich nóg. Nie zagoiły się do końca – strofowała go Magdalena, całując jednocześnie płowe włoski córeczki.

– Oczywiście, powinienem wylegiwać się i przyglądać, jak pracujesz ponad siły. Chcę ci pomóc, Lenko. Przynajmniej tyle, ile mogę.

W chacie było ciepło i przytulnie. Ale to oni tworzyli tę atmosferę spokoju i miłości. To znaczy Magdalena z Piotrem, małeńka Juliana i Popiół, który niejednokrotnie udowodnił, jak bardzo należy do rodziny. Teraz, gdy za oknem ścielił się coraz grubszy śnieżny dywan, Piotr siedział bezpiecznie przy piecu, a Popiół drzemał w swoim kącie, Magdalena trzymając córeczkę w objęciach, czuła się niemal szczęśliwa. Piotr z czułością przyglądał się dwóm ukochanym istotom i wsłuchiwał się w cichą, rzewną kołysankę śpiewaną wprost do uszka Juliany. Nagle Magdalena przestała nucić i odsunęła się od okna. Wyraz jej twarzy gwałtownie się zmienił.

– Coś się stało? – zapytał Piotr. Oparł się o stół i usiłował wstać, a wtedy krzesło odsunęło się z hałasem.

– Cicho! Ktoś tu jest! – powiedziała zaniepokojona Magdalena. Okryła Julianę chustą, którą miała na plecach i jeszcze bardziej odsunęła się od okna.

– Niemożliwe. Może przebiegło jakieś zwierzę – próbował ją uspokoić Piotr, usiłując jednocześnie dostrzec coś przez zamgloną szybkę.

– Tam, widzisz? – wyciągnęła rękę – coś się rusza między drzewami. Bardzo powoli. Nie wygląda na zwierzę.

– Zdaje ci się. – Zmrużył oczy i uważnie popatrzył w kierunku wskazanym przez Magdalенę. – Nikogo tu nie ma.

– Wcale mi się nie zdaje! Patrz teraz!

Zza drzew wysunęły się dwie sylwetki. Stanęły na wprost domu i przez chwilę przyglądały mu się z uwagą. Potem zdecydowanym krokiem ruszyły do drzwi.

– Idź na górę, szybko! – wydał ciche polecenie Piotr. – Zaraz podam ci dziecko. – Wyrwał Julianę z ramion Magdaleny i pchnął ją w stronę drabiny.

– A ty? Co będzie z tobą? – Magdalena trzęsła się ze zdenerwowania.

– Nie martw się. Ja sobie poradzę. Spróbuję pozbyć się tych ludzi.

Gdy Piotr podawał jej Julianę, rozległo się głośnie pukanie. Popiół zastrygł uszami.

– Nie otwieraj! Chodź tu, na górę. Pomyślą, że dom jest pusty – zawołała głośnym szeptem.

Piotr nie miał czasu na dyskusję. Pukanie powtórzyło się. Głośnie, natarczywie. Popiół zaczął zajadle szczekać.

– Cicho, Popiół! – rozkazał Piotr i mocno utykając poszedł otworzyć drzwi.

– Bogu niech będą dzięki! Jesteście! – usłyszał.

W progu stał ksiądz i jego gospodyni. Byli tak wymizerowani i zmarznięci, że Piotr ledwo ich poznał. Gospodyni zsunęła z głowy wełnianą chustę i bystro rozejrzała się po izbie.

– Sam jesteś? A gdzie żona? – zapytała.

– Lenko, możesz zejść! Jest bezpiecznie! – zawołał Piotr w kierunku wyciętego w deskach otworu, w którym zniknęła Magdalena.

Wyjrzała niepewnie. Na widok księdza, który podarował im schronienie w postaci leśnej chaty, uśmiechnęła się szeroko. Potem wyciągnęła do Piotra małe zawiniątko.

– Co to? Dziecko? – odezwała się gospodyni karcącym głosem. – Kto rodzi dzieci w czasie wojny?! – dokończyła kręcąc z dezaprobatą głową.

Piotr obrzucił ją szybkim spojrzeniem, w którym nie było cienia sympatii, a ksiądz tylko machnął ręką.

– Dajże spokój, Heleno. Bóg pobłogosławił – powiedział po chwili i zwracając się do młodych rodziców zapytał: – Chłopak?

– Dziewczynka. Juliana – odpowiedzieli.

– Chrzczona?

– Nie – odpowiedział Piotr zerkając na Magdaleny.

– Tak – niemal jednocześnie pośpieszyła z odpowiedzią – sama ochrzciłam.

– Dobrze, dobrze – mruzczał pod nosem ksiądz, rozglądając się za jakimś krzesłem. Gospodyni usiadła pod piecem, wyciągnęła przed siebie nogi i zajęła się rozsypywaniem chustki pod brodą.

– Za mocno tu grzejecie – zauważyła. – Dziecko chorowite będzie.

Zdjęła kozuch i sirak z brązowej wełny. Chodaki postawiła pod krzesłem, rozwinęła onuce, przez chwilę trzymała je w rękach, jakby zastanawiając się, co

z nimi zrobić, w końcu położyła na chodakach i odetchnęła z ulgą.

Ksiądz baranią czapę umieścił na stole, kurtak z samodziałowego sukna podał Piotrowi, a ten odwiesił go na hak w korytarzu. Magdalena przyglądała się tym zabiegom, ale nie śmiała o nic pytać. Oni także milczeli. Piotr przysiadł na brzegu łóżka i czekał.

– Ot i tak... – westchnął ksiądz i klepnął się w kolano. Helena pokiwała do wtóru głową. – Ludzie ludziom ten los gotują. A Pan z nieba patrzy i kiedy czas nastanie, sądzić będzie. I sprawiedliwy będzie dla wszystkich. Dla Żydów i Niemców, dla Polaków i Ukraińców, a nawet dla Sowieców. Ot tak...

Helena ponownie pokiwała głową, łypiąc przy okazji okiem na leżącego w kącie Popioła.

– A ten co taki chudy?

Wszyscy zgodnie spojrzeli na psa, który czujnie zastrzygł uszami.

– Taka jego uroda, Heleno. Daj już spokój. Pies, jak pies. Teraz wojna, karmić nie ma czym – wyjaśnił ksiądz, poprawił się na krześle i spojrzął na Piotra.

– My tu do ciebie, Piotrze, przyszliśmy zawieruchę przeczekać.

Piotr i Magdalena wymienili szybkie spojrzenia.

– Cztery dni my tu szli i trafić nie mogli, mimo że Henryk nie raz brata swojego odwiedzał. Zapasy te, co na drogę, wczoraj się skończyły. Dzisiaj nic w ustach nie mieliśmy – powiedziała Helena i spojrzała z wyrzutem na Magdaleny, która natychmiast udała się do komory. Piotr położył Julianę do kołyski i podążył za żoną.

– Co ty robisz? Zostaw to! – szepnął widząc, jak bierze miód i wędzone mięso. – Nie musisz im dawać wszystkiego, co mamy! Nie wiadomo, ile czasu jeszcze będzie wojna.

– Ale przecież... Przecież ksiądz też nam pomógł, jak byliśmy w potrzebie...

– Tak, tak, pomógł, wiem. Ale trzeba oszczędzać, Lenko. Weź podpłomyki i mleko.

– Wezmę też ser.

– No dobrze. I ser. Daj, pomogę ci. Musimy się dowiedzieć, jak długo tu będą.

Kiedy wrócili do izby, Helena zlustrowała poczęstunek, a ksiądz aż w ręce klasnął.

– Oj, świeże mleko! I ser! Mój brat też miał krowę. Długo była, ale jakiś miesiąc przed wypadkiem brata padła. Stara widać była. A może chora? Pan Bóg raczy wiedzieć...

– A masła nie masz? – zwróciła się Helena z pełnymi ustami do Magdaleny.

– Nie – uprzedził ją Piotr – dzisiaj robiliśmy ser. Jutro może będzie masło. Teraz krowa chude mleko daje.

– Pobłogosław Panie te dary i tych, co je przygotowali. A i krowę pobłogosław – pomodlił się ksiądz. – A ty Heleno nie narzekaj, bo pewnie nie pamiętasz, jak ser smakuje. U nas bieda teraz we wsi. Wy tutaj nawet nie wiecie, co się dzieje. A źle się dzieje, źle. Ludzie zgodni zawsze byli, jedni do cerkwi chodzili, inni do kościoła, ale nikt nikomu krzywdy nie robił. Teraz wilkiem na siebie patrzą. Polacy boją się tak Niemców, jak i Ukraińców. To kazałem Helenie chleba do węzełka zabrać i tutaj, do domu brata, uciekać. Tu bezpiecznie. Nikt nie znajdzie. Przeczekamy najgorsze.

– Na długo? – odważył się zapytać Piotr.

– Jak Bóg da.

Piotr z Magdaleną ponownie wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Patrzyli tylko, jak przybysze z apetytem jedzą, często zapijając mlekiem.

Helena przysunęła się bliżej pieca.

– Słabo grzejecie. Dziecko zaziębiecie. Dołóż drewek – zwróciła się do Piotra, który z westchnieniem wziął kosz i mocno utykając, wyszedł do drewnutni.

Magdalena zaczęła sprzątać resztki ze stołu. Juliana cicho zakwiliła w kołysce.

– A nie mówiłam? – odezwała się znowu Helena, a jej wzrok był pełen jadowitej satysfakcji. – Już płacze. Pewnie ma gorączkę.

– Heleno – strofował ją łagodnie ksiądz – każde dziecko musi sobie trochę popłakać. Może jest głodna.

– Co ty tam wiesz o dzieciach. Sam nigdy ich nie miałeś! – rzuciła i poczuła się tymi słowami nieco skonsternowana, ale odchrząknęła i mówiła dalej: – Jesteś ode mnie młodszy o całe cztery lata i to ja, twoja starsza siostra, zajmowałam się tobą!

Magdalena była zaskoczona. Nie wiedziała, że ksiądz i jego gospodyni to rodzeństwo. Pomyślała też o Stasiu. Bardzo chętnie zajęłaby się nim teraz. Ma już trzy latka. Na pewno jest wspaniałym, radosnym dzieckiem. Chociaż... wojna jest nieobliczalna. Nie wiadomo, gdzie teraz jest Stasio, czy żyje. Jak ciężko o tym myśleć.

– Zajmowałam się mną, to prawda, ale inaczej jest, jak ma się własne dzieci.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć?!

– Chrzciłem je. Ochrzciłem setki dzieci. I większość z nich płakała. A zapewniam cię, że były zdrowe.

– Ech, gadał ślepy o kolorach – burknęła i zamilkła, przyglądając się, jak Magdalena przewija Julianę.

– Nie myślisz chyba, że ja będę spać z dzieckiem w jednej izbie – odezwała się po chwili. – Musisz zabrać stąd kołyskę.

Magdalena wyprostowała się gwałtownie. Jej oczy pociemniały z gniewu. Spojrzała na księdza szukając wsparcia, ale on przymknął powieki i zatopił się

w modlitwie, bezgłośnie poruszając ustami. Kiedy wrócił Piotr, Magdalena złapała go za rękę i wyprowadziła z izby.

– Nie wytrzymam tego! – wysyczała przez zęby. – Nikt nigdy tak mnie nie irytował, jak ta kobieta! Przebywanie z nią pod jednym dachem jest nie do wytrzymania! Nie możemy jej stąd wyrzucić?

– Niestety – westchnął Piotr – jest rodzoną siostrą księdza, a tym samym nieżyjącego brata, który dom ten wybudował. Ta chata nie jest naszą własnością. I jeżeli ktoś ma do niej prawo, to oni.

– Co masz na myśli?

– To, że jeżeli nie będziemy mogli z nimi wytrzymać, będziemy musieli się wynieść. My, nie oni.

– Wynieść? Dokąd?!

– Ano właśnie. Dlatego zaciśnij zęby, Lenko, zaciśnij zęby...



Przenieśli się do komory. Kołyska stała tuż przy legowisku, pomiędzy koszami ze zbożem, drewnianą skrzynią a przeniesionymi krosnami. Trudno było wśród tego wszystkiego postawić nogę, a cóż dopiero wykonywać codzienne czynności. W izbie na łóżku sypiała Helena, ksiądz zaś na sienniku ze słomy, ułożonym w kącie, gdzie przedtem miał swoje miejsce Popiół. Psa Helena wyrzuciła na podwórko i Piotr musiał się uwijać, by sklecić mu jakąś budę. Popiół od tego dnia ignorował Helenę lub łypał na nią spode łba. Nie zdarzyło mu się w jej obecności pomachać ogonem, nawet przez pomyłkę. Helena krok w krok chodziła za Magdaleną, strofując ją i pouczając w każdej kwestii. Piotr większość czasu spędzał w lesie, pod pretekstem polowania lub szykowania drewna na opał. Rzadko udawało mu się przynieść jakąś zdobycz. Raz upolował i tak już zranioną sarnę, częściej przy pomocy Popioła łapał młode zajaczki. Ksiądz lubił spacerować po ośnieżonym lesie, gdzie oddawał się modlitwie i rozmyśleniom. Zbliżała się Wigilia i Magdalena w asyście wiecznie niezadowolonej, zrządzącej Heleny zabrała się za przygotowania do świąt.

– Te grzyby nie są przypadkiem trujące? – zrzędziła Helena. – Skąd niby miałabyś się na nich znać, taka miastowa paniusia. Nasyp więcej mąki, nie żałuj. I jajko dodaj. Co to, nie masz soli? Solą poprośz. Ale nie tak dużo! Znowu przesolisz, a mnie ona na nerki szkodzi. Dziecko ci płacze. No, idź do niej! Co z ciebie za matka! Jak ty ją do karmienia trzymasz? I jak ten świat ma wyglądać, skoro niedorajdy biorą się za rodzenie dzieci!

Magdalena zaciskała zęby, gryzła się w język, ale była już u kresu wytrzymałości. Jej niechęć do czynności, które dotąd wykonywała z radością, pogłębiała się z każdym dniem. Nie mogła patrzeć na Helenę i słuchać jej ciągłych utyskiwań. Miejsce, które tak ukochała, gdy była tylko z Piotrem, stało się dla niej piekłem. Piotr w milczeniu wysłuchiwał jej skarg, potem przytulał ją mocno i szeptał bez przekonania:

– Przeczekałmy. Kiedyś się to przecież skończy...

– Łatwo ci tak mówić, gdy całymi dniami biegasz po lesie za sarną czy zajacem. To ja mam ją codziennie za plecami! – buntowała się Magdalena.

Mimo wszystko Wigilia upłynęła w nadspodziewanie dobrym nastroju. Helena nie psuła wieczerzy swoimi uwagami. Na stole było skromnie, ale spokój z daleka od wojennej zawieruchy wynagradzał im kulinarne niedostatki. Nawet

kolędy śpiewali wspólnie, jak w prawdziwej rodzinie. Kiedy już byli syci, ksiądz rozparł się wygodnie na krześle.

– U nas w Krakowie, jak dziećmi jeszcze byliśmy, cała rodzina zjeżdżała się na święta. Matka wtedy ubierała jednakowo mnie i brata, bo podobni byliśmy jak dwie krople wody.

– Bliźniacy? – wtrąciła Magdalena, łuskając orzechy z leszczyny, którą Piotr osobiście z lasu przyniósł i do sadu przesadził.

– A jakże! Henryś tylko o pięć minut starszy był.

– Przecież to ty jesteś Henryś – sprostowała Helena.

– A prawda, prawda... Jemu Władek było... No to matka nas tak ubierała dla żartu, żeby wszyscy zgadnąć musieli, który jest który – roześmiał się. – Choinka sufitu sięgała. Matka uczyła nas łańcuchy z papieru wycinać. Który to chłopak lubi takie wycinanki? Tłukliśmy się tylko i szturchaliśmy, w końcu sama musiała...

– Siostra nie mogła pomóc? – zapytał Piotr i popatrzył znacząco na Helenę.

– Jaka siostra? A, Helena! No, ona w kuchni z matką była. Potrawy na wieczerzę szykowały. A czego tam nie było! I pierogi, i kapusta, i kluski z makiem, ale królowała zupa grzybowa z samych borowików, z kluseczkami!

– Z kartoflami – sprostowała Helena.

– No jakże? Pamiętam przecież. Z kluskami była, pamiętam, bo brat taką lubił! Z kluskami!

– Mówię ci, z kartoflami!

– To może u was, u nas...

– Henryś, przecież w jednym domu byliśmy. Ot, stary jesteś, w głowie ci się miesza.

– Dawno było, każdy mógł zapomnieć – wziął księdza w obronę Piotr – a dziś brat jest już pewnie zmęczony. Pora spać. Lence też, widzę, oczy się kleją.

Ale Magdalena jeszcze uprzątnęła ze stołu, nakarmiła Julianę i dopiero wtedy udała się na spoczynek.

Po świętach ksiądz Henryk wraz z Heleną zaczęli przebąkiwać o powrocie. Śpieszno im było zobaczyć, co dzieje się we wsi. Magdalena z Piotrem niby ich zatrzymywali, trochę im księdza było żal, ale tak naprawdę cieszyli się, że wreszcie pozbędą się Heleny.

– Przychodźcie, jakby we wsi niebezpiecznie było – zachęcał Piotr.

– A przyjdziemy, przyjdziemy, byle nas Pan Bóg przy życiu zachował – zapewniał ksiądz.

– Wiosną grobu Władysława poszukam i kamieniami ładnie obłożę – obiecywał Piotr.

– Pewnie trawą zarósł i wcale go nie widać. Sam dokładnie nie pamiętam, gdzie go pochowałem – powiedział zakłopotany ksiądz. – Umarłych zostawmy,

niech odpoczywają w pokoju... Ot, żoną się zajmij, żeby ci nie chciała stąd uciekać, jak... jak ptaszek z klatki. No, zostańcie z Bogiem.

– Uważajcie na siebie! – powiedziała i pomachała im Magdalena, po czym wróciła do obowiązków. Przez cały dzień czuła obecność Heleny, patrzącej jej na rękę, pouczającej i zrędlivej.

– Myślisz, że wrócą? – zapytała męża wieczorem.

– Nie wiem. Jeśli we wsi uspokoi się trochę, nie będą mieli potrzeby tu wracać. To dla nich daleka i trudna wyprawa. Nie są już młodzi.

W nocy zerwała się zawierucha i Magdalena leżąc u boku śpiącego Piotra zastanawiała się, czy ksiądz z Heleną zdążyli wrócić do domu. Nie miała pojęcia, że oni idąc myśleli o tym, czy dom ten jeszcze stoi.

Rano przy śniadaniu Piotr powiedział zniecka:

– Ta Helena w niczym do brata niepodobna.

– Ojej... nie musi być podobna. Może on wdał się w ojca, a ona w matkę, albo odwrotnie... Swoją drogą musiała być piękna, kiedy była młoda. Zachowała ładne rysy twarzy. Gdyby nie chodziła taka wiecznie skrzywiona i nie rozkazywała wszystkim, co mają robić, a czego nie, byłaby miłą starszą panią.

– Te wszystkie „gdyby” robią z niej niestety straszną jędzę! Dobrze, że ty nie jesteś taka – stwierdził Piotr i uśmiechnął się ciepło do żony.

– Wciąż sypie – powiedziała Magdalena spojrzawszy w okno – mam nadzieję, że nie zblądzi. Teraz wszystko w lesie jest jednakowe. Wszystko białe. I ciężko brnąć po takim śniegu.

– Bardziej bałbym się wilków. Zimą głodne chodzą. Mogą zaatakować.

– Niepotrzebnie pozwoliliśmy im iść. Mogli poczekać do wiosny.

– Oj, Lenko, Lenko. Zapomniałaś już, jak drażniła cię Helena?

– Nie zapomniałam, ale jestem człowiekiem i...

– Jesteś dobrym człowiekiem, kochanie. Nie pomyliłem się, kiedy cię poznałem. Moja Lenka, panna z dobrego domu, jedynaczka, nie ma nic z rozpieszczonej, bogatej pannicy. Za to ma wielkie i dobre serce. Chciałbym kiedyś spotkać twoich rodziców.

– Po co? Ojca?

– Zwłaszcza ojca. Musisz go zrozumieć. Chciał twojego dobra. Po to cię wychował. Dobrze wychował. I za to chciałbym mu podziękować.

– Chciał mojego dobra odbierając mi to, co dla mnie najważniejsze? Ciebie Piotrze. On inaczej pojmował szczęście niż ja. Dla niego był nim dobrobyt, pieniądze, a dla mnie człowiek, którego kocham.

– Kochasz jakiegoś człowieka? Naprawdę?

– Och, Piotrze, przestań drażnić się ze mną!

– No to powiedz, kogo tak kochasz, że odrzuciłaś dobrobyt i pieniądze? – Piotr podszedł do niej i objął ją ramieniem, zaglądając w oczy.

– Piotrze! – tupnęła po dziecinnemu nogą – przestań pytać! Przecież wiesz.
– Nic nie wiem, bo Lenka nigdy mi tego nie mówi.
– Och ty! – Machnęła ścierką, ale się uchylił. – Nie mówi?
– Nie – śmiał się unikając kolejnych ścierkowych ataków.
– Nie mówi? No to zaraz ci powie! Jesteś obrzydliwy kłamczuch!
– Kłamczuch? – Porwał ją na ręce i uniósł wysoko pod sufit. – Jeśli tego nie odwołasz, posadzę cię na piecu i nigdy nie zejdziesz na ziemię!
– Ja i tak rzadko po niej chodzę!
– O nie – powiedział stawiając ją ostrożnie – zadziwiająco twardo stąpasz po ziemi. Przynajmniej od czasu, kiedy trzeba było stawić czoła równie twardej rzeczywistości. Jesteś nad podziw dzielna. I za to też cię kocham. Myślę, że śpiewająco poradziłabyś sobie beze mnie. I jeśli... jeśli tak trudno powiedzieć ci, że mnie kochasz, to zostań tu sobie sama. A ja spełnię swój patriotyczny obowiązek. Idę na wojnę!
– Głupi jesteś!!! Kocham cię! Nie pójdziesz na żadną wojnę! Chcesz, to będę ci to powtarzać do upojenia i obrzydzenia. Kocham cię, kocham, kocham!... Będę cię budzić w środku nocy i wyznawać miłość przez godzinę albo dwie. Albo do rana. Tylko nie idź na tę okropną wojnę! – Rozpłakała się nieoczekiwanie i Piotr długo musiał tulić ją do serca i zapewniać, że na zawsze z nią zostanie.



Wiosną podjęli nowy trud zasiewania ziemi. Ziarna, które zostało po zimie, było mniej, ale z własnego pola i Piotr był dumny z Magdaleny, że posłuchała go i oszczędnie nim gospodarowała. Tego roku też zacisną pasa, by wystarczyło ziarna do siewu. Musieli wciąż pamiętać o zachowaniu ostrożności. Nie wiedzieli przecież, czy są w lesie sami. Krowa pozbawiona soczystej trawy z polany musiała zadowolić się tym, co znalazła w obrębie gospodarstwa. Pracując w polu obserwowali zachowanie psa i jeśli tylko zastrzygł uszami, rozglądali się trwożnie wokół siebie. Piotr obawiał się właściwie wszystkiego: stonki, mszyc, przymrozków, suszy i gradu. Wszystko to mogłoby pozbawić ich jedzenia, a więc szansy na przeżycie. Ale najbardziej bał się – nie mówiąc o tym Magdalenie – partyzantów, którzy trafiając tutaj zabraliby wszystko, nie martwiąc się o ich dalszy los. Może nawet życie. Zrobiliby to bez skrupułów.

Magdalena bardziej ufnie podchodziła do natury. Zachwycała się wiatrem, słońcem, burzą i deszczem, nie widząc w nich zagrożenia dla zbiorów. Z chusty wiązała nosidełko dla Juliany i znikła na całe dni, zbierając wszystko, co nadaje się do jedzenia. Dzikie maliny, jagody, jeżyny i poziomki, a jesienią orzechy i grzyby. Szukała też ziół na różne dolegliwości, ale również po to, by wzbogacić nimi potrawy. Mając do czynienia tylko z przyrodą, nauczyła się ją wykorzystywać. Juliana przebywając tak dużo na powietrzu, w otoczeniu tyłu drzew, rosła zdrowo i rzadko imaly się jej drobne dolegliwości. Jako jedyna towarzyska tych wypraw, słuchała paplania Magdaleny, odpowiadając słodkim gaworzeniem.

Zbliżały się pierwsze urodziny Juliany. Magdalena długo myślała nad prezentem dla niej. W końcu otworzyła skrzynię i wydobyla z niej strojną suknię, pamiętając uroczyste konstancińskie przyjęcia. Przez chwilę pieczołliwie gładziła miękki materiał, potem sięgnęła po nożyczki. Postanowiła uszyć Julianie pierwszą lalkę. Szmacianą lalkę z guzikowymi oczami, którą dziewczynka tulić będzie zasypiając w swoim łóżeczku. Magdalena kochała ją ponad wszystko. Rozumiała każdy gest i każde spojrzenie swojego dziecka.

Tego jesiennego wieczoru nie mogła jednak zrozumieć żalosnego płaczu, który wydobyl się nagle z kołyski. Dotknęła czółka córeczki i struchlała.

– Piotr! Piotr! Przyjdź tu natychmiast! – Był w dREWUTNI, ale usłyszał rozpaczliwe wołanie żony. – Piotr, ona jest chora! Jest gorąca jak piec!

– Uspokój się. Wszystkie dzieci chorują. Zwłaszcza jesienią. Może przeziębiła się będąc na grzybach? Trochę przemokłyście dzisiaj.

– Ona prawie nie zmokła, zresztą natychmiast przebrałam ją w suche ubranko. Spójrz, jaka jest rozpalona!

– Spokojnie. Podaj jej coś do picia. Może coś z tych twoich specyfików, co?

– Podam jej mleko z miodem i czosnkiem. Może uda mi się ją tym napoić.

Magdalena przygotowała mleko, przecedziła je przez kawałek czystego płótna i trzymając małą na kolanach wlała jej parę łyżeczek do buzi. Juliana pluła i krzyczała coraz bardziej.

– Zdaje się, że nic z tego – zauważył Piotr. – Może jej to nie smakuje.

– Dam jej napar z lipy i malin.

Zajęła się kolejnym napojem, a tymczasem Juliana zmęczona krzykiem zapadła w niespokojną drzemkę. Kiedy obudziła się, była rozpalona jeszcze bardziej. Leciwała przez ręce, gdy matka brała ją na kolana. Chętnie jednak wypila napar i niemal natychmiast ponownie zasnęła. Magdalena nie odstępowała jej na krok.

– Piotr, ona umiera, spójrz, jak się trzęsie!

– Lenko, nie histeryzuj. Na razie śpi.

– Ale jest strasznie gorąca!

– Jak się obudzi, owiniemy ją mokrym, chłodnym prześcieradłem. Tobie to pomogło. Pamiętasz?

Okłady jednak nie pomogły. Zanurzanie w chłodnej wodzie też nie.

– Ona umrze, zobaczysz! Nie rozumiem, jak możesz siedzieć tak spokojnie, kiedy umiera ci dziecko! Piotr, no zrób coś!

– Co mogę zrobić? Musimy zaufać jej organizmowi. Gorączka wskazuje na to, że się broni.

– Broni, broni! Skąd możesz wiedzieć?! Lekarz się znalazł!

– Magdaleno! – podniósł głos – twoje nerwy nie pomogą dziecku, a mnie obrażasz. Zrobiliśmy, co mogliśmy. Podawaj jej tę lipę, ja zmienię zimny okład. Nie jestem lekarzem i nie potrafię powiedzieć, co jej jest. A ona nie poskarży się, bo nie umie.

W środku nocy Juliana nie miała już sił, by płakać. Zimne okłady przynosiły ulgę, ale dziecko nadal było rozpalone. Bezsilna Magdalena płakała w kącie.

– Połóż się, odpocznij. Ja tu przy niej posiedzę – namawiał ją Piotr.

– Jak to połóż się?! Przy umierającym dziecku? – Magdalena zaczęła się ubierać.

– Co ty robisz? Dokąd się wybierasz? – Zerwał się z miejsca i całą siłą przytrzymał ją za ramię.

– Piotr, proszę, nie broń mi. Puść, muszę znaleźć lekarza!

– Lenko, kochanie, opamiętaj się! Gdzie ty znajdziesz lekarza? Będziesz

błądzić po lesie, w końcu dobrniesz może do jakiejś wsi, jeśli nikt nie zabije cię po drodze. Ale wątpię, byś miała tyle szczęścia, żeby trafić na lekarza. Za to na pewno trafisz na jakiegoś Niemca. Czy uważasz, że Julianie potrzebna jest martwa matka? Uspokój się. Odpocznij. Ja przy niej posiedzę, potem mnie zmienisz. Na pewno w ten sposób lepiej zaopiekujemy się naszym dzieckiem.

– I ona nie umrze? – zapytała słabym głosem, patrząc mu w oczy jak w wyrocznie.

– Nie. Nie umrze – powiedział zdecydowanie i natychmiast sam w to uwierzył.

– Dobrze. Zrobię, jak mi radzisz. Tylko pamiętaj...

– Dobrze, Lenko, dobrze. Połóż się. Będę o wszystkim pamiętał.

Rano zbudził Magdalenę i poprosił, by go zmieniła przy Julianie.

– Tylko nie histeryzuj. Jej to nie pomoże, a tylko pogorszy sytuację. Myślisz, że dziecko nie wyczuje, że jesteś zdenerwowana? Samo też się zdenerwuje i będzie jeszcze gorzej.

– Dobrze. Czy gorączka spadła choć trochę?

Piotr zawahał się.

– Nie – odpowiedział krótko.

Juliana nie chciała nic jeść. Magdalena też nie chciała nic jeść i nie pomagały perswazje Piotra. Kiedy trzeciego dnia gorączka utrzymywała się, Magdalenie opadły ręce.

– Piotr, nie ma żadnej poprawy! Ona jest już bardzo słaba! Bez lekarstw nie przeżyje, zobaczysz!

Nawet Piotr zaczął wątpić w wyzdrowienie Juliany. Była tak osłabiona gorączką, że ledwie unosiła powieki, gdy przemawiał do niej łagodnie. Serce kroiło mu się na widok chorego dziecka i zrozpaczonej Magdaleny. Mimo wszystko postanowił być silny i podtrzymywać na duchu Magdalenę, jak długo się da. Do końca.

– Lenko, powiedziałem ci przecież, że Juliana wyzdrowieje. Zobaczysz. Jutro powinno być lepiej.

Ufała mu. Patrzyła mu w oczy, bezgłośnie powtarzając każde jego słowo. Wyzdrowieje, nie umrze. Jutro będzie lepiej. To naprawdę dodawało jej sił.

W nocy Juliana przestała kwilić. Leżała nieruchomo i Magdalena, która czuwała przy niej szyjąc przy lampie lalkę, bała się podejść blisko, żeby stwierdzić, że Piotr nie miał racji. Nie potrafili jej uchronić. Juliana umarła, mimo jego zapewnień, że tak się nie stanie. Serce Magdaleny zaczęło łomotać. Przycisnęła obie ręce do piersi, by je uspokoić. Podchodziła na palcach, ostrożnie, na spotkanie okrutnej prawdy. Zajrzała do kołyski. Juliana straciła rumieńce, które malowały jej rozgorączkowaną twarz. Magdalena wyciągnęła rękę i drżąc na całym ciele dotknęła czoła dziewczynki. Było chłodne. Krzyk, który narodził się w gardle,

stłumiło nagle głębokie westchnienie Juliany. Dziewczynka machnęła rączkami i otworzyła szeroko oczy, po czym uśmiechnęła się rozpoznając matkę.

– Jezu! Juliana! Kochanie! Piotr! Piotr! Obudź się! Obudź się natychmiast! – Nim skończyła zdanie, już stał obok, półprzytomny, z resztą snu na powiekach. – Piotr! Juliana... spadła jej gorączka! Patrz, uśmiecha się, poznaje nas! Miałaś rację! Co ja bym zrobiła bez ciebie.

Przytulił ją mocno i dwie łzy spłynęły mu po twarzy, mieszając się z jej łzami. Tak bardzo byli teraz razem.

Juliana obudziła się cała w kropki. Ale nie miała gorączki i mimo że była jeszcze osłabiona, dokazywała wesoło. Odzyskiwała też apetyt i Magdalena biegnąc z kolejnymi miseczkami zupek i papek podśpiewywała wesoło. Wysypka zniknęła po kolejnych trzech dniach. A życie w leśnej chacie wróciło do równowagi.

Adam przeczytał ostatnie zdanie i uświadomił sobie, że przez cały czas choroby Juliany kurczowo zaciskał palce. Bał się. Bał się o Julianę i jego strach porównywalny był z lękiem Magdaleny. A przecież wystarczyło przełożyć parę kartek, żeby dowiedzieć się, co stało się z dzieckiem. Dziennik Magdaleny miał jednak dziwną moc. Moc utożsamiania się z bohaterami tamtych czasów, przebywania z nimi, wyjątkowo silnej empatii. Adam nie potrafił i nie chciał się od tego uwolnić. Ale teraz poczuł się zmęczony. Zmęczony i obciążony nadmiarem przeżyć Piotra i Magdaleny. Postanowił za radą matki wybrać się na spacer. Oderwać się od tamtego życia. Poczuć własne. Świeże. W ostatniej chwili złapał dziennik Magdaleny. Uśmiechnął się do siebie. Chyba nie umiał już bez niej żyć.

– Wychodzę – rzucił w kierunku pokoju rodziców otwierając drzwi.

– No, nareszcie pustelniku – ucieszyła się matka. – Jedź do Parku Szczytnickiego. Coś tam się dzisiaj dzieje. Jakiś festyn czy coś takiego. Czytałam w gazecie.

– Dobrze. Zobaczę.

– Weź klucz. Może nas nie być wieczorem.

– Wezmę... Mamo... – odwrócił się jeszcze, wciąż trzymając klamkę.

– No? Co tam? – zapytała automatycznie, nie odrywając oczu od interesującego ją artykułu.

– Czy ty się o mnie bałaś?

Podniosła głowę, i popatrzyła na niego zaniepokojonym wzrokiem, wzrokiem matki, jak określił to w duchu.

– Nie, nic... – dokończył i zamknął cicho drzwi.

Bała się. Zobaczył to teraz. Nie zdążył zbiec ze schodów, gdy zadzwoniła jego komórka. Odebrał.

– Adam, wszystko w porządku? – zapytała matka niepewnym głosem.

– Tak. A dlaczego pytasz?

– To twoje pytanie... Czy się bałam?...
– Właściwie chciałem zapytać, czy bałaś się, gdy chorowałem, jak byłem mały.

– Jasne, zawsze się bałam – powiedziała po chwili milczenia. Adam, jesteś chory?

– Nie, skąd... A kiedy najbardziej się bałaś?

– Gdy miałeś gorączkę. Trzydniówkę. To taka choroba, trzy dni gorączka, a potem wysypka. Prawie wszystkie dzieci to łapią. Adam, na pewno jesteś zdrowy?

– Na pewno, mam, na pewno. Trzymaj się. Pa!

Przez chwilę patrzył na wyłączoną komórkę. Potem ruszył do parku. Południowego.

Lubił to miejsce. Stare drzewa dawały ukojenie szumem i cieniem. Adam wybrał jedną z ławek i odetchnął zielonym powietrzem. Dziennik Magdaleny położył na kolanach i rozejrzał się ciekawie. Po stawie sunęły majestatycznie dwa łabędzie, na brzegu rozsiadły się dzikie kaczki. Jakiś staruszek rzucał im chleb, pedantycznie pokrojony w równą kostkę. Kaczki nie przejawiały zainteresowania, za to zebrała się spora gromadka gołębi. Gdzieś z daleka dobiegał gwar rozbawionych dzieci. Mała dziewczynka w różowej sukience przejechała obok niego na hulajnodze.

– Uważaj, kochanie, uważaj! – wołała za nią kobieta, stukając szpilkami po betonowej kostce.

– Uważaj, kochanie, uważaj! – wołała Magdalena biegnąc za umykającą przed Popiołem Julianą.

Piotr śmiał się obserwując, jak nieporadnie stawia nóżki, wyciągając przed siebie pulchne łapki. Nagle bęc i na buzi dziecka pojawiła się podkówka.

– A mówiłam! Przestań się śmiać! Lepiej ją podnieś! – upomniała męża Magdalena.

– Sama wstanie – powiedział spokojnie. – A ty przestań tak się nad nią trząść. Przecież to tylko trawa. Nic jej nie będzie.

Sierpniowe słońce przedzierało się przez drżące brzoźowe liście. Wiatr wzmagął się, przesuwając po niebie białe obłoczki. Juliana miała prawie trzy latka i trzecia suknia Magdaleny wydobyta ze skrzyni czekała na swą nową postać, by jako lalka sprawić dziewczynce dużo radości. Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi, a mieszkańcy leśnej chaty ledwo uświadamiali sobie, że wciąż trwa wojna. Tutaj wszystko było poza czasem i poza światem. Juliana wzrastała nie znając poza rodzicami innych ludzi i innych domów poza rodzinnym.

Magdalena postanowiła uczyć ją wszystkiego, czego tylko w tym odosobnionym miejscu zdoła nauczyć. Mała Juliana towarzyszyła jej podczas wszystkich czynności, które wykonywała każdego dnia. Magdalena pozwalała jej

na zdobywanie nowych doświadczeń angażując do pomocy.

– No chodź, nie bój się, Juliano. Pociągnij krówkę, zobaczysz, skąd płynie mleczko. Juliano, podnieś to jajeczko, ugotuję ci je na kolację. Juliano, przynieś mi kubek wody z cebrzyka. Uważaj, żebyś nie wylała...

Juliana trzymała, podawała, przynosiła i odnosiła, w miarę biegnących miesięcy coraz lepiej rozumiejąc polecenia matki. Im była starsza, tym więcej miała drobnych obowiązków. Dzięki temu potrafiła obsłużyć siebie i w wielu prostych czynnościach wyręczyć matkę. Piotr nie traktował córki aż tak poważnie, pozwalając jej na zabawy i psoty. Dlatego kręcił z dezaprobatą głową, kiedy Magdalena postanowiła uczyć dziewczynkę czytania i pisania.

– Piotrze, nie masz racji. Ona niedługo skończy pięć lat. Tu nie ma szkoły. A jeśli coś się nam stanie, Juliana będzie analfabetką!

– Jak zwykle przesadzasz. Przecież nie będziemy mieszkać tu wiecznie. Pójdzie do szkoły, jak inne dzieci. Uważam, że na wszystko przyjdzie czas.

Magdalena myślała inaczej. Kiedy trwa wojna, jedynie pewnym czasem jest ten, który jest tu i teraz.



Kolejne Boże Narodzenie w leśnej chacie zapowiadało się mroźnie. Na szczęście zapobiegliwy Piotr przygotował całą drewnutnię opału. Teraz ogień buzował wesoło w piecu, a Magdalena czym mogła obtykała nieszczelne okna. Juliana bawiła się z psem, rzucając mu drewniany klocek. Piotr wyplatał kosz na zabawki Juliany, które walały się po izbie. Nagle rozległo się pukanie. Głośne i natarczywe.

– Na górę, szybko! – szepnął Piotr, sam ruszając do drzwi. Począł, aż Magdalena zniknie z Julianą i zamknie za sobą klapę. Potem wziął siekiereę spod pieca i tak uzbrojony otworzył.

– Boże miłosierny, już myślałem, że nie dojdziemy! – zawołał ksiądz Henryk przepuszczając przez drzwi Helenę. Mróz dzisiaj okropny... A gdzie twoje kobiety? Znów w stodole?

– Tak... Już schodzą. Witajcie.

– A witaj, witaj. Znów my do was na święta, ale teraz już wracać nie ma po co.

Piotr zawołał Magdalenę, gdy tymczasem ksiądz i Helena pozbywali się kilku warstw ciepłych ubrań, którymi opatulili się na drogę.

– Jaka ona blada! – zawołała Helena na widok Juliany. – Daj gorącego mleka – zwróciła się do Magdaleny, której twarz wyrażała najwyższy stopień odrazy. Jedyne z księdzem przywitała się ciepło.

– Może wam nie w smak nasze przybycie, ale nie mieliśmy wyjścia. Opowiem wam wszystko, co się we wsi działo, jak już dziecko pójdzie spać, bo to nie dla jej uszu.

– Rozumiem – powiedział Piotr i pokiwał głową. Dobrze, że przyszliście. Tak się umawialiśmy.

Magdalena zakrzętała się wokół strawy, a oni stanęli przy piecu, żeby się rozgrzać.

Kiedy Magdalena ułożyła do snu Julianę, ksiądz nachylił się nad stołem. Mówił półgłosem, beznamiętnie, bezsilnie.

– Baliśmy się zostać. Baliśmy się Ukraińców, jeszcze niedawno sąsiadów. Diabeł w nich wstąpił. Ja wiem, że wojna, że rozkaz. Ale oni zorganizowali się. Złączyli się w nienawiści do Polaków. Wczoraj jedliśmy razem, pili, a dzisiaj... Boże mój... To banda. Ukraińska Powstańcza Armia. Chcą nas zniszczyć, mieć te

tereny dla siebie. Podobno wcześniej na Wołyniu rzeź robili. Słyszałem, że z sześćdziesiąt tysięcy naszych tam wyrznęli. A teraz tu przyszli i razem z naszymi sąsiadami Ukraińcami domy palą, a ludzi mordują czym się da. Kosami, widłami, toporami, nożami... Nie przebierają. Podobno znakiem tego, że będą zabijać, jest krzyż, który ustawiają na obrzeżach wsi. Pod nim leży lista tych, co mają zginąć. A najgorsze jest to, że Boga w to mieszają! Księża greckokatolicy narzędzia zbrodni wodą święconą kropią, żeby to ludobójstwo było bezgrzeszne, poświęcone. A jak który nie chce kosi czy wideł poświęcić, to też pod topór idzie. W kazaniach na mszy zbrodniarzy podjudzają, że nie chcą w pszenicy kąkolu, znaczy się, chwast trzeba wyrwać, zniszczyć. Chwast, czyli nas, Polaków. W cerkwiach ukrywają broń tych bandytów. Nie widziałem, ale słyszałem o rozmaitych okrucieństwach i torturach. Dzieci matkom z brzuchów wyciągają, żywcem palą, rozżarzoną drutem wypalają oczy, wyrrywają języki... Trzeba być diabłem, by robić takie rzeczy. Diabłem, nie człowiekiem.

Ksiądz zamilkł. I nikt siedzący przy stole nie śmiał zakłócić tej śmiertelnej ciszy.

Następnego dnia Piotr wyszedł wczesnym rankiem. Ksiądz po śniadaniu jak dawniej udał się do leśnej oazy spokoju. Była pora lekcji z Julianą i Magdaleną starając się nie zważać na snującą się za nią Helenę, poświęciła całą uwagę dziecku.

Zapadał zmierzch, gdy buty Piotra zatupały na progu.

– A gdzie jest mój brat?! – zagrzmiała oskarżycielsko Helena.

– Księdza ze mną nie było, tylko pies – odpowiedział Piotr i rozejrzał się po pomieszczeniu. – Nie wrócił jeszcze?

– Nie pytałabym przecież – burknęła pod nosem i przycisnęła twarz do szyby w oknie – ściemnia się, a jego nie ma!

– Może przed Wigilią dłużej się modli – rzucił Piotr i zatarł ręce na widok parującej misy, którą postawiła przed nim Magdalena.

– Głupiś! – zawołała Helena. – Może wilki go napadły albo niedźwiedź! Tego tu nie brakuje. Idź, szukaj go! No idź!

Piotr wstał od stołu, naciągnął czapkę na uszy i wyszedł bez słowa. Magdalena spojrzała z nienawiścią na Helenę.

– Nawet nic nie zjadł.

– Nie zjadł, nie zjadł... nic mu nie będzie – zareagowała na to Helena i usiadła na miejscu Piotra. – Sama zjem, żeby się nie zmarnowało.

Zaglądający przez okno księżyc otoczony mglistą aureolą wyglądał tak, jakby miał futrzaną czapkę. Magdalena przerabiała jedną ze swoich sukienek na ubranko dla Juliany. Helena grzejąc się pod piecem ziewała szeroko.

– Teraz ty czuwaj. Jakby coś się działo, obudź mnie – powiedziała do Magdaleny, po czym zakopła się w pierzynie i natychmiast zasnęła.

Magdalena podeszła do okna, ale prócz gęsto padającego śniegu nie dostrzegła żadnego ruchu. Niepokoiła się o księdza, to prawda, ale o Piotra bała się panicznie. Wróciła na miejsce i przysunęła bliżej lampę. Helena spała z szeroko otwartymi ustami, pochrapując donośnie. Magdalena miała ochotę zwinąć róg pierzyny, wepchnąć jej głęboko w gardło i trzymać, trzymać tak długo, aż wznoszące się i opadające regularnie piersi znieruchomieją. Widocznie jednak nie był to najwyższy stopień determinacji. Nie potrafi zabić człowieka. Jeszcze nie. Trochę szyjąc, trochę drzemiąc dotrwała do świtu. Z szopy rozległo się żalosne muczenie. Zaczynał się nowy, pracowity dzień. Magdalena czuła zmęczenie. Nie tylko fizyczne, wynikające z pracy w gospodarstwie i opieki nad Julianą. Doszły jej przecież dwie osoby do obsługi i wykarmienia, a Helena prócz nachalnego pouczenia w niczym jej nie pomagała.

Zbliżało się południe, a Piotra jeszcze nie było. Ksiądz też nie wrócił i Helena miała nowy powód do zrzędzenia. Magdalena puszczała te uwagi mimo uszu, zajęta zamartwianiem się o męża. Już raz straciła go przecież i cudem odzyskała. Nie umiała nacieszyć się jego obecnością, wciąż miała go za mało. Teraz zniknął znowu, i to przez znieawidzoną, egoistyczną kobietę. Z pewnością i tak poszedłby szukać księdza, ale wynikałoby to z jego woli i Magdalena odbierałaby ten fakt inaczej. Jeśli coś złego przytrafi się Piotrowi, winą za to obarczy Helenę i nigdy jej nie wybaczy!

Przebierając Julianę w nową sukienkę Magdalena uświadomiła sobie, że dziś właśnie wypada Wigilia. Wigilia, która po raz pierwszy nie ma dla niej znaczenia. Bez choinki i Piotra, ale za to z...

– Są! – wysapała z satysfakcją Helena podrywając się na równe nogi.

Ma taki wyraz twarzy, że za chwilę będą żalowali swojego powrotu – pomyślała Magdalena, ale serce zabiło jej mocniej na myśl o całym i zdrowym mężu. Drzwi otworzyły się na oścież. Oczom kobiet ukazał się najpierw ksiądz. Stał bez czapki, ze zmierzwionymi włosami i mimo sugestywnego ponaglenia z tyłu, nie chciał przestąpić progu.

– No, wchodźże, na miłość boską, zimno do chałupy leci – krzyknęła Helena, następnie pociągnęła brata za rękaw.

Ksiądz zrobił dwa kroki, zatrzymał się w miejscu, ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się jak dziecko. Helena struchlała. Patrzyła na brata przerażonym wzrokiem, następnie przeniosła go na Piotra.

– Był we wsi – odpowiedział krótko na jej nieme pytanie.

– W... we wsi? – wyjąkała.

– Tam go znalazłem.

– I po coś tam poszedł, co? Po co? O śmierć się prosisz?! Mów! – krzyczała na brata, szarpiąc go za poły czarnego palta.

– Proszę dać mu spokój... On... On jest w szoku. Oszalał.

– No to mówię właśnie, że oszalał. Nikt normalny nie...

– Pani nie rozumie – przerwał jej Piotr – on stracił zmysły. Po tym, co zobaczył.

Helena zamilkła, zwolniła uścisk i opadła na krzesło nie spuszczać wzroku z Piotra.

– Co? Co ty mówisz? – wyszeptała, potem zerwała się i znowu zaczęła szarpać brata. – Odezwij się! Natychmiast się odezwij! Poznajesz mnie? To ja, Helena! Helena, twoja siostra, powiedz coś! Powiedz! – rozpląkała się histerycznie. – To ja, Helena! Spójrz na mnie! Twoja siostra... – łkała wtulona w jego paltó, zachłystując się zduszonymi słowami.

– Niech pani przestanie. To nic nie da. Mówiłem przecież, że jest w szoku.

– W szoku? – oprzytomniała. – Czy mu to przejdzie?

– Może. Jeśli będzie miał spokój. I jeśli... jeśli zapomni – odpowiedział Piotr i zwrócił się do żony: – Lenko, proszę, daj mi coś do jedzenia.

Magdalena, która stała jak zahipnotyzowana, otrząsnęła się.

– Tak, tak Piotrze, siadaj. Zaraz coś przygotuję. A... on? Będzie jadł?

– Nie wiem. Z nim nie ma kontaktu. Ledwo go tu przyprowadziłem. Postaram się go rozebrać z tego paltó.

Piotr przemawiając łagodnie zdjął okrycie i posadził na krześle opierającego się mężczyznę. Helena chlipała, głośno wycierając nos w rąbek fartucha. Magdalena przyniosła mleko i gorące ziemniaki z pieca. Postawiła na stole tak, by i ksiądz mógł je sięgnąć, ale on patrzył przed siebie oczami, z których ziała pustka.

– Co... Co wydarzyło się we wsi? – zapytała Piotra, a Helena zastrzygła uszami.

– Nie przy nim. Później ci powiem.

Magdalena wyszła przygotować mieszankę ziół na uspokojenie. Przez uchylone drzwi słyszała jednak Helenę, która domagała się relacji Piotra.

– Wyjdźmy do sieni – powiedział.

– No mów! – zażądała.

– Poszedł sam przez las... do rodziny, którą się opiekował. Dwójka dzieci, matka ciężarna, na pewno pani wie...

– A wiem, wiem... Do Kumaków chodził. Co miał, to do nich nosił.

– Właśnie. Ledwo go tam znalazłem. Ludzi pytałem, choć bałem się na Ukraińców trafić. Wziął w kieszeń kawał sera. Widocznie był o nich niespokojny, skoro taki świat drogi szedł. Dom wprawdzie stał nienaruszony, ale kiedy wszedł do środka... Wiem, co przeżył, poszedłem tam za nim, widziałem... Nikt już nie żył. Matce brzuch rozcięli nożem i nienarodzone jeszcze dziecko na wierzch wyciągnęli. Chłopczyka, może ze dwa latka miał, za nogi na pół rozdarli, a starszą dziewczynkę za język... Boże, nie mogę nawet mówić o tym... za język ją do stołu gwoździem przybili. Boże miłosierny, okrucieństwo Ukraińców jest niemożliwe do

opisania. I żadne opowieści nie pokażą tego, co tam zobaczyłem. Księżdz zastałem na kolanach, czołem tłukł o ziemię. Jak go wziąłem za ramię, potrząsałem mocno, dopiero podniósł głowę. „Karmiłem ich – powiedział tylko – chleb nosiłem...” I zaniósł się płaczem. Właściwie wył, nie płakał. Ledwo go zabrałem... potem przez całą drogę się nie odzywał. Nie chciał iść, wrywał się. W pewnym momencie stanął, popatrzył na mnie tak strasznie, że aż mi ciarki przeszły, i powiedział: „Za mój grzech to ich spotkało”. Po tym zamilkł zupełnie i szedł już bezwolnie tam, gdzie prowadziłem... Nie mogę więcej mówić, Magdalena idzie, chodźmy do izby.

Magdalena usłyszała. Ręka, w której trzymała kubek, drżała jak w febrze. Próbowwała podać księdzu zioła. Ten jednak odtrącił kubek, którego zawartość wylała się na podłogę. Helena była dosłownie zielona na twarzy. Magdalena podała jej wodę, wybiegła z domu i zwymiotowała pod drzewem. Starła się opanować wyraz twarzy, aby Piotr nie zorientował się, że wie, o czym mówił do Heleny.

Wieczorem próbowali ułożyć księdza na spoczynek. Krzyczał tak głośno, że dali mu spokój. Pozostał na krześle patrząc przed siebie tym swoim niewidzącym wzrokiem.

Kładąc się obok Piotra Magdalena zauważyła w jego oczach taką samą pustkę, jak u tamtego, twarz bez wyrazu, jakby znieczuloną obrazem, który silniejszy był od wszystkiego, co człowiek może ogarnąć wyobraźnią.

– Dziś Wigilia, wiesz? – zagadnęła, chcąc oderwać go choć na chwilę od przeżyć dzisiejszego dnia, ale on jakby nie słyszał.

Po długim milczeniu odezwał się nie swoim, chrapliwym głosem:

– Lenka, ja to widziałem. Widziałem to samo, co on. Tego nie mogli zrobić ludzie. To bestie. Demony.

– Co widziałeś?

– Śmierć – powiedział i zamilkł, a po jakimś czasie kontynuował: – Lenka, nie chcę o tym mówić. Nie tobie. Nie matce mojego dziecka, które między twoimi myślami odnajdzie prerażenie. Nie chcę o tym mówić. Może kiedyś, kiedy to się skończy. Może kiedyś, kiedy minie dużo czasu, a Juliana przybiegnie radosna ze szkoły i opowie o wspólnych zabawach z innymi dziećmi, może wtedy, gdy ludzie będą ludźmi, kiedy podadzą sobie ręce. Dziś nie.

Rano księdza nie było. Magdalena znalazła go za sadem. Siedział na pniu zwałonego drzewa. Był spokojny, choć w ciągu tej jednej nocy przybyło mu lat. Na widok Magdaleny skulił się i zasłonił twarz rękami.

– Zostaw! – powiedział zaleknionym głosem. – Nie bij! – Potem wstał i sękatym czarnym kijem zaczął rozgarniać chaotycznie śnieg. Magdalena zatrzymała się, nie wiedząc, co robić. – On jest tutaj. Jest. Mój brat. Ale nic ci nie powie, nic!

Wodził nieprzytomnym wzrokiem po Magdalenie i drzewach okrytych bielą.

Cofnęła się.

– Chodź, chodź do domu – powiedziała z wielką ostrożnością.

Rozejrzał się trwożnie.

– Widziałaś go? Był tu? Nie, on nie przyjdzie. Nigdy nie przyjdzie. Nie powie ci. Nikomu nie powie. I ja ci nie powiem – zaśmiał się cicho, szelmowsko, aż przeszył ją dreszcz.

Usłyszała głos za plecami. To Helena brnęła po śniegu posapując i pomrukując z wysiłku.

– Uciekaj! – krzyknął ksiądz na jej widok. – Zabiją cię. Oni cię zabiją!

– Boże miłosierny. Boże... – zachlipała patrząc z przerażeniem na brata.

– Powiedziałaś im! – Rzucił kij i zamachał rękami. – Powiedziałaś! Ty szmato!

– Boże, co ja mam robić? – odezwała się Helena załamany głosem i bezradnie spojrzała na Magdalenę. – On oszalał...

– Nie wiem – odpowiedziała Magdalena rozkładając ręce – nigdy nie widziałam obłąkanego człowieka.

– Henryś – zwróciła się Helena do brata – nie stój tutaj. Zimno.

– Nie ma Henrysia – zaśmiał się gorzko – ty szmato, nie ma Henrysia! Powiedz im!

Helena zbladła.

– Mówi od rzeczy. Boję się własnego brata! – stwierdziła, a jej broda zatrzęsała się w hamowanym płaczu.

Nadszedł Piotr. Przez chwilę przyglądał się całej scenie.

– Znalazłeś go? – zapytał ksiądz przekrzywiając po dziecinnemu głowę. – Henrysia, znalazłeś?

– Nie – odparł Piotr.

– Nie szukaj. Sam przyjdzie.

– Dobrze, nie będę szukał. Chodź do domu.

– O czym wy mówicie? – zapytała półgłosem Magdalena.

– Skąd mam wiedzieć? Coś sobie uroił w szalonej głowie. Zabierzmy go stąd.

– Nie przyszedł? – dopytywał ksiądz.

– Nie. I nie przyjdzie. Chodź – ponaglał go Piotr.

Pozwolił zaprowadzić się do domu, rozebrać z palta, a nawet przyjął z rąk Piotra kubek mleka. Po chwili zasnął na krześle i wszyscy wyszli z izby, żeby się naradzić.

– Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy – zaczął Piotr – ksiądz postradał zmysły i może być dla nas niebezpieczny.

– Ale co teraz robić? – odezwała się Helena i głośno wytarła nos. Nic w niej nie pozostało z niedawnej pewności siebie i chęci rządzenia całym światem.

W obliczu nieszczęścia stała się bezradna, bezwolna.

– Nie wiem – odpowiedział Piotr. – Myślę, że wczorajszy szok wywołał tę chorobę. I obawiam się, że nieodwracalnie.

– Zawsze już będzie taki?

– Sądzę, że tak. To jednak, o czym mówi, jest dla mnie niezrozumiałe i nie ma związku z wczorajszym zdarzeniem. On nie widział zbrodniarzy. Widział tylko ofiary. Nic z tego nie rozumiem.

– Przecież jest chory tu – Helena popukała się znacząco w głowę – sam pewnie nie wie, o czym mówi.

– Możliwe. Ale możliwe jest również to, że nosi coś głęboko ukryte w sercu. I o tym mówi.

– On Boga nosi w sercu, nie jakieś brednie, ot co! – zachnęła się Helena.

– No dobrze, ale nie o tym mieliśmy mówić – wtrąciła się Magdalena. – Co teraz z nim zrobimy? Jest Juliana, boję się o nią, on może być nieobliczalny. Nie można mu zaufać.

– Nie można – zgodził się z nią Piotr. – Dlatego mamy kłopot. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to pilnowanie go. Bez przerwy. Pani, jako siostra, a więc najbliższa osoba, nie powinna opuszczać go ani na chwilę.

– Ale on mnie nie słucha! – podniosła głos Helena.

– Trudno. Musi pani nauczyć się z nim rozmawiać.

– Ty szmato! – usłyszeli nagle za plecami. – To przez ciebie! – palec księdza oskarżycielsko wskazywał Helenę.

– Boże, ja tego nie zniosę! – jęknęła.

– Boże, Boże – przedrzeźniał ksiądz. – Jego nie ma. Nie ma Boga.

– Jak ksiądz może tak mówić! – oburzyła się Magdalena.

– Jego nie ma. I księdza nie ma! Nie ma Henrysia! – zaczął się śmiać i klepać po kolanach, aż łzy pociekły mu z oczu. – Ciebie też zabiję – spoważniał nagle – i schowam – patrzył przy tym z nienawiścią na Helenę.

Magdalena myślała, że nie ma nic gorszego od wiecznie zrządzającej Heleny. Ale płacząca Helena i szalony ksiądz stanowili duet znacznie gorszy. Wszyscy żyli w napięciu. Nie spuszczaali księdza z oka, a nocami pełnili dyżury. Ksiądz jednak prócz obrzucania Heleny epitetami nie był agresywny. Miewał natomiast stany lękowe, bał się kogoś lub czegoś bliżej niesprecyzowanego. Tracił też poczucie tożsamości i Magdalena z Piotrem odnosili wrażenie, że myli siebie z własnym, nieżyjącym bratem. Kiedy ataki słabły, siedział milczący i przygnębiony.

Był wieczór. Na stole tliła się lampa, przy której Magdalena naprawiała odzież, a Piotr majstrował zabawkę dla Juliany. Helena myszkowała w komorze. Ksiądz był wyjątkowo cichy i noc zapowiadała się spokojnie.

– Ja nie jestem Henryś – odezwał się znienacka. Wyznanie to zabrzmiało bardzo naturalnie i gdyby nie świadomość jego choroby, można by było

potraktować je poważnie. – Powiem wam, co ta suka zrobiła...

– W drzwiach izby stanęła nagle Helena. Była blada jak papier.

– Zamilcz! Zamilcz wreszcie! – krzyknęła.

– Boisz się, co? Boisz się piekła, szmato!

– Nie zniosę tego dłużej! Nie zniosę! – załkała histerycznie i rzuciła się z pięściami na brata.

– Ty uparta suko! I tak tu wróciłaś! Nie chciałaś tu być, a wróciłaś! – zanosił się chrapliwym śmiechem, co potęgowało grozę.

Piotr musiał siłą oderwać Helenę od księdza, Magdalena zaś wybiegła do komory, by sprawdzić, czy głośne krzyki nie obudziły Juliany.

Ta noc nie była spokojna. Ksiądz wymknął się niespodziewanie, kiedy Helena przysnęła na krześle. Świtało, gdy się ocknęła. Ale księdza już nie było.

Znaleźli go w sadzie. Na sznurze, który służył latem Magdalenie do wyprowadzania krowy na polanę. Powiesił się na ulubionej jabłoni Piotra.

Helena zacisnęła usta. Ani jedna łza nie wypłynęła z jej oczu. Kiedy go zakopali w płytkim, zmrożonym grobie, pierwsza od niego odeszła. Nawet się nie przeżegnała.

Zastali ją w izbie, gdy szykowała węzełek ze swoim mizernym dobytkiem.

– Nie zasłużyłam na to, żeby z wami zostać – powiedziała zachrypłym od długiego milczenia głosem – to moja wina. To wszystko, co z nim się stało, moja wina.

Nie przerywali. Przez dłuższą chwilę trwała cisza. Słysząc było tylko krakanie gawronów gdzieś nad lasem.

– To przeze mnie. Powiem wam, bo nie umiałabym dłużej z tym żyć. Teraz już nie. To on dawał mi siłę, ale już go nie ma... – Usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach. – Nie jestem jego siostrą. Nie miał siostry, Miał tylko brata, Henryka. Był księdzem. Dobrym człowiekiem. Władysław też był dobry, ludziom pomagał. Aż stało się... Ja jestem jego żoną. Bardzo mnie kochał. Wiem o tym. Wiem, bo umiał wybaczać. Zdradziłam go... – Helena podniosła głowę i zapatrzyła się w okno. Trwała tak dłuższą chwilę. Na podwórku rozgdakała się kura. – Tamtego zabił – przeniosła wzrok na Piotra – dla mnie to zrobił, żeby tamten mnie nie hańbił... Przyjechaliśmy do Henryka. To on zwołał ludzi, pomógł Władkowi ten dom postawić. Ale ja nie byłam taka, jak ty – spojrzała na Magdalenę – nie chciałam w pole iść, krowy doić. Siedziałam całymi dniami i krzyczałam, że zwariuję, jeśli mnie stąd nie zabierze. Ale on nie mógł wrócić. Zabił człowieka i czekał go sąd, więzienie. Musiał się ukrywać. Wtedy... Boże, przebac... Diabeł mnie opętał. Powiedziałam Władkowi: – Twój brat kropka w kropkę do ciebie podobny. Nikt nie pozna. Niech on tu zostanie, a ty za niego księdzem możesz być. Nie chciał o tym słyszeć. Ale... kochał mnie. Bardzo. Za bardzo... Kiedy Henryk w odwiedzinę do nas przyszedł, zaczęłam go do tego namawiać. Ale on nie chciał.

Ogarnęło mnie takie coś... Szał jakiś. Zaczęłam krzyczeć i rzuciłam się na niego z pięściami. Bronił się, w końcu złapał polano spod pieca i zamachnął się na mnie. Wtedy Władek krzyknął: „Co ty robisz?! Opamiętaj się!” Chciał wyrwać bratu polano i popchnął go, a Henryk upadając uderzył się mocno w głowę. I nie wstał już. Władzio go zabił. Boże... Nie chciał tego, ale stało się. Musiał wtedy iść na jego miejsce, żeby Henryka nie szukali. Nikt nie poznał. A on starał się być dobrym księdzem. Chociaż w sercu zbrodnię nosił. Moją zbrodnię.

Zarzuciła węzełek na plecy.

– Zapomnijcie o mnie. Jakby mnie nigdy nie było. To – obrzuciła wzrokiem izbę – jest teraz wasze. Zapomnijcie. A o wybaczenie nie mam już kogo prosić.

Wyszła, zostawiając otwarte drzwi. Patrzyli, jak znika w lesie.



Marcowe słońce 1945 roku odbijało twarz w młodych listkach brzozy.

– Lenka! Lenka! – usłyszała Magdalena wołanie Piotra.

Wytarła o sukienkę ubielone ręce, narzuciła chustę i wybiegła do sadu, skąd dobiegał jego głos.

– Nie krzycz tak – powiedziała do niego – Juliana się uczy. Co się stało?

– Popatrz!

– Na co mam patrzeć? Co ty mi tu pokazujesz? Kawałek ziemi porośnięty trawą?

– Nic cię nie zastanawia w tym kawałku ziemi? – Uśmiechał się, jakby zadał trudną do rozwiązania zagadkę.

– Nic. Wyglupiasz się, a ja nie mam czasu. Kluski właśnie robię.

– Kluski, kluski... – wzruszył ramionami – są ważniejsze sprawy niż kluski.

– Tak? To nie będzie klusek polanych gorącym masełkiem – zawołała i czym prędzej umknęła przed jego dużymi, spracowanymi łapskami.

– Co? Nie będzie klusek?! – Gonił ją po całym sadzie, lawirując między drzewami. – Czekaaj, niech ja cię złapię!

Złapał i zamknął ją w ramionach, szepcząc namiętnie: – I co teraz? Będą? Z gorącym... – Nagle uścisk zelżał, Piotr wyprostował się i odsunął od Magdaleny.

– Stań za mną – syknął.

Rozbawiona, z resztką uśmiechu na ustach, zdążyła kątem oka dostrzec stojącego jakieś dwa metry dalej niemłodego już mężczyznę, po czym szarpnięta przez Piotra znalazła się za jego plecami. Serce biło jej mocno. Może jest ich więcej? Kto wie, czy nie plądrują teraz izby, w której jest Juliana? Boże! Juliana! Coś zakotłowało się w jej głowie, oblała ją fala gorąca.

– Wynoś się! Wynoś się stąd! – wrzasnęła i zaczęła machać rękami, jakby odganiała stado dzikich zwierząt.

Mężczyzna stał jak zahipnotyzowany, wpatrując się w krzyczącą Magdaleny. Nagle prawą ręką sięgnął do kieszeni, lewą zaś wyciągnął w stronę Magdaleny.

– Będę strzelał! – oznajmił.

Piotr błyskawicznie wykonał skok. Rzucił się na mężczyznę, przygniatając go do ziemi. Ręce wykręcił mu do tyłu.

– Zabierz mu broń! – krzyknął do Magdaleny. – Szybko! W kieszeni!

Magdalena trzęsącymi rękami obszukała obie kieszenie spodni i sięgnęła do

kurtki.

– Tu nic nie ma. On nie ma żadnej broni.

– Ktoś ty? Ukrainiec? – zapytał Piotr i nieco rozluźnił uścisk, ale nie pozwolił mu wstać.

– Tak.

– Mówisz po polsku?

– Trochę.

– Sam jesteś?

– Sam.

– Co tu robisz?

– My szli do wsi. Tam – wskazał brodą kierunek – ja oderwałem się od swoich.

Poszli dalej. Ja zgubiłem się. Daj pić...

Piotr spojrzał na Magdalенę. Skinęła głową i pobiegła do domu po wodę.

– Od jakich swoich? – nie dawał za wygraną Piotr.

– Moja familia. Żona, córka, sąsiady... My szli za chlebem. U nas nic nie ma. Nie ma chleba. Nic nie ma... Puść. Ja was nie skrzywdzę. Za chlebem...

– Nie masz broni?

– Nie mam. Ja nie żołnierz ani partyzant. Kaleka...

– Kaleka? – zdziwił się Piotr, oglądając go od stóp do głów.

– U mnie palców nie ma. Puść. Pokażę.

Piotr zwolnił uścisk. Mężczyzna podniósł prawą dłoń. Dopiero teraz zobaczyli, że zupełnie pozbawiona jest palców.

– Siekiera obcięła. W lesie – wyjaśnił.

– Wstawaj! – powiedział Piotr podnosząc się i otrzepując kolana z wilgotnej ziemi. Magdalena podała mężczyźnie wodę. Wypił ją łapczywie, a potem otarł usta wierzchem dłoni.

– Puśćcie...

Piotr przyjrzał mu się nieufnie.

– Puść go – odezwała się Magdalena – niech sobie idzie.

– To nie takie proste – zauważył Piotr, nachylił się nad nią i dokończył szeptem: – A jak opowie o nas innym?

– Jeśli go nie puścisz, zaczną go szukać. I tak trafią do nas. Niech idzie. Co tu z nim zrobimy? Nawet nie mamy gdzie go zamknąć. A jak nas w nocy zabije?

Mężczyzna stał obok i czekał, aż się naradzą. Na Magdalенę patrzył z nadzieją, na Piotra z obawą.

– Idź – powiedział w końcu – idź i milcz. Rozumiesz? Jak ktoś tu przyjdzie, zabiję ciebie i twoją rodzinę. Rozumiesz?!

– Tak. Nie powiem. Nic nie powiem. – Wycofywał się tyłem, nie spuszczać oczu z Piotra. Za ogrodzeniem ruszył różnym krokiem, nie oglądając się za siebie. Patrzyli długo, póki nie zniknął za drzewami.

– To jak? – zapytał Piotr – będą te kluski z gorącym maselkiem?
– Będą – roześmiała się, ale natychmiast spoważniała. – Myślisz, że on nie wróci?

– On może nie. Ale nie ufam mu. Boję się, że kogoś nam tu sprowadzi. Dlaczego Popiół nie czekał?

– Nie wiem. Nie było go, jak czerpałam wodę. Pewnie znowu pobiegł do lasu.

– Muszę podwyższyć ogrodzenie. Przeskakuje płot jednym susem.

– Piotr, chciałeś mi coś pokazać.

– Tak. To ważne, chodź.

Przez chwilę w skupieniu obserwował porośniętą trawą ziemię.

– Tutaj.

– Nadal nic nie widzę. – Magdalena wytężyła wzrok.

– O to właśnie chodzi. Spójrz! – zanurzył palce w ziemi i pociągnął za małe, zardzewiałe kółeczko, dotąd zupełnie niewidoczne. Kwadrat trawy rosnącej na cienkiej warstwie ziemi, którą pokryte były szczelnie zbite deski, uniósł się do góry.

– Co to jest? – Magdalena pochyliła się nad czarnym otworem. Pachniało stęchłą ziemią.

– Nie wiem. Chciałem właśnie sprawdzić, ale mieliśmy gościa.

– Jak to odkryłeś?

– Przypadkiem. Planowałem posadzić tu śliwę, którą wyhodowałem w skrzynce. Uderzyłem łopata i usłyszałem taki dziwny dźwięk. Opukiwałem z każdej strony, aż natrafiłem na metalowe kółeczko. Pociągnąłem za nie, ale to wcale nie chciało się otworzyć. Widocznie zarosło przez lata. Ciągnąłem kółko i patrzyłem, gdzie trawa lekko się unosi. Potem obciosałem to dookoła łopata i udało się!

– Przyniosę lampę. Obejrzymy to!

– Nie, nie teraz. Słyszę Julianę. Chyba skończyła pisać. Zajrzemy później.

Ale później zobaczyli Popioła. Biegł z podkulonym ogonem, utykając na przednią prawą łapę. Przy bliższych oględzinach Piotr stwierdził naderwane ucho i rozplataną skórę na brzuchu.

– Różnica zdań? A może walka o terytorium? Ciekawe z kim? Ta rana na brzuchu dziwnie mi wygląda. Skóra jakby przecięta. Może rozdarta pazurem? Czyżby niedźwiedź? – zastanawiał się Piotr.

Ale Popiół nie potrafił odpowiedzieć. Skamlał tylko cichutko w swoim kąciku i wylizywał obolałe rany. Juliana tuląc psa zanosila się od płaczu. Magdalena obejrzała chorą łapę. Nic nie wskazywało na to, że była złamana.

– No widzisz? Po co biegasz sam po lesie? – przemawiała łagodnie, opatrując naderwane ucho. Lizał ją po rękach, jakby przeproszał i obiecywał

poprawę.

– Mam nadzieję, że to, co go pogryzło, nie było wściekłe – zaniepokoił się Piotr. – Musimy go obserwować.

– A gdyby tak było?

– Wtedy musiałbym go zabić.

Magdalena wzdrygnęła się i przytuliła wierny psi łeb.

– Będzie dobrze, Popiół. Zobacysz, będzie dobrze – szeptała, a oczy zaszkliły się jej na samą myśl o utracie przyjaciela.

Juliana uspokajała się, wycierając piąstką ostatnie łzy. Piotr przytulił ją, obiecując, że wystruga jej takiego samego pieska do zabawy.

– Jaka ona jest do ciebie podobna! – zawołała Magdalena. – Dopiero teraz to naprawdę widzę!

– Będiesz miała pamiątkę, kiedy zje mnie dziki zwierz – zażartował Piotr, ale Magdalena nawet się nie uśmiechnęła.

– Nie wolno ci tak mówić. Słyszysz? Nie wolno!

Nocą zerwał się wiatr. Jęczał jak potępiona dusza, szarpał drzewami, łamał gałęzie, wciskał się szparami gwizdząc i wyjąc. Piotr kilka razy wstawał, by sprawdzić stan okien i drzwi. Nawet Juliana spała niespokojnie, przewracając z boku na bok. Drewniana konstrukcja chaty trzeszczała smagana wichurą, sprawiając wrażenie, że za chwilę rozpadnie się na wszystkie strony świata. Magdalena usiadła na łóżku i z niepokojem patrzyła w okno. Gałęzie tłukły o szyby, jakby chciały wedrzeć się do środka.

– Co się stało, Lenko? Dlaczego nie śpisz? – zapytał Piotr i uniósł się na łokciu.

– Nie mogę spać. Mam wrażenie, że ten dom za chwilę na nas runie.

– Nie runie – starał się ją uspokoić – no chodź, przytul się do mnie i postaraj się zasnąć.

Magdalena położyła się posłusznie, ale oczy miała wciąż szeroko otwarte.

– Piotr...

– Mmm? – zamruczał.

– Wiesz, zastanawiam się...

– No?

– Zastanawiam się, czy nasz ślub jest ważny.

– Co ci chodzi po głowie, Lenko? Oczywiście, że jest ważny.

– Nie jestem tego taka pewna.

– Kochanie, czy możemy porozmawiać o tym rano?

– Możemy, oczywiście że możemy... Piotr...

– Tak, Lenko?

– No bo on przecież nie był księdzem.

– Kto nie był księdzem? – Piotr rozbudził się na dobre.

– Człowiek, który dał nam ślub, tak naprawdę nie był księdzem, tylko jego bratem.

– Boże, Lenko, musisz mówić o tym teraz?

– Tak, teraz, bo właśnie uświadomiłam sobie, że mamy nieślubne dziecko!

– Lenko, na miłość boską, przecież i tak nikt o tym nie wie.

– Jak to nikt? Ja wiem! To mało?

– To przypadek sprawił, że wiesz. Gdyby ksiądz...

– Brat księdza.

– Dobrze, brat. Gdyby nie powiedział, nie wiedziałabyś o tym.

– Ale powiedział i wiem: Juliana jest nieślubna, a ja sypiam z obcym mężczyzną.

– Dobrze, Lenko. Dla mnie to nie ma znaczenia, ale skoro tobie to przeszkadza, weźmiemy nowy ślub, jak tylko skończy się wojna. Chcesz tego?

– Chcę.

– To teraz śpij.

– Dobrze.

Magdalena naciągnęła pierzynę.

– Piotr...

Westchnął uświadomiwszy sobie, że nic z tego spania nie będzie.

– Co znowu, Lenko?

– Te gałęzie tak uderzają o szyby... Co chwilę wydaje mi się, że widzę tam czyjaś twarz.

– Wydaje ci się, kochanie. Spróbuj zasnąć.

– A jeśli ktoś tam stoi?

– Nikt nie stoi, śpij.

– Ale zerknij, spójrz choć przez chwilę.

Piotr obrócił się leniwie, bardziej dla świętego spokoju niż z ciekawości.

– Jezus, Maria! – zawołał zduszonym głosem, zerwał się z pośłania i błyskawicznie naciągnął spodnie. – Zabierz Julianę! Schowajcie się!

– Boże, gdzie?! – ręce jej się trzęsły, gdy zapinała spódnice.

– Nie wiem! Na górę! Albo nie, do komory, potem uciekajcie!

– A ty?

– Nie bój się o mnie, dam sobie radę!

Magdalena zbudziła Julianę, która widząc rozhisteryzowaną matkę, wygięła buzię w podkówkę.

– Cicho, nie płacz – szepnęła Magdalena, popychając półprzytomne dziecko w kierunku komory. Popiół skamlał żałośnie ze swojego legowiska. Był zbyt obolały, żeby szczekać. Magdalena wepchnęła Julianę do wielkiego kosza, nakryła go suszącym się dotąd na sznurze płótnem, sama zaś przycupnęła z tyłu i zamarła. Ktoś załomotał w drzwi wejściowe.

- Kto tam? – usłyszała głos Piotra.
- Otwieraj! – zagrzemiał głos z obcym akcentem.

Juliana zaczęła pochlipywać w koszu i Magdalena musiała opuścić kryjówkę, by uspokoić dziecko. Zza ściany docierały niepokojące dźwięki: skrzypnęły drzwi, Popiół złowrogo zawarczał. Po krótkiej szamotaninie ktoś przeciągle jęknął i chyba upadł, bo rozległo się głucho uderzenie czegoś dużego o podłogę. Potem nastąpiła cisza. Magdalena w napięciu nasłuchiwała, skulona za wiklinowym koszem. Z izby nie dobiegał jednak nawet szmer. Wciśnięte między kosz a ścianę komory ciało drętwiało od długo nie zmienianej pozycji. Juliana zaczęła się wiercić, a delikatne trzeszczenie kosza w zupełnej ciszy stawało się tak głośne, jak trzask powalanych huraganem drzew. Niepewność, co stało się za drzwiami, lęk o życie Piotra paraliżowały mózg, odbierały Magdalenie zdolność do racjonalnego myślenia. Chciała wyjść z ukrycia, przekonać się, że niebezpieczeństwo minęło, a Piotr jest cały i zdrowy. Nie mogła jednak narażać Juliany, jeśli w izbie był ktoś obcy. Długotrwała cisza stała się w końcu nie do wytrzymania. Magdalena starając się nie opierać o kosz, podniosła się bezszelestnie i ruszyła w kierunku drzwi. Nagle świdrujący dźwięk przerwał ciszę, a Magdalena struchlała zatrzymując się w pół kroku. To ona potrafiła w ciemności leżący na półce sierp, który upadł na coś blaszanego. W izbie nadal panowała cisza. Podniosła sierp i tak uzbrojona powoli zbliżyła się do drzwi, które lekko uchyliła. Jej oczom ukazała się zakrwawiona postać na podłodze i warujący przy niej Popiół. Opatrunki psa odbijały się jasnymi plamami w szarości budzącego się świtu. Piotra nie było.



Adam odłożył dziennik i przetarł zmęczone czytaniem oczy. Potem rozejrzał się półprzytomnie. Wciąż siedział w parku, a wieczorny chłód ciągnący od stawu wkraadał się pod cienką koszulę. Park opustoszał, dzikie kaczki zbite w stado znieruchomiały z dziobami wtulonymi pod skrzydła. Jakaś kobieta nawoływała psa, który szedł nieśpiesznie, dźwigając tłuste boki. Wszystko to docierało do Adama jakby z innego świata. Nie stronił od książek, ale nigdy nie zatracił się w nich do tego stopnia. Historia pisana przez czyjeś życie pochłaniała go bez reszty, wtapiała się w jego własne. Podniósł się z ławki i wyprostował obolałe plecy. Przystanek był niedaleko, Adam minął plac zabaw i żółknący trawnik. Dojrzał z daleka nadjeżdżający tramwaj, więc podbiegł, by w ostatniej chwili wskoczyć do siódemki. Jakaś grupa jechała do teatru, Adam domyślił się tego ze szczątków rozmowy, jakie docierały do jego uszu. Wysiadł niedaleko Rynku. W podziemnym przejściu przy ulicy Świdnickiej chłopak z długimi włosami związanymi w kucyk grał na gitarze, dziewczyna stojąca obok miała piękny, matowy głos. Adam zasłuchał się przez chwilę, potem wysupłał kilka monet, wrzucił do stojącej przed nimi puszką i już miał odejść, gdy dziewczyna przerywając śpiew złapała go za ramię.

– Zaczekaj, jesteś stąd?

– Tak, o co chodzi? – zapytał zerkając na zaciśniętą dłoń na swoim ramieniu.

– Och, przepraszam – dziewczyna zwolniła uścisk i poprawiła długą grzywkę opadającą na oczy – nie wiesz, gdzie tu można tanio przenocować? Mam niewiele pieniędzy, a muszę zostać jeszcze jeden dzień we Wrocławiu.

– Jesteś studentką?

– Tak – odpowiedziała, ponownie odgarniając grzywkę.

– Może schronisko młodzieżowe.

– Daleko?

– Nie. Przy Kołłątaja.

– Nie wiem, gdzie to jest – zmartwiła się i rozejrzała się bezradnie – zaprowadzisz mnie?

Adam uznał to pytanie za retoryczne, dziewczyna schyliła się bowiem i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Idziemy? – zapytała z uśmiechem i zarzuciła plecak na ramię.

Adam spojrzał pytająco na chłopaka brzdąkającego na gitarze. Patrzył przed

siebie obojętnym wzrokiem.

– Nie, on nie – wyjaśniła dziewczyna i pociągnęła Adama za rękaw. – Chodźmy.

Po paru krokach zawróciła, wysypała na dłoń zawartość puszek, odliczyła monety, część wysypała z powrotem, a resztę schowała do kieszeni.

– Uczciwie zarobione – powiedziała podbiegając do czekającego na nią Adama.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Z Warszawy. Miałam tu coś do załatwienia. Nie udało się w jeden dzień, a nie przewidziałam noclegu – odpowiedziała biegnąc za nim truchtem.

– A twój chłopak? Wyglądał tak, jakbyście się pokłócili.

– Jaki chłopak? – zdumiała się szczerze.

– Śpiewałaś z nim. – Obejrzał się na nią i zwolnił kroku.

– Ach, ten! Nie znam go. Zatrzymałam się przy nim, bo grał, a ja musiałam zarobić parę groszy. Zaczęłam śpiewać, a on nie protestował – wyjaśniła i roześmiała się.

– Świetnie sobie radzisz – stwierdził.

– Takie czasy – odpowiedziała poważnie.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował Adam zatrzymując się przed budynkiem.

Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę.

– Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

– Drobiazg. Trzymaj się, powodzenia – powiedział i mocno uściskał jej dłoń.

Dziewczyna ruszyła w kierunku drzwi.

– Zaczekaj – zawołał za nią – dam ci swój numer telefonu. Na wszelki wypadek, gdybyś znowu potrzebowała pomocy.

Zatrzymała się.

– Masz coś do pisania? Jakąś kartkę? – zapytał.

– Tylko długopis. Ty masz zeszyt. – Wskazała dziennik Magdaleny.

– Zeszyt? – zdziwił się. – Ach, to! – Spojrzał na dziennik. – To nie jest zwyczajny zeszyt – powiedział tak, że aż przeszył ją dreszcz. – To jest skarb. Świętość. Coś wyjątkowego. Rozumiesz?

Chciała coś powiedzieć, ale tylko pokiwała głową.

Kiedy obszukiwał kieszenie, w których znalazł jedynie zużyty bilet tramwajowy, przyglądała mu się z zastanowieniem. Spojrzał na nią pytająco.

– Może być – powiedziała szybko i podała mu długopis.

Zapisał numer i wręczył jej bilet. Nie czytając wrzuciła go do kieszeni.

– Dzięki, cześć! – powiedziała.

Podniósł rękę na pożegnanie i poszedł w swoją stronę. W podziemnym przejściu przy Świdnickiej chłopak z kucykiem grał *Sonatę księżycową*.

Kiedy wszedł do domu, matka z suszarką do włosów w ręku stała w drzwiach łazienki.

– Gdzie byłeś tak długo? – zapytała.

– Gdzie byłeś tak długo?! – zawołała rozdygotana Magdalena widząc zdyszanego Piotra wchodzącego przez furtkę. Juliana nie spuszczała przerażonych oczu z zakrwawionej, nieruchomej postaci pod progiem.

– Zabierz stąd dziecko. Niech na to nie patrzy – rzucił i pochylił się nad leżącym człowiekiem.

– Żyje? – zapytała Magdalena.

– Nie wiem. Zabierz dziecko.

Magdalena posłusznie odprowadziła opierającą się Julianę do łóżeczka.

– Boję się – wyszeptowała dziewczynka drżącymi wargami.

– Nie trzeba, Juliano. Nie trzeba się bać. Wrócił tatuś. Nic ci nie grozi – uspokajała ją Magdalena.

Uświadomiła sobie, że Juliana po raz pierwszy odczuła prawdziwy strach. To dziecko odizolowane od świata nie знаło uczucia lęku, mimo że od kilku lat trwała wojna. Przykryła je pierzynką i wróciła do Piotra.

– Żyje? – ponowiła pytanie.

– Jeszcze tak. – Piotr podniósł się z kolan i popatrzył jej w oczy. – Lenka, ja tego nie zrobiłem. On przyszedł w takim stanie. Właściwie to on chyba się przyczoił.

Obrócił go na wznak, a Magdalena przycisnęła obie dłonie do ust, żeby nie krzyknąć.

– Boże – szepnęła tylko – Boże...

Twarz człowieka była zmasakrowana. Trudno było rozpoznać jakieś rysy. Popiół powarkiwał groźnie.

– Popiół, na miejsce! – rozkazał Piotr i pies posłusznie powłókł się na swoje legowisko, mocno kulejąc.

– Co z nim zrobimy? – zapytała Magdalena drżącym głosem.

– Jeśli umrze, pochowamy. Tak, żeby nie było śladu. A jeśli nie... – Piotr zawiesił głos. – Jeśli nie, trzeba będzie się nim zaopiekować. Na razie przenieśmy go do komory i opatrzymy mu rany.

Bezładne ciało było ciężkie. Z trudem ułożyli go na pościeli. Słońce stało wysoko, gdy Magdalena kończyła obmywać mokrą szmatką rannego.

– Spójrz Piotrze, co to jest? – Z uwagą przyglądała się dłoniom mężczyzny. Prawa pozbawiona była palców, do lewej zaschniętą krwią przyklejone były strzępy sierści.

– Lenko, to nasz Ukrainiec. Ten sam, co był tu wczoraj. A ta sierść? Musiało napaść go jakieś zwierzę. Pokaż – nachylił się i przyjrzał dokładniej – Lenka, to sierść Popioła.

– Popioła? Ale dlaczego? – Magdalena zerknęła w stronę izby, gdzie w kącie drzemał pies.

– Nie wiem. Jedno z nich musiało zaatakować. Jeśli to Popiół, ten człowiek musiał go czymś rozdrażnić. Nasz pies nie jest agresywny z natury. Może dowiemy się czegoś, kiedy pacjent się ocknie.

Magdalena pokiwała głową i przymknęła oczy.

– Jestem zmęczona – powiedziała cicho.

– Nic dziwnego, noc pełna emocji – wyraził zrozumienie i pogłaskał ją po włosach. – Prześpijmy się, zanim Juliana się obudzi.

Magdalena bez oporów pozwoliła Piotrowi odprowadzić się do łóżka, gdzie z westchnieniem ulgi wtuliła się w jego ramiona.

– Piotr, śpisz? – zapytała, gdy zaczął ogarniać go sen.

– Jeszcze nie, Lenko – zamruczał leniwie.

– Gdzie byłeś tak długo? Umierałyśmy ze strachu! – Wspomnienie niedawnych przeżyć zupełnie wybiło ją ze snu.

– Boże, Lenko, musisz pytać o to teraz? – Usiadł na łóżku. – Posłuchaj, nie chciałem, żebyście się bały. Ale musiałem sprawdzić, czy on nie przyprowadził z sobą całej bandy. Wybiegłem, żeby rozejrzeć się, czy nikogo tu nie ma. Nie wiedziałem też, kto go tak okaleczył. Może napastnik czaił się gdzieś, by w dogodnym momencie i nas zaatakować. Pełno różnych maruderów po lesie się kręci. A teraz śpij już, proszę. – Opadł na poduszkę i zasnął.

– Mamo, mamó – głos Juliany wyrwał Magdalenę z głębokiego snu. – Mamo, jestem głodna. – Dziewczynka stała boso i delikatnie potrząsała ją za ramię. – Chce mi się jeść, a boję się iść do komory.

– Dlaczego się boisz? – zapytała półprzytomnie, usiłując podnieść ciężkie od snu powieki.

– W komorze leży pan i patrzy.

– Patrzy? Na co patrzy? – dociekała, jakby to właśnie było najważniejsze.

Juliana milczała chwilę. Od pewnego czasu była bardzo skrupulatna.

– Na pająka – powiedziała w końcu.

– Czego więc się boisz? Pająka?

– Nie.

– Boisz się pana?

– Nie całego... Tylko tego patrzenia się boję.

Magdalena podniosła się z westchnieniem i okryła chustą. Przed drzwiami komory przystanąła z wahaniem. Ona też bała się tego patrzenia. I nie tylko. Bała się całego człowieka. Do komory weszła na palcach. On jednak zauważył ruch, chociaż z tej pozycji nie mógł dostrzec sylwetki.

– Kto to? – zapytał ochryplym głosem.

– To ja, Magdalena. Jak pan się czuje?

– Magdalena. Magdalena, ładnie... Mnie Ivan. A twojego jak nazywają?
– Piotr.
– Piotr. A doczka?
– Juliana... Co się stało?
– A co się miało stać. Wasza sobaka, znaczy pies rzucił się z kłami i nijak odgonić się nie dał. Dopiero jak ja nóż wy dobył i skórę na brzuchu drasnął, odpuścił.

– Rzucił się tak bez powodu?
– Jak kto chce, to i powód się znajdzie. Ot, kij w rękę miałem. Pewnie myślał, że na niego... Ja kręcił się w okolicy, a on terytorium pilnował. Dobra sobaka. Obcych nie wpuści, nie.

– Przykro mi.
– E tam przykro. Zwierzę to zwierzę. Innymi prawami się rządzi. – Ivan poruszył się i syknął z bólu.

– Niech pan leży spokojnie. Zaraz dam śniadanie i rany na nowo opatrzę.
– Dobra ty pani. Ja twojego się boję. Piotra.
– Nie trzeba. Piotr też jest dobry. Nie zrobi krzywdy.
– Nie wyganiajcie mnie – załkał nagle – moi poszli, ja ich nie dogonił. Nie wiem, gdzie... ja kaleka.

– Nikt pana nie wygania.
Magdalena zaczęła krzątać się po komorze, zbierać chleb, ser, masło. Dopiero teraz zauważyła, że Juliana przysłuchuje się całej rozmowie.

– Chodź, Juliano. Pan jest chory, musi odpocząć.
Juliana przełknęła ślinę i powoli zbliżyła się do posłania Ivana. Małą rączkę położyła ostrożnie na bandażu opasującym jego głowę.

– Boli? – zapytała cichutko, patrząc rozszerzonymi z przejęcia oczami. Potem przeniosła wzrok na prawą dłoń Ivana.

– Zgubiłeś paluszki – powiedziała.
Adam zatrzasnął dziennik, wierzchem dłoni otarł skradającą się po policzku łzę i zgasił lampkę nad łóżkiem. Przed oczami miał małą sześciolletnią dziewczynkę patrzącą na ludzkie cierpienie z własnej perspektywy. Być może dla niej nie istniał jeszcze wyraźny podział na dobro i zło, a pojęcie „wróg” nie było jej znane. Liczył się człowiek. O ile łatwiej byłoby wszystkim żyć, gdyby każdy zachował naturalną szczerłość dziecka. Potem przez chwilę pomyślał o dziewczynie z opadającą na oczy grzywką i zasnął.

Nie miał pojęcia, jak długo spał. Kiedy obudził go dzwonek telefonu, było zupełnie ciemno. Telefon był natarczywy.

– Halo – powiedział przyciszonym głosem i obejrzał się na drzwi. Spodziewał się zobaczyć tam za chwilę zaniepokojoną lub co najmniej zdziwioną matkę. Nic takiego jednak się nie stało.

– Masz jakieś imię? – odezwał się damski głos w słuchawce.

Adam uśmiechnął się do siebie. Po głosie rozpoznał dziewczynę z długą grzywką.

– Nie śpisz? – zignorował jej pytanie.

– Nie mam gdzie. W schronisku nie było miejsc.

– I dopiero teraz dzwonisz? Przecież umawialiśmy się...

– Na nic się nie umawialiśmy – przerwała. – Zaoferowałeś swoją pomoc, ale nie powiedziałam, że skorzystam. Zresztą było mi głupio.

– Aha, czyli im później, tym mniej głupio – powiedział zirytowany i spojrzał na zegarek. Była trzecia nad ranem.

– Nie rozumiesz. Teraz też jest mi głupio, ale nie dam rady dłużej chodzić po ulicach. A na dworcu zaczepiają.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytał szukając po omacku spodni.

– W Rynku. Pod pręgierzem – odpowiedziała.

– W porządku. Zostań tam. Niedługo będę.

– Masz jakieś imię? Halo! Halo! – wołała dziewczyna w słuchawkę, ale Adam już tego nie słyszał. Zapalił lampkę i ubrał się w pośpiechu. Kiedy w przedpokoju po cichu zakładał buty, w sypialni rodziców zapaliło się światło.

– Świetnie – mruknął do siebie otwierając drzwi na klatkę schodową.

– Adam – usłyszał głos matki – dokąd się wybierasz o tej porze?

– Koleżanka jest w potrzebie – odpowiedział z jedną nogą za progiem.

– Jaka koleżanka? – dociekała matka.

– Mamo, przepraszam, śpieszę się.

– Ale dokąd? – nie ustępowała.

– Daj chłopakowi spokój. Jest już pełnoletni – odezwał się ojciec.

– Mamo, wszystko opowiem ci rano. Idź spać, dobranoc – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

O tej porze tramwaje jeżdżą rzadko i Adam stwierdził, że pieszo szybciej dotrze do Rynku. Dziewczyna siedziała na plecaku pod samym pręgierzem. Na jego widok wstała, zarzuciła plecak na ramię i ruszyła w jego kierunku.

– Przepraszam – powiedziała z miną winowajcy.

– Nie ma za co – odburknął bez przekonania.

– I co teraz? – zapytała z nadzieją, że on znajdzie jakiś sposób na spędzenie reszty nocy.

– Nie wiem. Nie chce mi się łązić teraz po mieście i szukać jakiegoś miejsca do spania. Najlepiej będzie, jeśli zabiorę cię do domu.

– Do twojego domu? – zapytała z nutką nadziei i niepokoju zarazem.

– Mieszkam z rodzicami – uciął krótko, zastanawiając się, co znowu będzie musiał opowiadać matce.

Dziewczyna zamilkła i drobnym krokiem podążała za Adamem.

- Zazdroszczę ci – przerwała w końcu ciszę.
- Nie rozumiem – zerknął na nią z ukosa – czego mi zazdrościsz?
- Rodziców – odpowiedziała krótko.
- Przecież ich nie znasz.
- Zazdroszczę, że ich masz.

W zupełnej ciszy odgłos otwieranych drzwi odbił się głuchym echem od ścian klatki schodowej. Adam skrzywił się i przepuścił dziewczynę przodem. Weszła do mieszkania rozglądając się nieśmiało. Adam natychmiast dostrzegł porzucony na szafce grzebień, poprzewracane kapcie, pozostawiony kubek z fusami po kawie, niedbale rzuconą koszulę, wszystko to, na co nie zwróciłby uwagi, gdyby nie spojrzął oczami dziewczyny. Popchnął ją delikatnie w kierunku swojego pokoju.

- Będiesz spać tutaj – szepnął.
- A ty? – zapytała.
- A ja nie – odpowiedział i zamknął za sobą drzwi.

Następnego dnia matka zastała go pochrapującego w fotelu.

- Adam? Dlaczego śpisz tutaj? – zapytała zdumiona.

Zanim odpowiedział, zajrzała do jego pokoju. Łóżko było puste. Adam wstał, rozprostował się z trudem i rozejrzał po mieszkaniu. Po dziewczynie nie było śladu.

– Dziwnie się ostatnio zachowujesz – stwierdziła matka z troską – nie chciałbyś z nami porozmawiać?

– Nic się nie dzieje, mamo. Nic poza tym, że jestem piekielnie głodny – uspokoił ją z uśmiechem. W jego głosie jednak czaiła się niepewność.

Kiedy został sam w pokoju, rozejrzał się dokładnie. Nie znalazł żadnego śladu po dziewczynie, która spędziła tu noc. Przez chwilę zastanowił się nawet, czy mu się to wszystko nie śniło. Kiedy jednak sięgnął po dziennik Magdaleny, wypadła z niego karteczka, jakich sporo rozrzuconych było na jego biurku. Litery były niewyraźne, jakby pisane w pośpiechu: „Skończyłam na trzydziestym dziewiątym roku. Znam ciąg dalszy. Dziękuję za pomoc. T.”

Adam złapał telefon i przejrzał historię ostatnich połączeń. O godzinie trzeciej nad ranem dzwoniło z numeru zastrzeżonego.

- „Znam ciąg dalszy” – przeczytał raz jeszcze. – Co to znaczy?

– Co to znaczy, Juliano? – zapytała Magdalena marszcząc brwi. – Dlaczego nie przyszedłeś od razu, kiedy cię wołałam?

Juliana stała w progu ze strapioną miną i skubała brzeg sukienki.

- Przepraszam, mamusiu – szepnęła.

- Powiesz mi wreszcie, gdzie byłaś?

Magdalena odłożyła nóż, którym obierała ziemniaki, i pochyliła się nad dziewczynką. Juliana odważnie podniosła wzrok, wytrzymując spojrzenie matki.

Milczała.

– Powiesz? – ponowiła pytanie Magdalena.

– Nie – odparła dziewczynka.

– Nie? – Magdalena aż przysiadła na brzegu ławy i w milczeniu przyglądała się córce. Ogarnęła ją fala mdłości. Była w trzecim miesiącu ciąży i ten stan dawał znać o sobie. – No to powiem tatusiowi, że mnie nie słuchasz.

– Słucham cię, mamusi. Ale to nasza tajemnica – odpowiedziała Juliana i Magdalena zauważyła, jak zacisnęła dłonie w pięści.

– „Nasza”, to znaczy czyja? – dociekała. Była uparta i coraz częściej dostrzegała tę cechę u córki.

– Moja i wujaszka Ivana.

– Juliano, prosiłam cię tyle razy, żebyś nie oddalała się z panem Ivanem. I... i to nie jest twój wujaszek!

– Jest! Prosił, żebym tak do niego mówiła! – Juliana uniosła nogę i już miała tupnąć, ale w drzwiach stanął Piotr. Nie było go przez dwa dni i obie bardzo ucieszyły się na jego widok. Magdalena wstała, by go przywitać, a Juliana od razu czmychnęła korzystając z momentu nieuwagi matki. Piotr był w znakomitym humorze.

– Jak się czujesz, Lenko? – zagadnął przysiadając obok niej na ławie.

– Dobrze. Tylko Juliana wyprowadziła mnie nieco z równowagi. Biega gdzieś z Ivanem, znika na pół dnia i w dodatku robi z tego tajemnicę.

– Nie denerwuj się kochanie. Wiem, gdzie biega. Razem szykują dla ciebie niespodziankę. To dla niej jest bardzo ważne.

– Nie podoba mi się, że on wciąż tu jest. Już dawno wyzdrowiał i powinien wrócić do wsi, do swojej rodziny. Tymczasem Juliana nie odstępuje go na krok i zwraca się do niego: wujaszku. Rozumiesz? Wujaszku!

– Nie wiń jej. Ten Ivan bardzo ją lubi. Struga zabawki z drewna i opowiada ciekawe historie. Nic dziwnego, że dziecko się przywiązało. Nie ma przecież żadnych innych wujków.

– Mimo wszystko wolałabym, żeby sobie poszedł. Nie czuję się swobodnie, odkąd tu jest. I jeszcze muszę go karmić.

– Dobrze, porozmawiam z nim – obiecał Piotr i uśmiechnął się do Magdaleny. – Spójrz, co ci przyniosłem ze wsi. – Wyjął z płóciennej torby zawiniątko i położył na dłoni Magdaleny.

– Co to? Sól? Och, nareszcie jedzenie nabierze smaku! – ucieszyła się.

– Mówią, że koniec wojny blisko. Ale we wsi niebezpiecznie. Ukraińskie bandy nie odpuszczają. Już większość wsi opustoszyli. Mordują bez litości. Ludzie zastraszeni. Nawet ja miałem stracha, jak tu szedłem. Wciąż wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi. Oglądałem się, ale nie widziałem nikogo.

– Nie pozwolę ci więcej chodzić do wsi. To niebezpieczne. – Magdalena

obrała ostatniego ziemniaka i wrzuciła go do garnka z wodą. – Przynieś mi trochę drewna, muszę rozpalić pod kuchnią.

Piotr wyszedł do drewnutni, a ona zakrzętnęła się przy posiłku. W pewnej chwili śpiący pod piecem Popiół poruszył się niespokojnie.

– Leżeć, Popiół, leżeć! – rozkazała psu i zerknęła przez małe okienko. Zdziwiła się, że drzwi do drewnutni są zamknięte, choć jej mąż nigdy tego nie robił. Nagle ktoś otworzył je gwałtownie. Przez drzwi wypadł Piotr z zalaną krwią twarzą i upadł na ziemię. Za nim wybiegło dwóch ludzi, którzy skierowali się prosto do chaty. Magdalena struchlała. Jeden z nich miał twarz zakrytą czarną chustką. Ten drugi trzymał zakrwawioną siekierę, którą Piotr przed chwilą rąbał drewno. Przerazona Magdalena nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy znaleźli się w środku. Złapała ze stołu nóż i zamierzyła się na tego, który był bliżej. Wiedziała, że nie ma żadnych szans. Człowiek w chustce podbiegł błyskawicznie i ścisnął przegub jej ręki. Nóż wypadł. Słyszała wściekły skowyt Popioła. Któryś z nich widocznie musiał go kopnąć, bo pies nagle znalazł się pod przeciwległą ścianą.

– Zabawimy się – zaśmiał się grubiańsko ten w chustce, popychając ją brutalnie. Garnek z ziemniakami spadł z hukiem na podłogę chlustając zimną wodą. Popiół pozbierał się chyba, bo dopadł tego drugiego, skacząc mu do gardła.

– Won! Swołocz! – usłyszała Magdalena i upadła pod mocnym ciosem na podłogę. Ukrainiec w chustce kopał ją brutalnie w brzuch. Kątem oka widziała nad sobą jego nabiegłe krwią oczy. Drugi z nich podniósł ciężką dębową ławkę i rzucił ją na jej nogi. Zawyla z bólu. W oczach migotały czarne plamy. To koniec – przemknęło jej przez myśl – koniec, zabijaj mnie. Co będzie z Julianą?!

– Stój! – usłyszała nagle głos Ivana – Stój! Nie bij! To nasza! Ukrainka!

Zawirowało jej w głowie. Potem nie było już nic.

Adam zamknął dziennik i odsunął daleko, jak odsuwa się niechciane wspomnienia. Jako historyk znał dobrze okrucieństwa ukraińskich bandytów. I zdawał sobie sprawę, że to, co stało się w leśnej chacie, działo się dawno temu, ale fakt, że przydarzyło się Magdalenie i Piotrowi, z którymi spędził tyle wzruszających chwil, potęgował gorycz i nienawiść do ludzi, którzy się tego dopuścili. Niejednokrotnie zaciskał pięści czytając o zbrodniach banderowców, nigdy jednak nie dotknęły go tak blisko i tak boleśnie, jak teraz. Wierzchem dłoni ocierał łzy, które toczyły się po twarzy. Nie próbował ich powstrzymywać. Nie wstydził się płakać. Bolało.

Podszedł do okna i zapatrzył się w korony drzew. Liście pokryte miejskim kurzem drżały leciutko na wietrze. Adam całą uwagę starał się skupić na tym zielonym dygotaniu, na ptaku, który przysiadł właśnie na cienkiej gałązce i śmiesznie przekrzywił łepkę, na chmurach płynących tak nisko, że zdawały się zaczepiać o sąsiednie bloki. Rejestrował to wszystko tylko po to, by nie myśleć o Piotrze, który leżał gdzieś tam pod starą szopą, z rozłupaną przez ukraińskich

zbrodniarzy głową. Mimo woli spojrział na pamiętnik. Jeśli on jest, to znaczy, że Magdalena przeżyła. I on, Adam, musi do niej wrócić.

Mała rączka odgarniała zlepione krwią i potem kosmyki włosów z czoła Magdaleny, która ocknęła się właśnie i powoli uniosła obrzmiałe powieki. Juliana siedziała obok niej na podłodze i głaskała ją po głowie. Robiła to bezwiednie, patrząc pusto przed siebie. Widocznie wypłakała już wszystkie łzy, bo zaczerwienione i opuchnięte oczy były teraz zupełnie suche. To niewiarygodne, jak wydorosła w tak krótkim czasie. Na jej twarzyczce wypisane było całe cierpienie dzisiejszego dnia, które bezpowrotnie odebrało jej szczęśliwe dzieciństwo. Przed oczami Magdaleny przewinął się dramatyczny obraz upadającego na ziemię Piotra, a z jej piersi wyrwał się rozdzierający jęk pełen rozpacz. Juliana jakby nieco oprzytomniała, bo spojrzała na Magdalene, a spotykając jej wzrok rozplakała się na nowo.

– Mamusiu – łkała, szukając miejsca dla swojej główki na piersi matki.

Magdalena syknęła z bólu, ale przygarnęła córeczkę najczulej, jak mogła. Prócz siebie nie miały już nikogo.

– Mamusiu – szeptala Juliana polykajac łzy – tatuś ciągle śpi, nie obudził się nawet wtedy, gdy myłam mu buzię.

– Myłaś tatusiowi buzię? – Magdalena uniosła się nieco i zaraz opadła z powrotem, krzywiąc się z bólu i wysiłku.

– Tak, myłam wodą, bo mocno się skaleczył, ale wcale się nie obudził. Ty też długo spałaś, ale się obudziłaś. A tatusia przykryłam twoją chustą, żeby mu nie było zimno.

– A gdzie jest... gdzie leży tatuś? – zapytała Magdalena, z trudem panując nad drzeniem głosu. Szybko wytarła dwie łzy toczące się po policzkach. Nie chciała, by Juliana widziała jej rozpacz. Mogłaby wpaść w histerię, a to tylko pogorszyłoby sytuację.

– Tam leży – dziewczynka wskazała ręką podwórko – koło drewni. Popiół go pilnuje.

Popiół, a więc pies przeżył. Magdalena chciała wstać, iść do Piotra, przekonać się, że żyje, jest tylko nieprzytomny, ale ocknie się zaraz i wspólnie będą dochodzić do zdrowia, nie mogła jednak poruszyć nogami, choć ktoś zdjął z nich dębową ławkę. Przypuszczała, że są połamane. Bała się na nie spojrzeć, tak samo, jak bała się myśleć o swym nienarodzonym i utraconym dziecku. Dobrze, że Juliana nie dostrzegła kałuży krwi, w której leżała. Teraz siłą powstrzymywała cisnący się do gardła krzyk bezsilności, rozpacz i bólu. W ciągu niespełna godziny odebrano jej wszystko. Podejrzewała, że nawet Ivan odszedł, inaczej byłby teraz tutaj. A może... Może jego też... Woląta o niego nie pytać.

– Mamusiu – wyrwał ją z kłębowiska przerażających myśli cieniutki głosik Juliany – mamusiu, jestem głodna.

Boże, nie pomyślała o tym, że przecież powinna wstać dla niej, dla córeczki, która potrzebuje jej jeszcze bardziej niż dotąd, nie mając nikogo innego. Jak ma powiedzieć, że teraz role się odwrócą i to ona, Magdalena, będzie wymagać opieki?

– Napij się mleczka kochanie – odpowiedziała słabym głosem.

– Nie ma mleczka.

No tak, nikt nie wydoił krowy. Aż dziwne, że nie moczy – pomyślała Magdalena.

– Juliano – odezwała się do córki spokojnym, ale stanowczym tonem. Nie mogła okazać słabości, która do reszty załamałaby dziewczynkę. – Pamiętasz, jak uczyłam cię doić krówkę?

– Tak, pamiętam. – Na buzi Juliany pojawił się blady uśmiech, który na tle wcześniejszych wydarzeń był jak kwiatek rzucony na trumnę. Magdalena odwróciła się nieznacznie i otarła kolejną nieproszoną łzę.

– Widzisz, kochanie... Przewróciłam się i bardzo bolą mnie nogi. Musisz być dzielna i sama wydoić naszą krówkę.

– Ale nie ma krówki – odparła dziewczynka.

Zabrali więc jeszcze więcej. Zabrali jedyną możliwość przeżycia w obecnej sytuacji – myślała Magdalena. – Co ma zrobić sama, bezradna i chora, bez środków do życia, za to z małym, wymagającym opieki dzieckiem w samym środku leśnej głuszy?

– Idź do komory, Juliano. Myślę, że znajdziesz tam jeszcze coś do zjedzenia. Musisz poradzić sobie sama.

– Dobrze, mamusiu – szepnęła, podniosła się z kolan i wyszła.

Magdalena zaś, gryząc do krwi palce, żeby nie wyć jak zranione zwierzę, rozszlochała się bezgłośnie.



Juliana nie chciała spać w łóżeczku, a Magdalena nie była w stanie jej do tego przekonać.

– Boję się. Chcę spać koło ciebie, mamusiu – powiedziała wlokąc po podłodze ciężką pierzynę. Zwinęła się u boku matki i po chwili dał się słyszeć głęboki oddech zmęczonego wrazeniami dziecka.

Magdalena nie mogła spać. Pod zamkniętymi powiekami jawił się jej obraz ukochanego Piotra leżącego z rozplataną głową, troskliwie otulonego wełnianą chustą i mgłą marcowej nocy. A ona tu, z połamanymi nogami, lepiąca się od krwi i potu, zrozpaczona, opuszczona i bezradna. Jak pochowa Piotra? Jak poradzi sobie z kolejnym i kolejnym dniem bez możliwości poruszania się? Czuła przejmujący chłód twardej podłogi, ból, pragnienie, zdrętwiałe od leżenia w jednej pozycji ciało i uporczywy ucisk pęcherza. Zwyczajne, codzienne czynności stały się niemożliwe do wykonania. Co ją czeka? Co czeka małą Julianę? Czy pięcioletnie dziecko sprosta obowiązkom dorosłych? Zapadała w krótkie, niespokojne drzemki, przerywane upiornymi widziadłami na granicy snu i jawy. Bała się poranka, bała się każdej kolejnej godziny bez Piotra. Jednak one mijały i po długiej, męczącej nocy sprząty zaczęły ujawniać swoje kształty w bladym świetle wstającego dnia. Warujący przy Piotrze pies zaskamlał nagle, Magdalena jednak nie mogła podejść do okna, by zobaczyć, co się dzieje. Słyszała niepokojący ruch przed domem i skóra jej cierpła ze strachu. Potem czyjeś kroki zbliżyły się do drzwi i ktoś nacisnął klamkę. A więc wrócili. Są tu znowu, by dokończyć dzieła. Przygarnęła ramieniem śpiącą Julianę i zacisnęła mocno powieki. Nie chciała widzieć twarzy oprawcy, który za chwilę pozbawi je życia. Kroki zbliżyły się do posłania na podłodze. Ktoś stał nad nimi ciężko oddychając. Potem pochylił się nisko, czuła ten oddech na twarzy i zimny dreszcz przeszył jej ciało, gdy na ramieniu poczuła czyjąś rękę.

– Magdalena, Magdalena! – usłyszała szept tuż nad głową.

Otworzyła oczy.

– Boże ty mój... Boże! – Ivan wyprostował się gwałtownie i patrzył na nią z przerażeniem. Pomyślała, że musi wyglądać dużo gorzej, niż była w stanie to sobie wyobrazić.

– Ivan! – zawołała, ale on położył palec na ustach. – Pomóż nam... – powiedziała błagalnie, nie pamiętając, że jeszcze wczoraj chciała się go pozbyć.

– Cicho, doczka śpi.

Magdalena spojrzała na Julianę i posłusznie zamilkła. Cieszyła się, że Ivan wrócił, choć nie potrafiła zaufać mu do końca. Zabrał im krowę, zniknął na cały dzień, mimo że był świadkiem wczorajszej tragedii i dobrze wiedział, jak bardzo potrzebują pomocy. Śmierdziało od niego samogonem, pewnie pił z kamratami, tymi samymi, którzy zabili jej męża. Teraz jednak nie miała wyboru. Bez Ivana nie miała szansy na przetrwanie. Trzeba zacisnąć zęby i znieść jego opiekę. Juliana zaczęła się wiercić i Magdalena musiała powstrzymać się od krzyku, gdy mała prostując nóżki uraziła ją boleśnie w kolano. Widząc to, Ivan wziął dziewczynkę nieporadnie na ręce i przeniósł do łóżka. Potem obejrzał nogi Magdaleny.

– Połamali nogi, połamali – mruczał pod nosem, delikatnie dotykając napiętej od opuchlizny skóry – trzeba poskładać i w łupki dać...

– Umiesz to zrobić? – zapytała Magdalena z nadzieją w głosie.

– Gdzież ja... Nigdy tego nie robił – podrapał się z namysłem po głowie – ale kto robi?

– Proszę... Ja muszę chodzić! – Łzy toczyły się po jej policzkach.

– Popróbuję, ale nie wiem, czy dasz radę chodzić. Mogą zrosnąć się krzywo, ja nie doktor, nie umiem.

Magdalena milczała. Wiedziała, że zdana jest tylko na niego. I długo walczyła z sobą, zanim powiedziała:

– Ivan... Muszę się umyć, zmienić sukienkę... Ja wiem, że... Bardzo się krępuję, ale sama nie dam rady.

Spojrzał na nią tak jakoś dziwnie, przez chwilę zbierał się w sobie, potem przysunął krzesło i usiadł.

– Magdalena – zaczął łagodnie, jakby przemawiał do dziecka – ty może nie pamiętasz, ale ja tak... Pamiętam, jak ja leżał i ani ręką, ani nogą nie mógł ruszyć. A ty całą opiekunką moją byłaś. Karmiłaś, doglądałaś, opatrywałaś zaropiałe rany i myłaś, choć mnie wstyd było przed tobą. A ty mówiłaś... Jak to ty mówiłaś?

– Że pacjent nie ma płci...

– Racja. Pacjent nie ma płci i że wolisz mnie umyć, niż żeby ja woniał na odległość.

Magdalena uśmiechnęła się blado na wspomnienie własnej irytacji, gdy oganiał się od niej, kiedy szła z miską wody i mydłem. Nie czuła wtedy nic prócz obowiązku, jaki trzeba wypełnić przy chorym.

– Ty dobra pani, nie pozwoliłaś zdechnąć staremu. I ja ci pomogę teraz, kiedy ty w potrzebie.

Oczy Ivana zaszklily się, wstał więc szybko, by ukryć wzruszenie. Wziął cebrzyk stojący pod ścianą i wyszedł do studni. Potem rozpałił w piecu i zagrzwał wodę.

Juliana obudziła się późno. Na widok Ivana jej twarzyczka rozjaśniła się.

– Wujaszek Ivan, wujaszek! – zawołała i wyskoczyła z łóżka, żeby się przywitać. – Zostaniesz z nami? – zapytała, a oczy jej wyrażały tyle nadziei, co obawy.

– Trochę zostanę, a potem pójdę. Do swoich – odpowiedział.

Ale Juliana już nie słuchała. Podbiegła do okna, jakby nagle coś sobie przypomniła.

– Mamusiu – zapytała odwracając się do matki – gdzie jest tatuś?

Magdalena zaniemówiła. Wpatrywała się w dziecko, nie mogąc wydusić słowa. Serce zabiło jej mocniej, a w głowie kłębiły się myśli pełne nadziei, że Piotr żyje, wstał i poszedł gdzieś, nieważne gdzie i po co, nieważne nawet, że nie wszedł do domu, by sprawdzić, co dzieje się z nią i Julianą. Spojrzała na Ivana. Ten jednak zajął się wrzucaniem drewna do pieca.

– On jest daleko – powiedział w końcu. – Nie wiem, gdzie. Jak wróci, sam ci opowie.

– A kiedy wróci? – W głosie Juliany był żal i rozczarowanie.

– Nie wiem – odpowiedział krótko.

– Czy wróci, jak znajdzie naszą krówkę? – dopytywała się dziewczynka.

– A po co szukać? – zdumiał się Ivan. – Od wczoraj na pastwisku jest. Ja z rana zaprowadziłem. A potem nie miał kto przyprowadzić.

Magdalena poczuła ucisk w gardle. Boże – myślała – jak łatwo oskarżyć drugiego człowieka, stracić do niego zaufanie, źle ocenić. Przecież jeszcze niedawno czuła ogromny żal do Ivana, którego posądziła o odebranie im jednej z niewielu możliwości utrzymania się przy życiu, ucieczkę z ukraińskimi bandytami, pozostawienie jej i dziecka na pastwę okrutnego losu. A on wrócił, by im pomóc. Nie jest taki, jak tamci zbrodniarze, choć tej samej narodowości. Ivan jest dobry. Jest człowiekiem. Pomyślała o czystej sukience, którą miała na sobie, umyтым ciele, opatrunku na nogach, wreszcie o samym Iwanie, który pod szorstkim usposobieniem krył wielkie serce.

– Przepraszam – szepnęła, a jej oczy wypełniły się łzami – przepraszam, Ivan.

Ale on tego nie słyszał. Stękając z wysiłku wkładał wysokie buty, by wyjść na pastwisko po zostawioną tam krowę. Popiół podniósł się ze swego legowiska i machając niemrawo ogonem, podszedł pod drzwi.

Magdalena przeniesiona przez Ivana na łóżko opadła ciężko na poduszki. Spod przymrużonych powiek obserwowała Julianę, która pobierała lalki i tłumaczyła im coś po cichu w swoim kąciку. Było ich pięć. Magdalena szyla je ze starych sukienek na każdą rocznicę urodzin dziewczynki. Piotr śmiał się zawsze, ilekroć widział kolejną kukłę z guzikowymi oczami i wełnianymi włosami.

– Szmaciany kalendarz – mówił – wystarczy, że któraś się zawieruszy i nie będziemy wiedzieli, ile nasza córka ma lat.

Zaledwie kilka dni temu wziął do ręki ostatnią z lalek i powiedział zupełnie poważnie, jakby coś przeczuwał:

– Lenko, przepraszam cię, że nie miałaś okazji nosić przy mnie swoich pięknych sukienek.

– Daj spokój – odparła – to nie ma znaczenia.

– Ale miało. Inaczej nie zabierałabyś ich z sobą. A tymczasem nie byliśmy nigdy razem na żadnym balu ani w towarzystwie. Wybacz mi. – Popatrzył jakoś tak smutno i wyszedł na podwórko.

Magdalena zacisnęła powieki i znów ujrzała wypadającego przez drzwi drewni Piotra. Ten obraz towarzyszyć jej będzie, dopóki nie zobaczy go naprawdę. Bo przecież Piotr zniknął i w Magdalenie zatliła się isierka nadziei, że on żyje, tylko z jakiegoś powodu nie mógł tu być. Bo przecież Ivan powiedział, że Piotr poszedł. Poszedł daleko, ale wróci i sam opowie... Nie, to niemożliwe – zaprzeczyła sama sobie – powiedział tak, żeby uspokoić dziecko, a ona, Magdalena, jest przecież dorosła. Dla niej Ivan nie przewidział taryfy ulgowej, nie zamierzał jej pocieszać. Chyba że on naprawdę nie wie, gdzie jest teraz Piotr. A on wróci, przytuli ją, gdy będzie się skarżyła, że straciła dziecko, maleńką kruszynkę, ufnie gnieźdzącą się pod jej sercem. Będzie nosił ją na rękach, dopóki jej nogi nie odzyskają dawnej sprawności. Będzie siał pszenicę i żyto na wykarczowanym z takim trudem polu. I len, żeby mogła tkać nowe prześcieradła i obrusy. A potem... potem skończy się wojna i wyjadą stąd. Pojadą do domu, do matki, Stasia i... ojca, którego może nawet poprosi o przebaczenie. Tylko niech Piotr wróci. Niech wróci!

Postanowiła czekać, a miejsce nadziei powoli zaczęła zajmować pewność.

Ivan przejął opiekę nad Julianą, gospodarstwem i samą Magdaleną. Co pewien czas jednak siadał przy jej łóżku i przypominał o swojej rodzinie, do której zamierza niebawem wrócić. Rozumiała i godziła się z tym, choć starała się odsunąć ten dzień do powrotu Piotra. Nigdy nie mówiła o tym Ivanowi, ale wierzyła, że tak właśnie będzie. Ivan zaś nie podejmował tematu jej męża od czasu jego zniknięcia. Ignorował nawet pytania Juliany i dziewczynka przestała mówić o tatusiu w jego obecności.

Magdalena przyzwyczajona do pracy, a teraz unieruchomiona w łóżku, nie mogła się doczekać, kiedy stanie na własnych nogach i podejmie codzienne czynności. Ivan nie dawał rady ze wszystkim, a nawet pewnych rzeczy nie dostrzegał i Juliana na prośbę matki omiatała, jak umiała, zakurzone kątki, myła garnuszki czy prała drobną bieliznę. Pod jej dyktando uczyła się szykować posiłki, zdejmować śmietanę z mleka i ubijać masło. W przerwach między nowymi obowiązkami zasiadała do nauki, czego Magdalena konsekwentnie przestrzegała. Czytanie i pisanie szło jej już bardzo sprawnie, przyszedł więc czas na zdobywanie nowych wiadomości. Matka przekazywała jej wszystko, co wiedziała sama,

poszukując w zakamarkach pamięci tego, czego nauczyła się w szkole.

Był wrzesień, kiedy Ivan postanowił zdjąć łupki z nóg Magdaleny i od nowa nauczyć ją chodzić.

Adam zamyślił się – wrzesień 1945 roku. Wprawdzie wojna zakończyła się w maju, ale w Polsce wcale nie było bezpiecznie. I jeżeli Piotr istotnie przeżył napad ukraińskich bandytów i z niewiadomych powodów odszedł z leśnej chaty, mógł w każdej chwili wpaść w łapy grasujących w najlepsze band UPA. Banderowcy w bestialski sposób nadal pozbawiali życia całe polskie rodziny, zwłaszcza te, które przebywały na terenach przez nich odebranych. Z drugiej strony zaś mógł poczuć się w obowiązku zasilić szeregi Armii Krajowej lub Ruchu Oporu na wieść o decyzji podjętej w Jałcie, że Polska wcale nie będzie wolna, że przejmie ją Stalin pod sowiecką okupację. Historia długo milczała o sowietyzacji kraju. Jednak Adam doskonale orientował się, jak wyglądała walka o „Słuszną Sprawę”. I choć nie bardzo wierzył w opuszczenie przez Piotra ukochanej żony i córki, jednak kto wie? Trudno patrzeć spokojnie na sowieckich rabusiów, politycznych prześladowców, prowokatorów i morderców, jeśli jest się Polakiem. A tylko Armia Krajowa miała odwagę stawić czoła nowej okupacji. I mimo aresztowań, nieludzkich przesłuchań, grożącej śmierci lub zesłania na Syberię, jej członkowie dążyli do usunięcia armii sowieckiej z obszaru Polski i przywrócenia jej wschodnich granic do przedwojennego stanu. Jedyne wstąpienie do AK, śmierć z rąk oprawców lub bliskie spotkanie z ubekami, którzy skutecznie zwalczali ruch oporu, mogło tłumaczyć nieobecność Piotra u boku żony. Adam jednak jego odejście bez słowa pożegnania poddawał w wątpliwość. Ale jak wobec tego wytłumaczyć to tajemnicze zniknięcie?

Przetarł zmęczone czytaniem oczy i podszedł do okna. Było słoneczne popołudnie.

Było słoneczne popołudnie, gdy Ivan wniósł do izby dwie kule wyciosane z solidnego drewna.

– Magdalena – odezwał się wzruszony – u ciebie kości zrosły się, musisz wstawać! Idzie zima, mnie do swoich czas wracać. Tak ja im obiecał, zimę ze swoimi przetrwać. A mnie nijak ciebie na łóżku zostawiać. Doczka ze wszystkim nie poradzi. Ty musisz wstać. Chodzić.

Magdalena nie mogła chodzić. I nie tylko dlatego, że mięśnie jej zwiotczały od długiego leżenia. Gołym okiem było widać, że kości zrosły się krzywo i każda próba postawienia kroku odbierała nadzieję, czy kiedykolwiek samodzielnie pokona najmniejszą odległość. Tym bardziej obawiała się odejścia Ivana i tym tęskniej spoglądała w kierunku okna, za którym spodziewała się wreszcie ujrzeć męża. Jej wiara była silna, mimo że pół roku minęło, odkąd go nie widziała. Każdego dnia podejmowała próby, które kończyły się porażką. Ivan obserwował jej zmagania, choć czas naglił i Magdalena zauważyła pewną niecierpliwość w jego

zachowaniu. Pod koniec września szła właśnie nową lalkę na szóste urodziny Juliany, gdy Ivan wtoczył do izby drewniany wózek na dużych kołach.

– Ot, niespodziankę ja przywiózł. My z Julianą dawno ją robili, wiosną jeszcze, żeby tobie było lżej mleko od krowy do domu nosić. To my pomyśleli wózek uszykować. Nie wiedzieli, że ty sama na nim pojedziesz... Ot ja deseczkę z przodu wyjął i kółka większe zamontował. Pojedziesz ty na nim do krowki i kurom jajka pozbierasz... Ja do swoich muszę, ja obiecał. – Otarł wstydliwie łzę toczącą się po policzku. – Mnie żegnać się pora.

Odprowadził wzrokiem Julianę, która słysząc jego słowa wybiegła z płaczem z izby, podniósł węzełek, od kilku dni spoczywający pod stołem, i nie patrząc na Magdaleny podszedł do drzwi.

– Nie martw się – odezwała się zduszonym głosem. Miała ściśnięte gardło i trudno jej było mówić swobodnie. – Poradzimy sobie. Przecież tylko patrzeć, jak Piotr wróci.

Ivan odwrócił się gwałtownie. Wzrok miał straszny.

– Piotra ja pod śliwą pochowałam – powiedział, załkał głośno i wybiegł, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

Piotr umarł dwa razy. Za pierwszym razem Magdalena wraz z nim utraciła nienarodzone dziecko. Za drugim złudzenia. Nadzieję, żywioną cierpliwym oczekiwaniem, tęsknotą i miłością, zabił Ivan, po czym uciekł z tym truchłem, pozostawiając głęboką wyrwę w sercu Magdaleny. Leżała teraz nieszczęśliwa, pusta w środku, pozbawiona wszystkiego, co nadawało sens jej życiu. Juliana opłakiwała odejście Ivana. Magdalena siebie. Oczy miała suche. Zabrakło łez, które przyniosłyby ulgę. Ciemny punkcik na suficie rósł i malał, i znów rósł, był tak samo nieważny, jak to, że drzwiami bawił się wiatr, otwierając i zamykając je na przemian, i to, że zbierało się na deszcz, a na sznurze pozostało nie zebrane pranie. Popiół popiskiwał, kręcąc się za swoim ogonem, jak zwykle gdy do sierści przyczepił się rzep w niedostępnym dla niego miejscu. Nad gruszkami przyniesionymi jeszcze dzisiejszego ranka przez Ivana kręciła się z głośnym brzęczeniem osa, przysiadając, to znów zrywając się do krótkiego lotu. Wszystko to rejestrowała Magdalena, nie odbiegając myślami poza izbę, za którą nic już nie czekało. Piotr leżał w sadzie tuż za domem, a ona nie mogła tam pobiec, jak biegła zawsze, gdy nagle miała mu coś ważnego do powiedzenia. Nie mogła przyłgnąć do silnego ciała męża i wypłakać żalu, który rozdzierał jej serce. Nie mogła, bo nie było już Piotra i nie było łez. Ostatnia tła się w niej iskierka nadziei zgasła, a wraz z nią zgasła radosna Lenka, po której został unieruchomiony na łóżku wrak kobiety. Ciemny punkcik na suficie dwoił się, rozrastał i wirował, ogarniając jej zrujnowany świat.

– Mamusiu – głos Juliany odbił się echem o dno czarnej studni i krążył w przestrzeni, nie mogąc dotrzeć do mózgu Magdaleny. – Mamusiu – dziewczynka

pochyliła się nad uchem matki. Mówiła przyciszonym głosem, nie chcąc jej przestraszyć. Magdalena spojrzała na nią nieprzytomnie. Punkcik zadrżał i przycisnął się gdzieś na skraju świadomości. – Mamusiu, przyplęnęła wielka, czarna chmura, chciałam pozbierać pranie...

– Pozbieraj Juliano – odparła obca kobieta obcym głosem.

– Ale jestem za mała, nie mogę dosięgnąć.

– Tak, jesteś za mała. Jesteś na wszystko za mała.

– Mogę wziąć stołeczek.

Magdalena milczała.

– Czy mogę wziąć stołeczek? – Oczy małej i bardzo dorosłej w tej chwili dziewczynki uważnie lustrowały twarz matki. – Wezmę stołeczek – zdecydowała nie doczekawszy się odpowiedzi.

Podniosła stołek stojący przy stole i wyszła przed dom, a ciemny punkcik wielką czarną plamą rozlał się po izbie.

Noc była straszna. Ulewa i wichura chłostały małe okienka, dobijały się do drzwi, jakby chciały wydrzeć z chaty resztki wspomnień po szczęściu, lękliwie przyczajonych w echu słów i zapachu powietrza. Magdalena nie spała. Ciemna plama złagodzona czernią nocy pozwoliła na przebłyski jaśniejszych obrazów, z których wyłaniały się pełne dobroci i miłości oczy Piotra. W pewnej chwili usłyszała drobniutkie kroki zbliżające się do jej łóżka.

– Mamusiu – szepnęła Juliana – boję się, kiedy tak wyje za oknem.

– Chodź – powiedziała krótko Magdalena odgarniając pierzynę.

Małe, ciepłe ciało przylgnęło ufnie i już po chwili w leśnej chacie słychać było dwa miarowe oddechy.

Kiedy Magdalena otworzyła oczy, w izbie panował półmrok jesiennego poranka. Juliana spała jeszcze z rączkami rozrzuconymi nad głową. Magdalena oparła się na łokciu i długo patrzyła na regularne, spokojne rysy córeczki. Oto część jej ukochanego mężczyzny, najpiękniejszego dzieła Stwórcy, za jakie uznała Piotra przy pierwszym spotkaniu. Juliana odziedziczyła po nim urodę, ciemne, gęste włosy, zachowując przy tym drobną figurę matki. Serce Magdaleny przepełniła fala czułości. Starając się odsunąć jak najdalej bolesne myśli o ojcu dziewczynki, dla niej właśnie postanowiła wziąć się w garść i otoczyć to dziecko troską i miłością, na jaką będzie ją stać.

Z wielkim trudem zsunęła się na stojący obok wózek. Koła przy nim były chyba od roweru, bo ogumione i cicho toczyły się po podłodze. Z wdzięcznością pomyślała o Iwanie, dzięki któremu mogła teraz przemieszczać się po domu. Spojrzała za okno. Ulewa nie ustawała i Magdalena wzdrygnęła się na myśl, że powinna przejechać przez podwórko, by wydoić krowę. Mimo woli nasunął się jej obraz Piotra leżącego pod śliwą w sadzie. Twarz jej posmutniała, a kąciki ust opadły. Czuła, że od wczoraj postarzała się o kilka lat. Podjechała pod drzwi, kijem

od szczołki zdjęła z gwoźdźca pelerynę z kapturem, ale zanim zarzuciła ją na plecy, wtuliła w nią twarz i rozplakała się rzewnie. Zapach, który ją ogarnął, był zapachem Piotra, który czuła zawsze, gdy tulił ją w ramionach. Świadomość, że nigdy już nie doświadczy jego czułości, nie usłyszy pod szorstkim swetrem bicia jego serca, rozkleiła ją zupełnie. Szlochała tak w pelerynę, dopóki nie dobiegł do niej głos Juliany:

– Mamusiu, bolą cię nóżki?

– Nie, kochanie – odpowiedziała siąkając nosem.

– To dlaczego płaczesz?

Jakie to proste. Żeby płakać, powinno coś boleć. Jeśli nie boli, nie ma powodu do płaczu, choć Juliana nie dalej jak wczoraj oplakiwała odejście Ivana.

– Boli mnie dusza, córeczko.

– Dusza? – powtórzyła Juliana wolno i z zastanowieniem. Była bardzo skrupulatna i teraz pewnie próbowała wyobrazić sobie duszę i usytuować ją w ciele człowieka. Nie wiedziała, że jej ukochany tatuś spoczywa pod śliwą w sadzie i wciąż na niego czekała. Magdalena nie chciała odbierać córce nadziei. Jej też łatwiej było żyć, gdy miała swoje czekanie.

– Zaczekaj tu Juliano. Pójdę do obórki po mleko. Zamknij za mną drzwi, żeby deszcz nie napadał do sieni – poprosiła.

Wiatr targnął pelerynę. Po raz pierwszy od tamtego tragicznego zdarzenia znalazła się na podwórku. Starła się nie patrzeć na miejsce pod drewnianą, gdzie ostatni raz widziała Piotra. Przez chwilę zawahała się, potem skręciła wózek w kierunku sadu. Zrezygnowała tuż za domem. Nie, nie chce jechać do Piotra. Jeszcze nie teraz. Może za kilka dni, tygodni, kiedy rana się nieco zabliźni. Śmierć człowieka najbardziej uświadamia się wtedy, gdy widzi się jego grób, a Magdalena nie chciała tej świadomości.

W obórce było zacisznie. Wypełniony mlekiem cebrzyk Magdalena postawiła na wystającej z przodu wózka desce, którą Ivan w tym celu zamontował. Pomyślał o wszystkim, żeby ułatwić jej codzienne funkcjonowanie.

Od czasu śmierci Piotra, a potem odejścia Ivana, życie w leśnej chacie zaczęło wyglądać zupełnie inaczej. Dwie kobiety – jedna niepełnosprawna, druga niespełna sześcioletnia – musiały sprostać obowiązkowi w gospodarstwie na tyle, by utrzymać się przy życiu. Magdalena doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że pola pozostaną puste, bo żadna z nich nie poradzi sobie z ich uprawą. Będzie to się wiązać z brakiem mąki na chleb, słomy dla krowy czy ziarna dla kur. Widmo głodu zjeżyło jej włos na głowie. A opał na zimę? Teraz Ivan przygotował duży zapas, ale na ile czasu wystarczy? Jeśli będą skromnie gospodarować zasobami spiżarni, tę zimę uda się im przeżyć. Latem i jesienią będą jadły to, co da natura. Ale co będzie potem? Juliana musi dobrze się odżywiać, by rozwijać się prawidłowo. Piotr wciąż zabiegał o różnorodne przysmaki. A to miód podkradł dzikim pszczołom, to

znów pstrągów nałowił, orzechów nazbierał, złapał leśne zwierzę, z którego uwędził spory zapas mięsa. Bez niego trudno będzie przeżyć jeden sezon, a cóż dopiero całe lata? Gdyby jej nogi były sprawne, zabrałaby córeczkę i uciekła stąd. W sytuacji, w jakiej się znalazła, było to niemożliwe. Bała się przyszłości, nawet tej najbliższej. Jej dziecko żyło jak dzikie zwierzątko, bez kontaktu z ludźmi, bez książek, otoczone jedynie drzewami, mając za towarzystwo kaleką matkę i psa. Co będzie, jeśli coś stanie się matce? Jak poradzi sobie osamotniona mała dziewczynka? Te i inne zmartwienia spędzały Magdalenie sen z powiek. Starła się dać dziecku poczucie bezpieczeństwa i całe pokłady miłości. Wiedziała jednak, że Juliana nie jest przygotowana do życia. Postanowiła o pewnych rzeczach ją uświadomić, choć ciężko jej było zabrać się za to. Okazja nadarzyła się sama.

Było to dzień przed szóstą rocznicą urodzin Juliany.

– Kochanie – poprosiła Magdalena – przebierz fasolę. Ugotujemy ją dziś na obiad.

Dziewczynka lubiła bawić się ziarnami fasoli, taka praca sprawi jej więc przyjemność. Przyniosła z komory jeden z płóciennych woreczków i wysypała jego zawartość na stół. Przez chwilę rozcierając fasolę rączkami i wsłuchiwała się w jej przyjemny chrzęst. Oddzielała białe ziarna od czerwonych i co chwilę przeliczała, których jest więcej. Mimo że jej praca nie przybliżała ani trochę obiadu, matka nie bronila jej takiej lekcji rachunków. Nagle Juliana zamilkła i trzymając coś w paluszkach, bardzo uważnie się temu przyglądała.

– Co tam masz? – zainteresowała się Magdalena.

– Nie wiem – powiedziała zsuwając się ze stołka – pokażę ci. – Podsunęła zaciśniętą piąstkę. – Patrz! – powiedziała i rozprostowała paluszki.

Na dłoni dziewczynki spoczywał pierścionek. Ten sam, który Magdalena dała kiedyś Piotrowi, by kupić ziarno potrzebne pod zasiew. Pierścionek z brylantem, pamiątka po jej babce. Odwróciła twarz, by Juliana nie zauważyła cisnących się do oczu łez. Kochany Piotr! Tak się wtedy wzbraniał przed przyjęciem ostatniego rodzinnego klejnotu, jaki miała. Ale wziął go przecież w końcu. Pierścionek ocalał, za co więc kupił ziarno? I dlaczego ukrywał pierścionek w fasoli, zamiast jej go oddać?

– Mamusiu, co to jest? – wyrwała ją z zadumy Juliana.

– Pierścionek – odparła i łza stoczyła się po jej policzku.

– To jest coś złego? Nie wolno znaleźć pierścionka w fasoli? – dopytywała się dziewczynka, a jej oczy, wyrażające lęk, ciekawość i zachwyt jednocześnie, były zupełnie okrągłe.

To rozbroiło Magdalenę na tyle, że wytarła szybko łzy i uśmiechnęła się do córeczki.

– Ależ wolno! Zwłaszcza jeśli ktoś go tam schowa!

– A kto schował?

– Ja – skłamała szybko, nie chcąc prowokować rozmowy o tatusiu, o którego Juliana i tak często pytała.

– Dlaczego schowałaś? – dociekała.

– Żebyś właśnie ty go dzisiaj znalazła.

Juliana przyglądała się matce z zastanowieniem. Z jednej strony nic z tego nie rozumiała, z drugiej zaś nie chciała zasypywać jej pytaniami, wiedząc, że czasem potrafią ją zirytować.

– To jest pierścionek mojej babci – zaczęła opowiadać jego historię, a widząc zdeorientowaną twarzyczkę Juliany, szybko wyjaśniła: – Babcia to mama mojej mamy. Ten pierścionek babcia podarowała mojej mamie, mama mnie, a ja jutro podaruję go tobie.

– Dlaczego? – wciąż nie rozumiała Juliana.

– Bo jutro będą twoje urodziny.

Dziewczynka spojrzała na pierścionek i buzia wygięła się jej w podkówkę.

– Wolalabym dostać lalkę... – szepnęła.

– Dostaniesz lalkę! – roześmiała się Magdalena, rozbawiona jej systemem wartościowania. Tylko małe dziewczynki, nie mające do czynienia z pieniędzmi, mogą uznać lalkę uszytą ze starej sukienki za cenniejszą od pierścionka z brylantem.

Uspokojona Juliana wróciła do stołu i w skupieniu kontynuowała przebieranie fasoli. Magdalena wsunęła pierścionek na palec i przez chwilę przyglądała mu się w zamyśleniu.

– Gdzie jest twoja mamusia? – zapytała nagle Juliana, zgarniając z hałasem ziarenka do blaszanej miski.

– Mieszka daleko stąd – zaczęła Magdalena i głos uwiązł jej w gardle. Zatęskniła nagle boleśnie za matką, domem, Stasiem, nawet ojcem, który był przecież na swój sposób troskliwy i niewątpliwie ją kochał.

– Po drugiej stronie lasu? – W głosie Juliany zabrzmiała groza ukazująca, jak małe ma pojęcie o świecie. Bo jej świat to las, w którym stoi jedna drewniana chata, i kilkoro ludzi, którzy się przez nią przewinęli.

– Nie, córeczko. – Magdalena nagle zaczęła się śpieszyć, by powiedzieć jej jak najwięcej, nauczyć wszystkiego, o czym czytała, słyszała lub czego doświadczyła, bo tylko od niej Juliana mogła się czegoś dowiedzieć. – Poza lasem są jeszcze wsie i miasta, gdzie jest mnóstwo domów, a w nich mieszka dużo ludzi. Moja mamusia, a twoja babcia mieszka w murowanym domu z wielkimi oknami. Razem z nią jest mój tatuś i mój braciszek, Staś. My też tam pojedziemy, kiedy nóżki nie będą mnie już bolały – dodała bez wiary w głosie. Wiedziała bowiem, że to pragnienie nigdy się nie spełni.

Mówiła jeszcze o kinach, teatrach i samochodach, muzyce i tańcach, szkołach, książkach, parkach i restauracjach, o wszystkim, co pamiętała z czasów,

kiedy nie musiała zabiegać o przeżycie każdego kolejnego dnia. Juliana słuchała tych opowieści tak, jak słuchała zawsze baśni opowiadanych jej w szarej godzinie, gdy jest już zbyt ciemno, by coś zrobić, i zbyt jasno, żeby wypalać naftę w lampach. Magdalena wtedy właśnie sadzała małą obok siebie i snuła fantastyczne opowieści o wróżkach, królewnach i dzielnych rycerzach. Coś powstrzymywało ją od opowiadania o czarownicach i złych macochach, teraz jednak uświadomiła sobie, że niewłaściwie przygotowuje dziecko do życia w świecie, gdzie jest tyle zła.

Następnego dnia Juliana obchodziła szóste urodziny, które Magdalena starała się urządzić bardzo uroczyste, jak na istniejące warunki. Przygotowała ulubione przysmaki dziewczynki, urwała ostatnią nitkę kończąc strojną sukienkę dla nowej lalki i zapakowała pierścionek po babce do małego, drewnianego pudełeczka.

– Usiądź tu koło mnie Juliano – poprosiła, gdy wszystko było już gotowe. Z niewiadomych powodów czuła, że musi powiedzieć dziewczynce pewne rzeczy, które dotąd bagatelizowała. Może śmierć Piotra tak bardzo niespodziewana uświadomiła jej, że w życiu należy być przygotowanym na wszystko, nawet na to, by samemu stawić czoła przeciwnościom losu. Nie chciała o tym myśleć, ale przecież Ukraińcy mogą wrócić tu w każdej chwili i jeżeli ją... jeżeli Juliana zostanie bez opieki, powinna wiedzieć, co ma zrobić. Nie przychodziło jej to łatwo.

– Kochanie, musisz to zapamiętać. Nazywasz się Juliana Dors, urodzona szesnastego października, tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Powtórz.

– Nazywam się Jula... – odpowiedziała okręcając na palcu falbankę świątecznej sukienki, włożonej na okoliczność urodzin.

– Juliana, kochanie. Juliana Dors – poprawiła cierpliwie. – Twoja matka Magdalena, a ojciec – tu przyciszyła głos jeszcze bardziej, a jej oczy zaszkliły się nienaturalnie – ojciec nazywa się Piotr. Piotr Dors – dodała z naciskiem.

Na wspomnienie ojca dziewczynka ożywiła się nagle.

– Tatusz był tu wczoraj – powiedziała swobodnie.

Twarz Magdaleny zrobiła się biała jak papier. Zimny dreszcz przeszył jej ciało, gdy ledwo poruszając ustami zdołała zapytać:

– Jak to? Co ty mówisz? – Jej palce kurczowo ścisnęły koła wózka, na którym siedziała.

– Przyszedł w nocy. Tam stał, pod oknem. – Oczy Juliany patrzyły szczerze i zwyczajnie.

– I co... co powiedział? – Magdalena nie spuszczała z niej nienaturalnie rozszerzonych przerażeniem oczu.

– Nic. Tylko stał. Potem poszedł – odparła.

– Poszedł? – wyszeptała Magdalena.

– Tak, poszedł – potwierdziła Juliana rozprostowując zgniecioną falbankę.

– Wyszedł drzwiami? – dopytywała się Magdalena, zdając sobie sprawę, że

niepotrzebnie brnie w dalszą rozmowę.

– Drzwiami? – Skrupulatna jak zawsze Juliana zawahała się. – Nie... nie pamiętam. Po prostu był, a potem... potem już go nie było.

– Uśmiechał się? Czy tatuś uśmiechał się do ciebie? – dopytywała Magdalena z przejęciem, jakby od tego zależała reszta jej życia.

– Nie wiem. Przecież było ciemno – odrzekła dziewczynka i z niepokojem przyjrzała się matce. – Mamusiu... czy on się na nas gniewa?

– Gniewa się? Och, kochanie! – Magdalena nie próbowała już powstrzymać łez, które jedna po drugiej toczyły się po twarzy. – Ależ nie! Wcale się nie gniewa. I bardzo chce do nas wrócić!

– To dlaczego nie wraca?

– Twój tatuś... – Boże, jak trudno nosić w sercu ciężar, którym nie można się podzielić! Magdalena jednak nie chciała odbierać córce jedynej radości w postaci oczekiwania na powrót ukochanego tatusia. Wystarczy, że jej świat legł w gruzach i nikt ani nic nie zdoła go już odbudować. Część Magdaleny umarła i spoczywa pod śliwą obok mężczyzny, z którym związała się na dobre i na złe. – Twój tatuś nie może na razie być z nami. Ale kiedyś będziemy razem, zobaczysz! – dodała z mocą, którą resztką sił wydobyła z samego dna serca.

Adam przerwał czytanie, otworzył szufladę biurka i zatrzasnął w nim dziennik. Od czasu, gdy go znalazł, zauważył, że dzieje się z nim coś dziwnego. Jego własne życie odsunęło się na dalszy plan. Przestało być ważne. To, co teraz było w centrum jego uwagi, to Magdalena i jej tragedia. Odnosił wrażenie, że wtargnęła w jego wnętrze, z całym bagażem zdarzeń, jakie były jej udziałem. Śmierć Piotra, kalectwo Magdaleny, przyszłość Juliany legły na sercu Adama i nie dopuszczały do głosu niczego, co działo się tu i teraz. Nie potrafił myśleć o niczym innym. Był zmęczony. Bardzo zmęczony. Wciąż myślał o tym, jak pomóc Magdalenie, wyciągnąć ją z beznadziejnej sytuacji, zaopiekować się jej dzieckiem. Nie pomagało tłumaczenie samemu sobie, że to już przeszłość, a w leśnej chacie i tak potoczyło się wszystko według jakiegoś planu. Może Bóg w tym wszystkim maczał palce, a może po prostu ślepy los. Adam, jako czytelnik, nie mógł mieć wpływu na bieg wydarzeń, ale też nie potrafił się od niego uwolnić. To było jak przewlekła choroba, którą nosi się w sobie i czy się tego chce czy nie, trzeba z nią żyć. I wciąż o niej myśleć, bo dokucza, gnębi i boli. Dlatego postanowił położyć temu kres. Zostawi to, zajmie się własnym życiem i będzie się nim cieszył, ponieważ jest jedyne, krótkie i niepowtarzalne. A pamiętnik? Przy najbliższej okazji odwiezie go z powrotem, przykryje bukiecikiem zasuszonych kwiatków, tak jakby nigdy nie brał go do ręki. Potem na palcach, żeby nie budzić przeszłości, przejdzie szpalerem szmacianych lalek i zamknie drzwi tak cicho, jak zamyka się kartę historii, nad którą jeśli nie chce się wyć, trzeba milczeć.



Wrocław zegał lato najpiękniejszymi barwami miedzi i czerwieni, podsycanymi ciepłą barwą jesiennego słońca. Adam brodził w opadających z drzew liściach, wsłuchując się w ich szelest. Ale nie tylko. Obok szła Olga, którą znał jeszcze z ogólniaka, i paplała z prędkością rozpędzonej lokomotywy. Teraz zastanawiał się, dlaczego ją właśnie prowadzi alejkami parku i skazuje siebie na miliony słów sypiących się z jej ust. Inicjatorką tego spotkania była zdecydowanie Olga. Wizualnie nie miał jej nic do zarzucenia, jednak temperament dziewczyny przerastał jego najśmielsze oczekiwania. Gdy tak rozmyślał, zamilkła i wbiła w niego pytające spojrzenie. Najwyraźniej oczekiwała jakiejś odpowiedzi. W dodatku oczekiwała w napięciu.

– Tak – bąknął.

– Tak?! Och, to cudownie! – wykrzyknęła i aż podskoczyła z zachwyty, a on nie miał pojęcia, na co właśnie się zgodził. Postanowił przez chwilę skupić uwagę na słowach dziewczyny. Ale ona zmieniła temat i zaczęła rozprawiać o kolorze włosów swojej przyjaciółki. Adam westchnął i skręcił w aleję prowadzącą do wyjścia. Pod domem Olgi wykręcił się od wspólnej kawy i już miał odejść, gdy Olga zapytała:

– Będziesz pamiętał?

– Jasne! – odpowiedział uśmiechnawszy się szeroko, byleby mieć ją z głowy.

– To do zobaczenia. Za tydzień.

– Co za tydzień? – zdumiał się.

– Adam, ty mnie w ogóle nie słuchasz!

– Oczywiście, że cię słucham, ale za tydzień wyjeżdżam. Na cały weekend.

– Wyjeżdżasz? Nic mi nie mówiłeś!

– Nie bardzo miałem kiedy...

– To naprawdę takie pilne? Obiecałeś, że pójdziesz ze mną.

– Przepraszam, pomyliłem terminy.

– To ja też nie pójdę. Wiesz co, bez względu na to, dokąd jedziesz, pojedę z tobą. Cieszysz się?

– Olga, nie myślałem o towarzystwie. Mam pewną misję do spełnienia.

– To spełnisz ją ze mną. No, proszę... Spójrz, jak cię ładnie proszę – zmarszczyła nos i zacisnęła powieki.

Pochylił się i pocałował ją po bratersku w policzek.

– Zgodziłeś się! Zgodziłeś! – zawołała i podskoczyła jak mała dziewczynka.

Plecak czekał pod ścianą. Na samym wierzchu spoczywał pamiętnik Magdaleny. Adam nie chciał do niego zaglądać nawet przez chwilę. Bał się, że jeśli otworzy zeszyt z pożółkłymi kartkami, w jego serce, mózg i ciało jakaś niewidoczna siła wepchnie znowu Magdalenę, z jej przeszłością i wszystkim, przez co musiała przejść, zanim przestała istnieć, odchodząc w niepamięć. Bał się magii. Bał się Magdaleny. Czuł, że ona jest w całym tym pisaniu, skrada się ku niemu w każdym zdaniu, w każdej pochyłej literce, by nad nim zapanować, zagarnąć jego życie, nie mając już swojego.

Przez okno wkradały się światła latarni. Nie mógł zasnąć, mimo głębokiej nocy i panującej wokół ciszy. Pociąg odjeżdżał wczesnym rankiem i Adam bardzo się starał, żeby przespać choć fragment nocy. Budzik rozdzwonił się głośno i natarczywie. Wydawało się, że ledwo zamknął oczy, a już musiał wstawać. Świt łagodną szarością ukazywał niewyraźne zarysy sprzętów. Adam zapalił lampę i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to samo światło jest zupełnie inne wieczorem, kiedy tworzy przytulny klimat. Teraz było zimne i ostre.

Kiedy wiązał buty, z sypialni wyrzała rozczochrana głowa matki.

– Zjadłeś śniadanie? – zapytała ziewając.

– Zjadłem, nie martw się – skłamał – wrócę niebawem. Do zobaczenia! – Wsunął do kieszeni portfel i wyszedł pośpiesznie na klatkę schodową.

Na peronie rozejrzał się za Olgą. Nie było jej, widocznie zasnęła. To i lepiej – nie krył zadowolenia – przynajmniej nie będzie paplała całą drogę.

Pociąg wtoczył się z hałasem. Słysząc było nawoływania podróżnych, gwar i gwizdek kolejarza. Adam wszedł do pustego jeszcze przedziału i zajął miejsce przy oknie. Wtedy zobaczył Olgę. Stała na peronie i rozglądała się nerwowo. Otworzył okno i zawołał ją. Po chwili była już w przedziale. Usiadła naprzeciwko, zrzuciła buty, a stopy umieściła na jego kolanach.

– Nie przeszkadza ci to, mam nadzieję – powiedziała z uśmiechem. Była bardzo bezpośrednia.

Nie odpowiedział.

– Przepraszam – mruknęła i zabrała nogi.

– Ależ nie! Trzymaj je tu sobie. Po prostu myślałem o czymś i nie dotarło do mnie, co mówiłaś – tłumaczył się zmieszany. Ona jednak podwinęła nogi pod siebie i zapatrzyła się w okno.

Pociąg ruszył z kilkuminutowym opóźnieniem. Kiedy minął przedmieście, rozkołysał się i przyśpieszył stukając równomiernie. Przedział zapełnił się szybko i teraz współpasażerowie dyskretnie zerkali na siebie wzajemnie. Sporo podróżnych przepychało się jeszcze korytarzem, dźwigając pękate torby, walizki i plecaki. Nagle przez oszklone drzwi mignęła Adamowi znajoma twarz dziewczyny, która śpiewała w przejściu podziemnym na Świdnickiej. Gwałtownie

zerwał się z miejsca i wyskoczył na korytarz. Olga odprowadziła go zdumionym spojrzeniem. Jakiś mężczyzna w szarym kapeluszu zatarasował przejście walizką na kółkach i zanim Adam zdołał się przedostać, dziewczyna zniknęła z pola widzenia. Mimo to podążył jej śladem. Przedzierał się korytarzem, zaglądając do wszystkich przedziałów. Niestety zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu. Zawiedziony wrócił na swoje miejsce przy oknie. Olga paplała w najlepsze, angażując niemal cały przedział. Gdy usiadł, zamilkła i przyjrzała mu się ciekawie. Automatycznie skupił na sobie uwagę reszty pasażerów.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, w porządku – powiedział zmieszany i zerknął na siedzącego naprzeciwko starszego pana.

– A gdzie byłeś? – dopytywała się, nie spuszczając z niego oka.

Adam czuł na sobie wzrok pozostałych współpasażerów, zastygłych w niemym oczekiwaniu na odpowiedź. Pani siedząca pod drzwiami przestała nawet poszukiwać czegoś w torebce i wbiła w niego pytające spojrzenie. Młodzieniec obok niej żuł z namysłem kanapkę, patrząc to na niego, to znów na Olgę.

– Nigdzie – odparł krótko.

– Nigdzie? Przecież wychodziłeś – powiedziała Olga i rozejrzała się po wszystkich, jakby szukając poparcia w tym osobliwym śledztwie. Młodzieniec zaprzestał żucia i z zapalem pokiwał głową. Reszta trwała w bezruchu.

– Dobrze, w toalecie – wyrzucił z siebie odważnie. – Byłem w toalecie – powtórzył głośno i wyraźnie, żeby dotarło do wszystkich. – Zadowolona? – dodał ledwo hamując wściekłość.

– Tak, oczywiście – bąknęła i przestała się odzywać.

Można by powiedzieć, że Adam do końca podróży miał spokój, gdyby nie intrygująca go myśl o tajemniczej dziewczynie. Zobaczył ją podczas wysiadania z pociągu. Nie zwracając uwagi na Olgę, podbiegł do niej i złapał mocno za ramię. Odwróciła się zaskoczona.

– Co za spotkanie! – zawołał uradowany.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem i uwolniła ramię, oddalając się pośpiesznie.

– Zaczekaj! – krzyknął za nią. – Jak masz na imię?

Obejrzała się.

– Magdalena! – zawołała i zniknęła w tłumie.

Stał jak uderzony obuchem. Nie miał jednak czasu na analizowanie zdarzenia, dostrzegł bowiem stojącą przy nim Olgę. Nie wiedział, ile czasu tak stała. Była oburzona.

– Odbiło ci?! Zostawiłeś mnie na środku peronu i pognałeś nie wiadomo dokąd!

– Przepraszam, zobaczyłem znajomą dziewczynę i chciałem się z nią

przywitać – tłumaczył, patrząc trochę nieprzytomnie. – Śpieszyła się...

– Nie widziałam żadnej dziewczyny – obruszyła się Olga. – Chodźmy, bo ucieknie nam ostatni autobus.

Kiedy dotarli do miasteczka, zapadał zmrok. Na ulicach nie było już nikogo, nie licząc kobiety z pieskiem na zrudziałym skwerku i dwóch pijanych mężczyzn mówiących głośno i bełkotliwie.

– Przenocujmy tu, a raniem wybierzemy się w dalszą drogę – zaproponował Adam. Olga nie protestowała. Była porządnie zmęczona. Nie było jednak łatwo znaleźć miejsca do spania, mimo że obeszli miasteczko wszerz i wzdłuż. W końcu udało się wynająć na jedną noc pokój, który urządzony był skromnie, ale wyglądał czysto i schludnie. Pod ścianami stały dwa jednoosobowe tapczaniki i to uspokoiło Adama.

Wstali wczesnym raniem, skorzystali z zaproponowanego przez gospodynię śniadania, oczywiście za dodatkową opłatą, i ruszyli dalej. Autobusem dojechali do wsi, którą Adam zapamiętał z letniego pobytu. Droga z przystanku do lasu wiała się między wzniesieniami. Za nimi widoczne były resztki porośniętych trawą i krzakami fundamentów dawnych chat oraz rachitycznych, zdziczałych drzew owocowych. Olga patrzyła na to wszystko przejęta i zafascynowana do tego stopnia, że zapomniała o naturalnej dla niej paplaninie.

Ranek był chłodny, choć pogodny. Czasami tylko niesione wiatrem chmury przesłaniały słońce, wzmagając uczucie chłodu. W lesie było zacisznie. Suche igliwie chrzęściło pod butami. Szli w milczeniu. Adam starał się skupić na kierunku prowadzącym do chaty Magdaleny. Odnosił wrażenie, że im głębiej wchodzi w las, tym bardziej traci orientację, gdzie się znajduje. To, co wydawało mu się łatwe i proste w domu, teraz okazało się niemal niemożliwe do osiągnięcia. Szukanie chaty zaszytej w samym środku lasu było porównywalne z szukaniem igły w stogu siana. W głębi lasu nie było nawet ścieżek wydeptanych przez grzybiarzy. Drzewa wyglądały tak samo i Adam powoli tracił nadzieję, że zdoła odnaleźć jakiś punkt zaczepienia, który ułatwi mu odnalezienie domu. Olga idąca tuż za nim posapywała z wysiłku. Nie skarżyła się jednak. Sama uparła się przecież, że dotrzyma Adamowi towarzystwa. Zmęczeni i głodni przysiedli wreszcie na pniu zwalonego drzewa.

– To chyba nie ma sensu – mruknął Adam.

– Szukamy czegoś czy spacerujemy po lesie? – zapytała z udaną obojętnością Olga, spychając czubkiem buta mrówkę z kawałka kory.

– Szukamy – odparł krótko.

– Wyczerpująca odpowiedź – uśmiechnęła się kwaśno. – Chcesz kanapkę? Została mi jedna, możemy zjeść na pół – powiedziała grzebiąc w plecaku.

Adam przełknął ślinę. Skręcało go z głodu. Połowa kanapki tylko rozbudziła apetyt.

– Myślę, że niepotrzebnie ze mną przyjechałaś – powiedział śledząc zmagania mrówki z butem Olgi. – Mam tu pewną sprawę do załatwienia i obawiam się, że nie zrozumiesz, dlaczego to takie dla mnie ważne.

– Nie rozumiem, jeśli mi nie powiesz dokładniej, o co chodzi. A to, że jestem tu z tobą, pozostaw raczej mojej własnej ocenie. Tego z kolei ty nie rozumiesz. – Zerknęła na Adama spłoszona, jakby uznała, że powiedziała za dużo.

Zignorował jej słowa. Przez chwilę żuł z namysłem źdźbło trawy, które nagle odrzucił i krzyknął tak, że przestraszona Olga aż podskoczyła.

– Myślisz, że łatwo mi o tym mówić? Nie masz pojęcia, co przeżywam! Wszystko przez nią! Wtargnęła w moje życie i nie potrafię się uwolnić. Nie umiem przestać o niej myśleć. Opanowała mój mózg, moją duszę, moje wszystko. A ja już nie mogę, rozumiesz? Nie mogę! Nie wytrzymam tego dłużej! – Ukrył twarz w dłoniach i stał tak przez chwilę, próbując się uspokoić.

Olga milczała.

– Jest taka bezradna – dodał ciszej po chwili – nie ma nikogo prócz... – zawahał się.

– Prócz ciebie? – zapytała prawie szeptem.

Spojrzał na nią trochę nieprzytomnie, ale nie odpowiedział.

Odwróciła głowę, żeby nie widział napływających do oczu łez. Miał rację. Niepotrzebnie tu z nim przyjechała. Wyraźnie przeżywał miłosny dramat, z którym musi uporać się sam. Jego serce wypełnia jakaś „ona” i póki co Olga nie ma tu nic do szukania.

– Bardzo ją kochasz? – zaryzykowała pytanie.

Przez moment patrzył na nią jak na przybysza z kosmosu.

– Kogo? Kogo kocham?

– Tę dziewczynę, która... – nie dokończyła sparaliżowana wyrazem jego oczu.

– Dziewczynę! – roześmiał się gorzko – To nie dziewczyna, to demon! Upiór! Mam go tu, w środku! – uderzył się pięścią w piersi, aż zadudniło.

– Boże... – Olga zbladła. Trzęsła się jak w febrze – Boję się ciebie. Jesteś opętany? – zapytała, podniosła się powoli i nie spuszczając wzroku z Adama zaczęła cofać się coraz dalej i dalej.

Patrzył na nią nie pojmując, o co jej chodzi.

– Opętany? Co znaczy opętany?

Nie odpowiedziała. Wycofywała się powoli, bojąc się, że każdy gwałtowniejszy ruch zbudzi uśpione widmo.

– Dokąd idziesz? Zaczekaj! Nie chcesz chyba sama wracać przez las? – zawołał za nią.

– Jest mi wszystko jedno. Ten las nie napawa mnie lękiem bardziej niż ty w tej chwili.

– Nie wygłupiaj się – starał się mówić łagodnie – chodź tu, usiądź. Wszystko ci opowiem. Może wtedy spojrzysz na mnie zupełnie inaczej.

Wahała się jeszcze, zanim posłusznie wróciła na swoje miejsce.

– Mów – powiedziała krótko.

– To wszystko zaczęło się latem – rozpoczął – wybrałem się w Bieszczady z grupą kolegów. Zgubiliśmy się i przypadkiem trafiliśmy do samotnej chaty stojącej w samym środku lasu...

Adam opowiadał ze skrupulatną dokładnością. Czasem przerywał, zamyślał się i Olga musiała przypominać mu o swojej obecności. Ślizgał po niej półprzytomnym wzrokiem i wracał do opowieści. Nie zauważył, kiedy słońce przesunęło się za horyzont. Dopiero gdy dziewczyna wzdrygnęła się pod wpływem przenikliwego chłodu, zerknął na zegarek.

– Zrobiło się późno, a my tutaj... Nie mam pojęcia, w którą stronę powinniśmy się udać.

Wstał z miejsca i zaczął pośpiesznie zbierać rzeczy rozrzucone wokół pnia, na którym siedzieli.

– Czeka! – Olga przytrzymała go za łokieć. – Nie musimy... nie powinniśmy tam iść. Ona, ta Magdalena, chce ci coś przekazać. To, że zostawisz pamiątnik w chacie, niczego nie zmienia.

– Nie mów tak! Jeśli zostawię pamiątnik, jest szansa, że znajdzie go ktoś inny. Ja chcę się od tego uwolnić.

– A jeśli nie? Jeśli nikt go nie znajdzie? Myślisz, że zostawi cię w spokoju?

– Tak właśnie myślę. Tak będzie – powiedział zaciskając pięści. – Chodźmy już, zanim zrobi się ciemno – dodał.

Olga podniosła swój plecak i bez przekonania ruszyła za Adamem. Szli milcząc, zatopieni we własnych myślach. Olga szczelniej zapięła kurtkę i wbiła zziębnięte ręce w kieszenie. Zmierzchało już i wraz ze znikającym słońcem robiło się coraz chłodniej.

– Adam – odezwała się nagle Olga – chodzimy w kółko. Przy tej sośnie już byliśmy. Zapamiętałam ją, bo ma pień powyginany na kształt litery „s”.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Takich sosen może być tu więcej. Nie wydaje mi się, byśmy chodzili w kółko – odpowiedział.

Olga zatrzymała się chwilę przy drzewie.

– Chodź, bo się zgubisz – ponaglił ją Adam.

– Jestem głodna. Od rana nie mieliśmy nic porządnego w ustach – skarżyła się idąc za nim krok w krok.

– Nie marudź. Nikt ci nie kazał ze mną jechać. Sama chciałaś – skwitował, chociaż na myśl o jedzeniu donośnie zaburczało mu w brzuchu.

Zamilkła. Adam słyszał tylko westchnienia pełne rezygnacji, które od czasu do czasu rozlegały się za jego plecami. Zaczynało się ściemniać, a chaty wciąż nie

było widać.

– O, znowu ta sosna – zawołała nagle Olga – przyszedliśmy w to samo miejsce!

– Mówiłem, że takich sosen może tu być sporo – zniecierpliwił się.

– Ale to jest to samo drzewo – upierała się.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Wiem, bo tym razem zatknęłam za odstającą korę swój bilet kolejowy. I on tu jest! – oznajmiła z satysfakcją.

Adam zatrzymał się.

– Jesteśmy w zaklętym kręgu – szepnęła. Jej oczy wyrażały coś takiego, że Adamowi włosy podniosły się na głowie. – Ona nie chce, żebyś zostawił pamiętnik. Płacze nam ścieżki. Uciekajmy stąd, boję się czegoś – dodała, a po plecach Adama spłynęła zimna strużka. Wzdrygnął się.

– Nie ma mowy. Tu gdzieś może być chata. Poszukajmy – powiedział wbrew sobie, bo najchętniej wzięłby nogi za pas.

– Nie będę niczego szukać. Boję się – powiedziała stanowczo – wracam.

– Olga, oszalałaś. Sama przez las? Po ciemku? Nigdzie nie pójdziesz. Czuję się za ciebie odpowiedzialny, bo przyjechałaś tu ze mną!

– Odpowiedzialny, rzeczywiście – powiedziała z przekąsem. – Ciągasz mnie po lesie, głodną, zmęczoną i zmarzniętą. Wiem, wiem, zaraz powiesz, że nie musiałam tu z tobą przyjeżdżać. Rzeczywiście nie musiałam. Dlatego szukaj sobie sam tej swojej chaty. Ja wracam.

Olga odwróciła się na pięcie i ruszyła z impetem przed siebie. Była pewna, że Adam pójdzie za nią. Nie myliła się. Już po chwili usłyszała jego przyśpieszony oddech.

– Ależ ty jesteś uparta – wysapał – dobrze, wrócę z tobą, a jutro przyjdę tu sam.

Szli potykając się o wystające korzenie. Dzień skończył się nadszpiewanie szybko. Na miejsce słońca wytoczył się księżyc, ukazując co jakiś czas swoją srebrzystą twarz między konarami drzew. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Niestety końca lasu wciąż nie było widać. W pewnym momencie Olga osunęła się na wilgotną ziemię.

– Rób, co chcesz. Dalej nie dam rady – jęknęła.

Adam przystanął i bezradnie patrzył na kupkę nieszczęścia, jakie w tej chwili przedstawiała sobą Olga. Czuł się winny, nie miał jednak innego pomysłu na spędzenie reszty nocy niż dalsza wędrówka. Przykucnął i odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

– Olga, proszę... jeszcze trochę. Zaraz na pewno dotrzemy do skraju lasu. Znajdziemy jakiś kąt i przenocujemy. Nie możemy przesiedzieć tu reszty nocy. Wstań, proszę.

Podniosła się z ociąganiem, ale nie puściła już ręki, którą podał, by pomóc jej dźwignąć się z ziemi. Wyszli na polanę porośniętą leśną trawą i kilkoma młodymi sosnami.

– Stój! – szepnął nagle ściskając jej dłoń – Tam, patrz!

Wyteżyła wzrok. Przed nimi między drzewami majaczyła ciemna plama. Dopiero teraz dostrzegła zarys pochylonego płotu wyzierającego spośród wysokich zarośli. Dalej stała chata.

– Adam, czy to jest to miejsce? – zapytała szeptem, jakby bała się własnego głosu.

– Tak. To ten dom. – odpowiedział krótko.

– Nie wejdę tam. Za nic! – powiedziała szczękając zębami.

– To zostań. Odłożę tylko pamiętnik i wrócę.

– Nigdy! – Złapała go kurczowo za rękaw i przyssała się jak pijawka. – Ona może tu przyjść. Albo ten zwariowany księżulo!

– Nie bądź głupia. Nikt tu nie przyjdzie. Zaczekaj, za chwilę wrócę.

– O nie! Idę z tobą – zdecydowała, trzęsąc się jak w febrze.

Adam wy dobył latarkę i poświecił na drzwi. Skobel z gwoźdźcia tkwił na swoim miejscu. Wyjął go i położył dłoń na klamce. Serce tłukło mocno, musiał wziąć głęboki oddech, by je nieco uspokoić. Przyczepiona do jego rękawa Olga miała oczy jak dwa młyńskie koła. Nagle puściła go i błyskawicznie zasłoniła drzwi plecami, rozpościerając szeroko ramiona.

– Nie wejdiesz tam – zasyczała złowieszczo – musisz przeczytać to do końca. Musisz spełnić jej żądania! Inaczej ani ona, ani ty nie zaznacie spokoju!

– Zupełnie ci odbiło. To jakieś przesady. Odsuń się, chcę się tego pozbyć!

Odepchnął ją i szarpnął drzwi. Z wnętrza powiało stęchlizną. Adam skierował światło latarki do środka i obejrzał się za siebie. Olgi nie było.

Wszedł do izby. Przytrzymał latarkę zębami i trzęsącymi się z emocji rękami przysypał odłożony pamiętnik resztkami kruszącego się bukietu leśnych kwiatków. Wycofał się pośpiesznie, potrącając nogą jedną z leżących lalek. Przez cały czas bezwiednie wstrzymywał oddech, by nie spłoszyć tajemniczej energii tego domu. Odetchnął dopiero za zamkniętymi drzwiami, zatykając skobel. Rozejrzał się za Olgą.

– Olga! – zawołał, a echo uniosło się między drzewami i pofrunęło do nieba.

– Olga! – krzyknął ponownie i znieruchomiał nasłuchując.

– Nie drzyj się tak, tu jestem – odpowiedziała po chwili.

Dopiero teraz ujrzał jej sylwetkę skuloną pod drzewem. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że dygocze z zimna i ze strachu.

– Zniknęłaś tak nagle... – powiedział z wyrzutem.

– Bałam się. Nie wiedziałam, co może być w środku. Wyobraziałam sobie zjawę Magdaleny, jak siedzi przy kołowrotku i przedzie ten swój len z upiornym

uśmiechem na twarzy. I tę małą... jak jej tam...

- Julianę – odpowiedział.
- No właśnie, Julianę bawiącą się strzępami szmacianych kukieł.
- Przestań, to okropne.
- Wiem, dlatego uciekłam. Ale teraz chcę tam wejść.
- Co takiego?! – zapytał z niedowierzaniem.
- Chcę tam wejść – powtórzyła.
- Proszę – powiedział podając jej latarkę. – Ja nie pójdę.

Odwrócił się do niej plecami, pogwizdując z cicha. Był pewien, że stchórzy i zrezygnuje z absurdalnego pomysłu. Nie stchórzyła. Poszła w kierunku chaty zdecydowanym krokiem. Po chwili dostrzegł snop światła i usłyszał skrzypienie drzwi. Przez chwilę wahał się, czy nie dotrzymać jej towarzystwa. Ale nie zrobił tego. Czekał cierpliwie. Wróciła po chwili, która wydała mu się wiecznością.

- Zadowolona? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Zarzuciła plecak na ramię i ruszyła przed siebie. Kluczyli po lesie prawie nie rozmawiając ze sobą. Świtało już, gdy dotarli do jakiejś piaszczystej drogi. Na pewno nie było to miejsce, z którego rozpoczęli swoją wędrówkę. Nad łąkami po drugiej stronie drogi unosiła się gęsta mgła.

- Dokąd teraz? – Olga zatrzymała się i wbiła wzrok w Adama.

– Przed siebie – odparł – ta droga musi gdzieś prowadzić. Pewnie dotrzemy do jakiejś wsi.

Olga słała się na nogach, wiedziała jednak, że musi wykrzesać z siebie jeszcze trochę sił. Droga ciągnęła się skrajem lasu i pól. Przed sobą dostrzegli pierwsze zabudowania, które ucieszyły ich jak wyspa na środku oceanu. Automatycznie przyśpieszyli kroku. Była to niewielka wieś, przypuszczalnie po drugiej stronie lasu. Minęli kilka domów i jedyny, zamknięty jeszcze sklepik. Postanowili poczekać godzinę do jego otwarcia, by kupić coś do jedzenia. Usiedli na schodkach i przytulili się do siebie dygocząc z zimna.

– Halo! Też sobie miejsce do spania znaleźli! Przesuńcie się, muszę sklep otworzyć! – usłyszeli nad głowami skrzekliwy kobiecy głos.

– Przepraszamy – wymamrotał Adam. Nawet nie wiedział, kiedy zmorzył ich sen. – Chcieliśmy kupić chleb.

– Dostawy jeszcze nie było. Zaraz samochód z miasteczka przyjedzie, to wam sprzedam. – Kobieta przyglądała się im ciekawie. – Z daleka tak idziecie?

– Zabłądziliśmy w lesie – odparła Olga wymijająco. – Jak możemy się stąd wydostać?

– Autobus dwa razy przyjeżdża. O, tam jest przystanek – wskazała ruchem głowy. – Za jakieś pół godziny będzie.

Na szczęście w tym czasie dotarł chleb. Był gorący, z chrupiącą apetyczną skórką. Poprosili jeszcze o maślanek i wyszli ze sklepu. Śniadanie jedli idąc na

przystanek. Po drodze mijali niewielkie podwórka, na których kury grzebały w zakurzonym, siwym piasku. Gdzieś tam czekał pies, żałośnie beczały owce. Wszystko to słyszeli jak z innego świata. Byli zmęczeni i droga na przystanek dłużyła się im w nieskończoność. Autobus spóźniał się, więc i Olga zaczęła tracić cierpliwość. Nagle przed nimi zatrzymał się samochód, który przywiózł do sklepu chleb. Kierowca uchylił okienko.

– Podrzucić was do miasteczka? – zapytał.

Wsiedli ochoczo. W kabinie było ciepło i przytulnie. Niemał natychmiast zapadli w drzemkę.

– Niezbyt rozmowne z was towarzystwo – powiedział z uśmiechem kierowca, gdy dotarli na miejsce.

– Nie spaliśmy całą noc. Błądziliśmy po lesie – wyjaśnił Adam.

Kierowca pokiwał ze zrozumieniem głową, pomachał im na pożegnanie i ruszył przed siebie.

– Idziemy na stację – powiedział Adam, skinął na Olgę i zarzucił plecak na ramię.



Adam wyciągnął się na tapczanie i założył ręce pod głowę. Miał uczucie, jakby pozbył się toczącego od środka robaka. Niby już go nie było, ale zdążył wyźłobić głębokie korytarze, których nie sposób niczym wypełnić. Starał się nie myśleć o troskach Magdaleny i dalszych jej losach. Od pozostawienia pamiątnika minął tydzień i Adam powoli wracał do równowagi psychicznej. Olga nie odzywała się, lecz wcale za nią nie tęsknił. Postanowił zająć się studiami i pracą dyplomową. Wciąż nie miał pomysłu na jej napisanie i ten fakt spędzał mu sen z powiek.

Było piątkowe popołudnie i Adam właśnie zastanawiał się, czy skorzystać z zaproszenia Maksa na spotkanie w pubie, gdy zadzwonił telefon. Podniósł go leniwie i zerknął na wyświetlacz. Numer był nieznanym.

– Cześć – usłyszał znajomy głos w słuchawce.
– Magdalena? – zapytał z wahaniem.
– Magdalena? – Dziewczyna roześmiała się. – Skąd taki pomysł?
– Przedstawiłaś się w ten sposób – bąknął zbity z tropu.
– Przedstawiłam ci się? Zupełnie sobie nie przypominam...
– Nie pamiętasz? Na peronie, w Przemyślu.
– Nigdy nie byłam w Przemyślu.
– Ależ na pewno to byłaś ty! Poznałem cię od razu. Śpieszyłaś się. Zapytałem cię o imię, odwróciłaś głowę, krzyknęłaś „Magdalena!” i zniknęłaś w tłumie.

– Śniło ci się – skwitowała ze śmiechem.

– Być może – odpowiedział bez przekonania.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

– Nazywają mnie Toffi – dodała po chwili.

– Toffi? – zdziwił się – to jak cukierek.

– Tak, bardzo słodki cukierek. Nie każdy go lubi.

– A ciebie? – zapytał.

Zignorowała pytanie.

– Nie pytasz, dlaczego dzwonię?

– Mam nadzieję, że sama mi powiesz.

– Chcę cię gdzieś zaprosić.

– Zaprosić? Mam przyjechać do Warszawy? Dokąd chcesz mnie zaprosić? –

pytał podekscytowany.

– Do biblioteki.

– Do biblioteki? – zdumiał się.

– Tak, do czytelnicy.

– Chętnie się z tobą zobaczę, nawet w czytelnicy. Choć wolałbym zaprosić cię do...

– Mnie tam nie będzie. To zaproszenie dla ciebie.

– Nie rozumiem.

– Wielu jeszcze rzeczy nie zrozumiesz, zanim zrozumiesz wszystko. Zresztą to nie ja cię zapraszam. Odszukaj filię Biblioteki Głównej nr 32. Powiedz, że rozmawiałeś z Toffi. To wystarczy. Zadzwoń za jakiś czas. Powodzenia.

– Zaczekaj! – zawołał. – Nie przedstawiłem ci się. Mam na imię Adam.

– Nie bądź śmieszny. Wiem – odpowiedziała i rozłączyła się.

Adam długo patrzył na milczący aparat, zanim odłożył go na stolik. Ta rozmowa zupełnie wytrąciła go z równowagi. I jeszcze to imię: Toffi.

Do biblioteki wybrał się w poniedziałek po zajęciach. Tuż przed progiem przyszło mu do głowy, że Toffi wszystko to wymyśliła, by zażartować sobie z niego. Wydawała mu się trochę nieobliczalna. Pchnął jednak drzwi i z determinacją wszedł do środka. Odnalazł czytelnicy i tam skierował kroki.

– W czym mogę pomóc? – zapytała dziewczyna o kruczoczarnych włosach.

– Rozmawiałem z Toffi – powiedział wbijając w nią wyzywające spojrzenie.

Był przygotowany na wszystko. Ale ona przyjrzała mu się uważnie i odłożyła trzymaną w rękę książkę.

– Chwileczkę – powiedziała znikając za regałami.

Stał rozglądając się po wnętrzu czytelnicy. Zza regału dobiegły go szepty i po chwili ujrzał starszą siwą panią z miłym uśmiechem.

– Przysyła pana Toffi? – upewniła się.

– Tak. Rozmawiałem z nią – powiedział.

Wszystko to wydawało mu się bardzo tajemnicze. Może nawet konspiracyjne. Poczł się jak agent tajnej misji.

– Zapraszam – skinęła ręką siwowłosa pani.

Ruszył za nią coraz bardziej zaintrygowany. Zatrzymała się przy regale archiwalnym, na którym zgromadzone były tygodniki.

– Rok 1950. To pana zainteresuje. Wcześniejszych informacji niestety nie mamy – powiedziała podając mu gruby segregator, po czym oddaliła się do swoich zajęć.

Rozejrzał się za wygodnym i w miarę ustronnym miejscem. Dziewczyna z czarnymi włosami zerknęła na niego znad okularów. Poczł się nieswojo, zwłaszcza że nie miał pojęcia, czego ma szukać w opasłym segregatorze. Usiadł przy niewielkim stoliku i otworzył pierwszy tygodnik. Przeliczył strony. Było ich

pięćdziesiąt osiem. Dwanaście miesięcy razy cztery tygodnie pomnożone przez pięćdziesiąt osiem stron – przekalkulował i wyszło mu, że ma do przeczytania 2784 strony! Dopiero wtedy dowie się, czego szuka. Wziął głęboki oddech i zatopił się w lekturze. Najpierw bardzo uważnie przeglądał każdy artykuł, potem czytał już tylko nagłówki. Nic godnego uwagi go nie zatrzymało. Powoli zaczął odczuwać znużenie, a po pewnym czasie zniecierpliwienie. Przy jednym z czerwcowych numerów ziewnął i spłoszony zerknął na czarnowłosą dziewczynę. Nie chciał okazać się ignorantem, gdy nawet pracownice biblioteki były zaangażowane w coś, co Toffi uznała za ważne dla niego. Dziewczyna jednak, zagłębiając się w jednym z katalogów, nie zwracała na niego uwagi. Nagle coś znajomego rzuciło mu się w oczy. Było to imię. Przetarł zmęczone oczy i pochylił się nad artykułem. „Wielkie tajemnice małej Juliany” – przeczytał. Chrząknął i przysunął krzesło bliżej stolika. Zaszurało, a młoda dziewczyna podniosła na niego oczy pełne nagany. Przebiegł wzrokiem tekst, następnie przeczytał go bardzo uważnie.

Jedenastoletnia dziewczynka została znaleziona na krakowskim Rynku. Była głodna i wycieńczona. Dowiedzieliśmy się, że wędruje z bardzo daleka w poszukiwaniu ojca. Nie chciała podać miejsca zamieszkania. Nie powiedziała też, gdzie przebywa jej matka lub ktokolwiek z rodziny. Przekazaliśmy ją w ręce kierowniczkę ochronki. Tam otrzymała ciepły posiłek i nową odzież. Niestety gdy na chwilę dorośli pozostawili ją samą, zniknęła. Nikt nie wie, gdzie się teraz znajduje. Dziecko jest poszukiwane, ponieważ nie posiada opiekunów ani środków do życia. Dziewczynka ma ciemne, długie włosy i jest ubrana w białą sukienkę w drobne niebieskie kwiatki. Na imię ma Juliana. Jeśli ktoś...

Adam wyjął telefon komórkowy i zrobił zdjęcie artykułu. Nie zastanawiał się, po co to robi. Nie chciał mieć przecież nic wspólnego z Magdaleną i jej córką. Już nie. Poza tym nie wiedział, czy artykuł dotyczy TEJ Juliany. Złożył tygodniki, zamknął segregator i położył go na biurku dziewczyny.

– Znalazł pan to, czego szukał? – zapytała z uprzejmym uśmiechem.

– Tak, chyba tak. Dziękuję – odpowiedział i pełen mieszanych uczuć opuścił bibliotekę.

I po co mi to wszystko? – myślał idąc szybkim krokiem w kierunku przystanku tramwajowego. – Nie chcę więcej się tym zajmować. Nie obchodzi mnie to. Po co ona do mnie zadzwoniła, ta cała Toffi? Kopnął z pasją leżący na chodniku kamyk i widząc nadjeżdżający tramwaj przyśpieszył kroku.

W domu nie było nikogo. Adam zamknął się w swoim pokoju i sięgnął automatycznie do szuflady. Nie było tam jednak pamiętnika, którego bezwiednie szukał. Boże – pomyślał – jak długo będzie mnie to prześladować? Nie chcę o tym myśleć! Nie mógł jednak uwolnić się od uporczywych powrotów do chaty Magdaleny. Na kartce wyrwanej z notatnika zapisał datę narodzin Juliany. Zapamiętał, że był to październik 1939 roku. Tuż po wybuchu wojny. Tak, to by

się zgadzało. W 1950 roku Juliana kończyła jedenaście lat. Mogła być tą zaginioną dziewczynką. Co robiła w Krakowie? Dlaczego poszukiwała Piotra? Co stało się z Magdaleną? Zasnął z głową pełną pytań bez odpowiedzi. Noc była koszmarna. Śniły mu się lalki. Szmaciane lalki z guzikowymi oczami rozłazące się po mrocznym domu pełnym Piotrów i Magdalen z równie pustymi oczami. Obudził się w środku nocy zlany potem. Muszę tam wrócić – postanowił. – Muszę zabrać pamiętnik, przeczytać go do końca i odnaleźć córkę Magdaleny. Córkę albo jej grób. Inaczej nie zaznam spokoju. Z tą myślą zasnął i reszta nocy upłynęła mu bez koszmarów.

Podróż zaplanował na kolejny weekend. Próbował skontaktować się z Olgą, by mu towarzyszyła, niestety wciąż nie odbierała telefonu. Od koleżanki dowiedział się, że zajęta jest jakąś nową miłością, dał więc jej spokój. W piątek przygotował się do podróży. Pamiętając, że dni są coraz chłodniejsze, postanowił zabrać cieplejszą odzież. Nie zapomniał też o prowiancie. Zastanawiał się, czy kolejne poszukiwanie chaty sprawi mu taki sam kłopot, jak ostatnio, poczuł się też nieswojo na myśl o samotnym przekroczeniu jej progu.

Budzik był głośny i natarczywy. Jesienny poranek wstał pochmurny, zbierało się na deszcz. Adam wtulił twarz w poduszkę i naciągnął kołdrę. Nie miał ochoty wstawać i przez chwilę wahał się, czy nie odłożyć podróży, jednak perspektywa przeżywania każdego następnego dnia z duchem Magdaleny u boku zmobilizowała go do działania. Chłodny prysznic spędził z powiek resztkę snu. Wszedł cicho, nie budząc rodziców. Siedząc w pociągu docenił poprzednie towarzystwo Olgi i teraz dużo dałby za jej paplaninę. Przedział był prawie pusty; oprócz niego znajdowały się tam dwie kobiety, które rozmawiały półgłosem. Adam zapatrzył się w okno. Deszcz rozpadał się na dobre, zalewał szybę nieregularnymi strugami. Krajobrazy były zniekształcone i zamazane. Okrył się kurtką, głowę wsparł o zagłówek i zapadł w drzemkę. Obudził go ruch w przedziale i na korytarzu. Otworzył okno i wychylił się, by odczytać nazwę stacji, na której zatrzymał się pociąg. Ze zdumieniem stwierdził, że jest u celu.

Znajoma wieś przywitała go ulewą. Buty rozjeżdżały się na błotnistej drodze. Naciągnął kaptur i zapiął szczelniej kurtkę. Był zły na siebie, że uległ własnym sugestiom, dał się ponieść wyobraźni. Wystarczyło siłą woli odsunąć uporczywe myśli i obrazy, znaleźć sobie zajęcie absorbujące umysł tak, by nie było w nim miejsca dla Magdaleny.

Wszedł do lasu. Na początku rozpoznawał nawet znajome drzewa. Jednak im głębiej wchodził w las, tym bardziej gubił liczne ścieżki wydeptane przez miejscowych grzybiarzy. Potem ścieżek było coraz mniej, aż znikły zupełnie. Przystanął i rozejrzał się dokoła. Deszcz szemrał uderzając o liście. Nagle usłyszał głosy, oddalone na tyle, że nie rozróżniał słów, jednak był przekonany, że należą do większej grupy ludzi. Czterech mężczyzn nie zauważywszy go, przeszło kilka

metrów dalej i zniknęło w zaroślach. Być może byli to turyści lub mieszkańcy jednej z okolicznych wiosek, którzy skracali sobie drogę przez las. Po raz pierwszy w tej głuszy Adamowi zdarzyło się kogoś spotkać. Poprawił plecak i energicznie ruszył w przeciwnym kierunku. Próbował skoncentrować się na drodze, przypomnieć sobie jakieś szczegóły. Niestety wszystko tu wyglądało podobnie, zlewało się w jedną zieloną masę. Kluczył między drzewami, tracąc nadzieję, że kiedykolwiek dotrze do celu.

Chata zjawiała się nieoczekiwanie. Wysunęła się spoza drzew ciemną plamą ściany. Adam zauważył, że trawa w okolicy domu była nieco zgnieciona, co go zaniepokoiło. Mogła jednak ugiąć się pod ciężkimi kroplami deszczu lub krokami zwierząt. Gwóźdź w drzwiach tkwił na swoim miejscu, choć na dobrą sprawę trudno było zatknąć go inaczej. Adam nie potrafił jednoznacznie stwierdzić tu czyjejs obecności. Stał teraz przed drzwiami oddychając głęboko. Wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Szmer deszczu zmienił się w czyjeś kroki, a swój własny oddech usłyszał tuż nad uchem. Wzdrygnął się i z trwogą obejrzał przez ramię, nikogo jednak nie było. Zdecydowanym ruchem usunął skobel i otworzył drzwi. Powiało znajomą wonią stęchłego wnętrza. Zajrzał do izby i serce podeszło mu do gardła. Dziennika Magdaleny nie było. Nie patrzył na nic więcej. Wybiegł nie zamykając za sobą drzwi i pędził przed siebie nie zastanawiając się nad kierunkiem ucieczki. Zatrzymał się dopiero przy sośnie w kształcie litery „s”. Pod nią leżał rozmiękły od wilgoci stary bilet kolejowy Olgi. Oparł czoło o mokrą korę drzewa, z trudem łapiąc powietrze. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że zostawił otwarte na oścież drzwi. Wiedział, że musi tam wrócić, by zabezpieczyć je skoblem. Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Z chaty wiało tajemnicą i śmiercią. Coś nieokreślonego kazało mu rozwikłać dalsze zagadkowe losy mieszkańców, a bez dziennika Magdaleny nie było to możliwe. Z ociąganiem się ruszył z powrotem do chaty. Włos jeżył mu się na głowie na myśl, że ktoś tam jest i zamknie drzwi w tym czasie, chichocząc z upiornego żartu. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Ciszę zakłócały tylko jego kroki i szelest trącanych kroplami deszczu liści. Podeszedł blisko i pchnął drzwi tak mocno, że aż jęknęły. Poszukał wzrokiem gwoździa. Nigdzie go nie było i nie mógł przypomnieć sobie, co z nim zrobił. Czyżby zostawił go w chacie? Nie, niczego przecież nie dotykał. Wybiegł natychmiast, gdy stwierdził brak pamiętnika. A może wydawało mu się tylko? Może pamiętnik leży na swoim miejscu i czeka na niego? Położył dłoń na zimnej kłamce i zacisnął zęby. Dobrze, wejdzie tam. Ostatni raz. Żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości. Żeby wiedzieć.

W izbie panował mrok. Suche resztki wypłowiałych kwiatków walały się po skrzyni i podłodze. Dziennik zniknął, prócz tego nic się nie zmieniło. Leżące w uporządkowanym szeregu lalki patrzyły bezmyślnie w sufit. Nagle jakiś szczegół przykuł uwagę Adama. Pamiętał, że ubiegłym razem jedną z lalek potracił butem,

przesuwając w kierunku wyjścia. Teraz leżały równo. Przeróżająco równo.

Kiedy Adam usiadł ponownie w pociągu, był późny wieczór. Czekają go kilka godzin podróży, które postanowił przeznaczyć na myślenie. A było o czym. Przede wszystkim w czyich rękach jest teraz pamiętnik? Kim jest tajemnicza Toffi i skąd zna dalszą część życia Magdaleny i Juliany? Czy fakt, że spotkał Toffi na swojej drodze, to przypadek? Adam nie potrafił znaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań. Do głowy wpadł mu za to nowy pomysł. Ponieważ dotąd nie określił tematu pracy dyplomowej, przedmiotem jego badań i poszukiwań stanie się Juliana, córka Magdaleny, na tle wydarzeń historycznych Polski. Musi się tylko dowiedzieć, czy ona tę wojnę przeżyła.



Promotor początkowo kręcił nosem na pomysł swojego studenta. Adam zdołał go jednak przekonać samą formą poszukiwań, w którą siłą rzeczy musiały wpłatać się historyczne fakty na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Z pierwszym rozdziałem nie miał żadnych problemów. Opierając się na literaturze przedstawił wątki historyczne prowadzące do II wojny światowej, jej przebieg i zakończenie. Dużo uwagi poświęcił bieszczadzkiemu Bojkom i bestialskim zbrodniom z rąk Ukraińskiej Powstańczej Armii. W drugim rozdziale miał się skupić na losach rodziny Magdaleny. I tu utknął. Nie mając dziennika nie mógł jednoznacznie stwierdzić, że Juliana wraz z Magdaleną przetrwały tę zawieruchę, i nie wiedział, czy tak naprawdę ma jeszcze kogo szukać. Siedząc na szerokim parapecie okna uczelni popijał czarną kawę z automatu i zastanawiał się nad zmianą tematu. Tak zastała go Olga.

– Adam? – przystanęła zaskoczona.

– A cóż się tak dziwisz? Przecież jeszcze studiuje – mruknął.

– Duchy odpuściły? – zapytała przyglądając mu się z uśmiechem.

– Dzwoniłem do ciebie – zignorował pytanie. – Dwa tygodnie temu. Nie odbierałaś.

– Nie miałam nastroju. To było coś ważnego?

– Nawet jeśli tak, dziś już nieaktualne. Chciałem zaprosić cię na wycieczkę.

Ale pojechałem sam.

– Dokąd tym razem? – Przekrzywiła figlarnie głowę i patrzyła na niego z iskierkami w oczach.

– Tam – odpowiedział krótko.

Olga natychmiast spoważniała.

– Pojechałeś tam znowu? Po co? – zapytała.

– Po dziennik – odparł.

– Po dziennik? Zateśniłeś za Magdaleną czy brakuje ci wrażeń? – roześmiała się.

Adam nie miał nastroju do śmiechu.

– Olga, tam nie było dziennika – powiedział rozdrażniony. – Ktoś go zabrał!

– Wiem – powiedziała, nie przestając się śmiać.

– Jak to wiesz? – zdumiał się.

– To moja sprawa. Wzięłam go, kiedy tam weszłam. Pamiętasz? I jeszcze

musiałam poukładać porozrzucane lalki. Przeczytałam go od deski do deski i nikt mnie nie straszył.

– Ty masz ten dziennik?! Cholera, gdybyś wtedy odebrała telefon... Jak mogłaś go zabrać nie mówiąc mi o tym?!

– Dziennik nie jest twoją własnością. Dlaczego miałabym mówić ci o tym? Prawdopodobnie nie zgodziłbyś się na to, bym go wzięła, a ja byłam ciekawa losów Magdaleny. Zresztą dlatego właśnie, że go czytałam, nie miałam nastroju do kontaktu z kimkolwiek.

– Olga, oddaj mi ten pamiętnik. Muszę odnaleźć ślady Magdaleny i Juliany. Piszę na ten temat pracę dyplomową.

– Odnaleźć ich ślady? Nie będzie ci łatwo. Ale jasne, oddam ci, jeśli chcesz. Może będziesz potrzebował pomocy, to...

– Dobrze, będę o tym pamiętał. Na razie muszę przeczytać dziennik do końca.

– Hm... Tam nie ma końca. Zresztą sam zobaczysz. Dziennik podrzucę ci wieczorem – powiedziała Olga zerkając na zegarek – teraz muszę lecieć, mam wykład.

Adam dopił zimną kawę i zeskoczył z parapetu. Miał mieszane uczucia. Z jednej strony była to ulga, że zguba się znalazła, z drugiej zaś czuł się tak, jakby intruz wtargnął w jego prywatność, odkrył sekret lub sprofanował świętość. Stwierdził też ponad wszelką wątpliwość, że nie lubi Olgi.

Wieczorem, jak obiecała, dostarczyła dziennik. Na szczęście śpieszyła się i Adam nie musiał proponować jej herbaty i zabawić rozmową. Kiedy wyszła, wziął do ręki stary, gruby zeszyt. Serce zabiło mocniej, gdy przeciągał palcami po zniszczonej, pożółkłej okładce. Zanim otworzył dziennik, przyrzekł sobie, że zdystansuje się do wszystkiego, co spotkało Magdaleny, i do niej samej. Postanowił czytać jej zapiski z pozycji historyka, badacza, nie bezpośredniego świadka, a nawet uczestnika jej przeżyć. Otworzył zeszyt i odszukał stronę, na której rozstał się z Magdaleną.

17 października 1945 r.

Nie wiem, co dzieje się poza lasem, gdzie mieszkam. Ba, nie wiem nawet, co dzieje się poza chatą, po której kręcę się na niezgrabnym wózku. Nogi nie są w stanie przenieść mnie tam, gdzie chciałabym się znaleźć. A ja pragnę, boleśnie pragnę wrócić do Konstancina, do rodziców, którzy, mam nadzieję, przetrwali wojnę. Dla mnie wojna dopiero się zaczyna. Nierówna walka z przeciwnościami losu o przetrwanie. Ja, drobna, okaleczona kobieta z dzieckiem przytroczonym do spódnicy, muszę stawić czoła wszystkiemu, co jest niezbędne do życia. Boję się, że nie dam rady. Juliana jest dzielna, ale to tylko mała dziewczynka i o tym wciąż muszę pamiętać, by nie obarczać jej obowiązkami ponad siły. A przecież to na jej pracy oparta jest nasza egzystencja. Od odejścia Ivana minął prawie miesiąc

i moja córka w tym czasie musiała nauczyć się wielu rzeczy. Ja również musiałam się czegoś nauczyć: zaufania, że da sobie radę.

Staram się mówić do niej rzeczowo, choć serce mi pęka, gdy nosi po trzy szczapki drewna na opał, rozwiesza mokrą bieliznę stojąc na chwiejącym się stołeczku, żeby dosięgnąć do sznurka, dźwiga cebrzyk wypełniony do połowy wodą, której wystarcza zaledwie na tyle, by ugasić pragnienie czy ugotować zupę. Myjemy się skromnie, czasami jednak trzeba zrobić przepierkę i Juliana biega po kilkanaście razy przez całe podwórko. Przynosi czystą i wynosi brudną wodę, kiedy ja piorę pościel i ubrania ustawivszy miednicę na stole. Najbardziej cieszy się Popiół, ganiając za swoją małą panią tam i z powrotem. Intuicyjnie wyczuł, że to ona jest teraz gospodynią i słucha jej bardziej niż mnie. Jest nam trudno, ale staramy się nie narzekać. Tak postanowiłyśmy. Dziś jednak zdarzyło się coś, co ograniczyło ślepą wiarę w rozsądek Juliany.

– Skończyła się woda – powiedziałam obierając marchewkę.

Oszczędzając inne warzywa, teraz codziennie jadłyśmy gotowaną marchew, której miałyśmy pod dostatkiem. Juliana posłusznie przerwała liczenie uzbieranych wczoraj szyszek, wzięła cebrzyk i cmokając na psa, wyszła na podwórko. Po pewnym czasie stwierdziłam, że nie ma jej dłużej niż zwykle. Mój niepokój wzrósł, gdy usłyszałam szczekanie psa. Ujadał tak zażarcie, że postanowiłam wyjrzeć na podwórko, by zobaczyć, co się dzieje. Na podwórku nie było Juliany, a pies biegał dookoła studni szczekając i skamląc na przemian. Skóra ścierpła mi na plecach. Jeśli pies kręci się wokół studni, przy której nie ma dziewczynki, to oznacza tylko jedno – dziecko do niej wpadło!

– Jezus, Maria! – krzyknęłam i całą mocą zakręciłam kołami wózka. Ruszył, ale zaklinował się w drzwiach i utknął tam na dobre.

– Ratunku! Ratunku! – wołałam szarpiąc się z wózkiem, który nie chciał drgnąć w żadną stronę. – Ratunku! Boże, moje dziecko! Juliana! – krzyczałam na całe gardło, wiedząc, że nikt mnie tu nie usłyszy.

Byłam sama, nawet Popiół nie przybiegł, jakby nie chciał opuścić topiącej się w studni przyjaciółki. Oparłam się rękami o framugę i odepchnęłam z całych sił do tyłu. Wózek wyskoczył jak z kleszczy i potoczył się pod przeciwległą ścianę. Ponowiłam próbę przedostania się na podwórko. Tym razem udało się. Popychając nerwowo koła wózka, dojechałam do miejsca tragedii. Niestety nie mogłam zajrzeć do studni, wózek był za niski. Łańcuch z cebrzykiem wpuszczony był do środka. Z trudem chwyciłam kołowrotek i zaczęłam kręcić korbą, przekładając ją z jednej ręki do drugiej. Poczulałam duży opór.

– Juliana! – wołałam z rozpaczą – złap łańcuch! Trzymaj się mocno! Wyciągnę cię! Trzymaj się, kochanie! – krzyczałam w kierunku studni, nie wiedząc, czy moja córka nie spoczywa martwa na dnie.

Kręciłam korbą z wysiłkiem. Najtrudniej było, gdy znalazła się na samej

górze – wtedy sięgałam jej zaledwie końcami palców. W pewnej chwili wymknęła mi się, a ciężar cebrzyka pociągnął łańcuch z powrotem w głąb.

– Juliana! Trzymaj się! Trzymaj! – krzyczałam histerycznie, ponawiając próbę, Traciłam nadzieję, że uda mi się uratować dziecko, ale strach, niemożliwy do opisania, zmuszał mnie do nadludzkiego wysiłku.

– Juliana, odezwij się! – szlochałam. – Błagam, odezwij się do mnie!

– Co się stało, mamusiu? – usłyszałam ją nagle za plecami i aż podskoczyłam z wrażenia.

Obejrzałam się gwałtownie, a widząc córkę całą i zdrową, zaczęłam dygotać jak w febrze. Nie mogłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Poruszając wargami bezgłośnie wymawiałam jej imię. Wyciągnęłam do niej ramiona, a ona przyłgnęła do mnie, choć nie rozumiała mojego przerażenia. W tym geście razem z nią zamknęłam rozpacz i cierpienie, które jeszcze mnie nie opuściły, oraz całą ogromną radość z odzyskania dziecka. Wszystkie te uczucia wylewałam ze łzami na drobne plecki córeczki, które niejeden ciężar już dźwigały.

Musiały ścierpnąć jej nogi od długiego stania w niewygodnej pozycji, nie wrywała się jednak, nie chcąc widocznie sprawić mi przykrości. Poruszyła się tylko i westchnęła głęboko. Wtedy dopiero ją puściłam.

– Gdzie byłaś, Juliano? – zapytałam nie swoim, zachrypłym od krzyku głosem,

– W lesie – odparła niepewnie. Wiedziała, że nie pozwalam jej oddalać się od domu.

– Po co tam poszłaś? Przecież zabroniłam ci. Nie pamiętasz?

– Pamiętam, mamusiu. Ale czerpałam wodę i zobaczyłam za płotem sarenkę. Nie mogła biec, bo miała splątane czymś nogi, a Popiół chciał się na nią rzucić. Nakrzyczałam na niego i zabroniłam mu ruszać się stąd, sama pobiegłam za nią, żeby ją uwolnić. Przestraszyła się i zaczęła skakać jak zajęc, nie mogłam jej dogonić. Ale udało mi się! Wiesz, mamusiu, uratowałam sarenkę!

Patrzyłam na tę małą dziewczynkę z wielkim sercem, umorusaną buzią i splątanymi włosami pełnymi liści oraz igliwia i nie potrafiłam udzielić jej reprimendy za samowolne pójście do lasu.

1 listopada 1945 r.

Dzisiaj po raz pierwszy wybrałam się do sadu, by odwiedzić Piotra. Pod śliwą był usypany niewielki kopczyk, w który Ivan wbił krzyż sklecony z dwóch grubych patyków. Teraz przekrzywiony nieco, sterczał smutno po jednej stronie wzgórk. Nie było nawet tabliczki informującej, kto spoczywa w tym miejscu. Postanowiłam znaleźć w drewnutni kawałek deseczki i wypalić na niej rozżarzoną gwoździem datę urodzin i śmierci oraz imię i nazwisko mojego męża. Zaraz jednak zreflektowałam się. Co będzie, jeśli trafi tu Juliana? Zna już literki i bez trudu przeczyta napis. Przeżyje szok i straci do mnie zaufanie, odkrywając, że

oszukiwałam ją tyle czasu. Może kiedy trochę podrośnie, odważę się powiedzieć jej o tym. Otarłam napływające do oczu łzy i pośpiesznie wróciłam do domu, by nie przylapała mnie nad grobem Piotra i nie zadawała niepotrzebnych pytań.

7 listopada 1945 r.

Boję się zimy. Wprawdzie śnieg jeszcze nie spadł, ale zrobiło się zimno i musimy codziennie palić w piecu, by ogrzać chatę. Przygotowane przez Ivana drewno topnieje w zastraszającym tempie. Muszę jednak wybierać między zmartwieniem o opał a chorobą Juliany lub moją. Z braku lekarstw i jakiegokolwiek pomocy nie możemy sobie pozwolić na chorowanie. Zamieram na każde kichnięcie córki, wciąż dotykam jej czoła, drżąc na wspomnienie czuwania przy łóżeczku rozgorączkowanego dziecka. Na szczęście Juliana jest silna i zahartowana, ale lepiej na zimne dmuchać. Martwię się też o własne zdrowie. Od pewnego czasu czuję, że coś ze mną jest nie tak. Po pamiętnym pobiciu przez bandytów odczuwam bóle w okolicy brzucha. Z niepokojem stwierdzam, że bóle nasilają się i coraz częściej nie chcą ustępować. Popijam różne ziołka, te jednak niewiele pomagają.

18 listopada 1945 r.

Spadł pierwszy śnieg. Juliana piszcziała z zachwyty i trudno było utrzymać ją w domu. Pilnowałam tylko, by nie przemoczyła butów. Owinęłam jej nogi grubą warstwą wełny i kazałam założyć moje buty. Są ogumione z zewnątrz i nie przepuszczają wilgoci. Wiem, że jej niewygodnie, ale mam pewność, że nie wróci z przemarzniętymi, mokrymi nogami. W południe zaświeciło słońce i ku rozczarowaniu Juliany stopiło tę niewielką warstwę świeżego puchu. Zrobiło się trochę cieplej, wybrałyśmy się więc na skraj lasu po chrust. W takie dni jak dzisiaj należy oszczędzać drewno. Juliana bardzo się starała wybierać co okazalsze gałązki. Chrust wiozłam na wózku, Juliana zaś zarzuciła sobie węzełek z mojej kraciastej chusty na plecy. Wysypałyśmy naszą zdobycz w drewutni.

– Mamusiu, możemy codziennie zbierać chrust. Nie będziesz martwiła się, że zmarzniemy zimą – powiedziała z zadowoleniem Juliana, patrząc na pokaźną stertę patyków.

– Szkoda, że wpadłyśmy na to tak późno – stwierdziłam i pokiwałam głową – niedługo śnieg wszystko przysypie.

– Popiół będzie odgarniał śnieg łapami – roześmiała się Juliana i rozejrzała dokoła. – A gdzie Popiół? – zapytała wybiegając z drewutni. – Popiół! Popiół! – usłyszałam po chwili jej wołanie.

Wyprowadziłam wózek i zamknęłam szopę. Juliana biegła wzdłuż płotu, wołała i pogwizdywała na przemian. Zauważyłam, że trzęsie jej się broda, co wróżyło rychły lament i fontanny łez. Pochłonięta zbieraniem chrustu zupełnie nie zauważyłam, kiedy pies zniknął. Teraz czułam się winna, że nie pilnowałam go w lesie.

– Chodź, Juliano – próbowałam namówić ją na powrót do domu. – Popiół

na pewno nie odbiegł daleko. Wróci, gdy zauważy naszą nieobecność – starałam się ją pocieszyć.

– A jeśli go zabiją? – szlochala wycierając nos w moją kraciastą chustę, z której przed chwilą wysypała chrust.

– Co ty opowiadasz? Kto niby miałby zabić naszego psa? – pytałam zdumiona.

– Ukraińcy! – krzyknęła i zacisnęła pięstki. – Oni wszystkich zabijają! – dodała, a jej oczy pociemniały z nienawiści.

– Kto ci takich rzeczy naopowiadał? – zapytałam zaskoczona tym, że śmierć z rąk człowieka nie jest jej obca. Temat, którego nie zamierzałam przy niej poruszać, nie był dla niej tajemnicą. Przez moment zastanowiłam się, co ona jeszcze wie i skóra ścierpła mi na plecach.

– Ivan. Ivan mi powiedział, że oni zabijają ludzi. I powiedział jeszcze, żebym zawsze uciekała, kiedy zobaczę obcych.

– Nie wszyscy obcy są źli – powiedziałam siląc się na spokój. Nie chciałam, żeby moje dziecko było dzikie i nieufne. Wystarczy, że mieszka na odludziu. – A Ivan... Ivan też jest Ukraińcem – dodałam.

– Ty też – oznajmiła krótko, patrząc na mnie wyzywająco.

– Co ty mówisz? – nie posiadałam się ze zdumienia. – Jestem Polką! Ty też jesteś Polką. Twój tata też był... jest Polakiem. Zapamiętaj to. Jesteśmy Polakami, rozumiesz? Polakami!

– Nieprawda! Ivan powiedział, że jesteś Ukrainką!

– Kiedy tak powiedział? – zapytałam słabym głosem, zła na Ivana, który dopuścił się kłamstwa wobec mojej córki.

– Wtedy... Wtedy, kiedy oni cię bili i kopali, a ty leżałaś na podłodze, Ivan zawołał, że jesteś Ukrainką.

A więc widziała to. Widziała okrucieństwo tamtych i moje cierpienie. Była świadkiem zła i zbrodni z rąk dwóch ukraińskich bandytów, przez co cały naród ukraiński będzie kojarzył się jej z oprawcami zadającymi śmierć.

– Posłuchaj Juliano... – Poszukałam jej zaciśniętej pięstki i przytuliłam ten kłębuszek cierpienia i nienawiści do chłodnego policzka. – Posłuchaj. Ivan musiał tak powiedzieć. Ci dwaj byli źli i nie lubili Polaków. Oni rzeczywiście ich zabijali. Jedyнным sposobem na to, żeby przestali mnie krzywdzić, było zapewnienie ich, że jestem Ukrainką, tak jak oni. Ale nie wszyscy są tacy. Widzisz, Ivan też jest Ukraińcem, ale jest dobry. Nie zabija ludzi.

– Zabija! – krzyknęła Juliana i tupnęła moim wielkim butem na drobnej nóżce.

– Nie opowiadaj takich rzeczy! Przypomnij sobie, ile zrobił dla nas dobrego. Choćby ten wózek...

– Zabija! – przerwała mi, a jej twarz poczerwieniała. – Ivan zabił tych

dwóch, którzy cię kopali!

– *Co?! – zapytałam głupio, nie wierząc własnym uszom. – Skąd o tym wiesz?*

– *Widziałam. Zrobił to w lesie. Nie wiedział, że patrzę. Zabił ich i wrzucił do dziury.*

– *Do jakiej dziury?*

– *W ogrodzie. Podniósł do góry klapę, na której rosła trawa, i tam ich wrzucił. Mamusiu, ale oni nie wyjdą, prawda? Nie przyjdą tutaj?*

Słowa Juliany zszokowały mnie. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Patrzyłam tylko szeroko otwartymi oczami na dziecko, którego nie znałam. Nie wiedziałam, ile tajemnic mieści się jeszcze w tej małej, kilkuletniej istotce, którą chroniałam przed najmniejszym przejawem przemocy. Była dojrzała i silniejsza, niż mi się wydawało. Na myśl o tym, że w ogrodzie, w miejscu, które pewnego wiosennego dnia chciał pokazać mi Piotr i które nie uszło uwadze Ivana, leżą mordercy mojego męża, zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. A więc pomścił nas. Ivan pomścił śmierć Piotra i moje cierpienie. Nie ma już Piotra, ale nie ma też jego oprawców.

– *Mamusiu – Juliana drżała na całym ciele – dlaczego nic nie mówisz? Czy oni wyszli z tej dziury i zabili Popioła?*

– *Nie, Julianko. Nie. Oni nigdy już stamtąd nie wyjdą – powiedziałam nie swoim głosem. Chodźmy do domu – dodałam.*

– *A Popiół? – wygięła buzię w podkówkę i już miała na nowo chlipnąć, gdy przy płocie pojawił się pies. Kręcił młynka ogonem, a w bardzo zadowolonym pysku trzymał sporego zająca.*

26 listopada 1945 r.

Dzisiaj zrobiłam przegląd zapasów w komorze. Znalazłam garnuszek miodu, spory zapas mąki, suszone grzyby i jagody, koszyk orzechów oraz trochę warzyw. Na szczęście wciąż mamy stały dopływ jajek oraz mleko, z którego robię masło i ser. Do wiosny jedzenia powinno nam wystarczyć. Potem trzeba będzie radzić sobie inaczej. Wiadomo, że pola pozostaną puste. Postaram się jednak o nowe kurczęta, a stare kury pójdą na rosół i mięso. Nauczę Julianę siać i pielic warzywa. Jeśli zbiory udadzą się, poradzimy sobie. Martwi mnie, że w końcu zabraknie mąki i nie będziemy miały chleba, który jest przecież podstawą. Tak, martwię się, chociaż coraz częściej myślę o opuszczeniu tego domu i powrocie do Konstancina. Niekiedy, szczególnie nocą, chęć ucieczki z miejsca, gdzie miało spotkać mnie szczęście, a spotkała tragedia, staje się obsesją. Leżę z otwartymi oczami, wsłuchana w równy oddech Juliany i obmyślam sposób wyrwania się z tej krainy umarłych, miejsca smutku i niepewności. Czas pokazać dziecku inny świat, pełen ludzi, sklepów, tętniący życiem, rozbrzmiewający śmiechem rówieśników. A nade wszystko podarować jej prawdziwą rodzinę i dom, w którym poczuje się

bezpiecznie. Czas wyrwać ją z samego serca lasu, gdzie jak dzikie zwierzątko wzrasta w towarzystwie drzew, kalekiej matki i psa. Wciąż jednak nie mam pomysłu na tę podróż na dziwnym wózku, bez pieniędzy, bez pewności, czy u jej kresu odnajdę to, za czym tak bardzo tęsknię. Nie mam przecież gwarancji, że moi rodzice przeżyli wojnę, że przetrwał dom z małym Stasiem i podśpiewującą Felisią.

2 grudnia 1945 r.

Zima zawitała na dobre. Juliana oswoiła się ze śniegiem i nie traktuje białego puchu jak szczególnej atrakcji. Dziewczynka chętniej przesiaduje w domu, blisko ciepłego pieca, nucąc kołysanki swoim lalkom. Ja natomiast wykorzystuję ten czas na kształcenie Juliany. Opowiadam o miejscach innych niż nie kończący się las, w którym przyszło nam spędzać życie.

Zarażiłam ją pragnieniem opuszczenia tego domu i odtąd obie snujemy marzenia o przyszłości, a pierwsze powiewy wiosny mają stać się początkiem podróży. Dzisiejszego ranka nadciągnęły sine, nabrzmiące śniegiem chmury, wróżące śnieżycę. Pomyślałam, że warto przygotować się na tyle, by podczas zawieruchy nie wychodzić z przytulnej, ogrzanej chaty.

– Juliano – powiedziałam – ubierz się ciepło. Przyniesiemy wodę i drewno, zbiera się na burzę śnieżną.

Od czasu gdy najadłam się strachu, nie pozwalam Julianie chodzić samej do studni. Jeżdżąc na wózku mogę wozić wypełnione po brzegi wiaderka, żeby wody starczyło nam na dłużej. Załadowałyśmy cały kosz drewna, Juliana pozbiierała jajka w kurniku, ja natomiast wydoiłam krowę i zabrałam do domu mleko. Sprawdziłam jeszcze, czy drzwi są dobrze zabezpieczone, by nie targał nimi nasilający się wiatr, a Juliana dorzuciła drewna do pieca. Teraz z uczuciem ulgi odwróciłam wózek w kierunku okna i zapatrzyłam się w tańczące na wietrze sosny. Niebo otworzyło się nagle i sypnęło gęstym, lepkiem śniegiem. Mimo wczesnej pory w chacie zrobiło się ciemno, ale nie zapalałam światła, ponieważ niewielką ilość świec i nafty trzymam na czarnej godzinę. Miałyśmy więc czas nieplanowanego lenistwa i Juliana poprosiła o bajkę.

– Bajkę? O czym mam ci opowiedzieć bajkę? – zapytałam.

– O twoim braciszku, Stasiu – poprosiła. – Mówiłaś, że jest tylko trochę starszy ode mnie. Opowiedz mi o nim.

– Opowiadanie o Stasiu jest prawdziwe. To nie bajka – zaprotestowałam.

– Mówiłaś, że to, co zmyślane, to bajki.

– Nie zmyśliłam Stasia! – oburzyłam się.

– Ale teraz będziesz zmyślać, bo nie wiesz, jaki jest. Wiesz tylko, jaki był – odpowiedziała rezolutnie.

– Dobrze. Opowiem ci – poddałam się. – Usiądź koło mnie na stołeczku. Możesz obserwować sypiący śnieg podczas słuchania bajki. To piękny widok. Płatki śniegu wyglądają jak maleńkie baletnice wirujące w powietrzu. Można sobie

wyobrazić...

- *Miało być o Stasiu – przerwała mi brutalnie i poprawiła się na stołeczku. Pomyślałam, że moja córka jest bardzo zasadnicza.*
- *Dawno temu w pięknym dużym domu, który stał w pięknym dużym ogrodzie, urodził się...*
- *Dziewięć lat – wtrąciła Juliana.*
- *Co dziewięć lat? – zapytałam zaskoczona.*
- *Nie dawno temu, tylko dziewięć lat temu. Staś ma teraz dziewięć lat – powiedziała rzeczowo Juliana, przeliczając coś na paluszkach.*
- *Wiem, że ma dziewięć lat, ale przecież miała być bajka, a bajki się zmyśla. Nie przerywaj mi tak ciągle, bo przestanę opowiadać – zbuntowałam się.*
- *Już nie będę. Opowiadaj – westchnęła.*
- *Dawno temu, w pięknym dużym domu urodził się maleńki chłopczyk, któremu rodzice dali na imię Staś. Chłopczyk rósł i rósł, aż stał się dużym, dziesięcioletnim chłopcem... – Zerknęłam z ukosa na Julianę i zamilkłam. Nie miałam pojęcia, o czym mam opowiadać. Nie potrafiłam zmyślać.*
- *I co? – nie dawała za wygraną moja córka, patrząc na mnie wyczekująco.*
- *I któregoś dnia, kiedy Staś skończył jeść pyszny, śmietankowy budyń z czerwoną wisienką w środku...*
- *Co to jest budyń? – zapytała Juliana i głośno przełknęła ślinę.*
- *To jest taki... taki mleczny deser, słodki krem.*
- *Krem? Co to krem?*
- *To taka słodka potrawa. Dzieci bardzo ją lubią – odparłam.*
- *Ja też lubię krem?*
- *Nie wiem. Nigdy nie jadłaś kremu – powiedziałam i serce ścisnęło mi się na myśl, ile przyjemności omija moje dziecko. Muszę ostrożnie opowiadać bajkę, by nie wywoływać podobnych pytań. – Tego dnia za oknem Stasia też padał taki śnieg jak tutaj i chłopiec wyszedł do ogrodu, żeby ulepić bałwana.*
- *Jak się lepi bałwana? – zapytała Juliana, po czym wstała i podeszła do okna.*
- *Toczy się kule ze śniegu od największej do najmniejszej i ustawia jedną na drugiej. Ta najmniejsza to głowa. Nosek robi się z marchewki, a oczka z patyczków. Bałwan to taki ludek ze śniegu.*
- *Czy ja też mogę ulepić bałwana?*
- *Oczywiście, ale nie dzisiaj. Jest straszna zawierucha. Poza tym chciałaś słuchać bajki.*
- *No to opowiadaj – powiedziała Juliana. Wróciła na miejsce i utkwiała we mnie wyczekujące spojrzenie.*
- *Staś ulepił bałwana pod samym oknem, żeby móc podziwiać go ze swojego pokoju. A potem zawołała go mamusia, bo zrobiło się ciemno i chłopczyk*

musiał pójść spać. Przed snem podszedł do okna, żeby popatrzeć jeszcze na bałwanka i wtedy zauważył, że z jego oczu kapią łzy. Zapytał go, dlaczego płacze, a bałwan odparł, że jest mu bardzo smutno samemu w ogrodzie. Staś wymknął się z pokoju i zabrał go do domu. Postawił przy swoim łóżeczku i zasnął. Rano, kiedy się obudził, chciał pobawić się z bałwankiem, ale jego już nie było. Zamiast niego koło łóżka była duża kałuża, a w tej kałuży leżała marchewka.

– Co się z nim stało?

– Stopił się. Było mu za ciepło w domu.

– Dlaczego opowiadasz mi takie bajki? – zdenerwowała się Juliana. – To twoja wina, że nie ma już bałwanka! Wymyśliłaś tak. Najpierw poszedł tatuś, potem Ivan, a teraz zniknął bałwanek! I wciąż jest smutno! – Odeszła do kącika, gdzie drzemał Popiół, i przytuliła się do jego miękkiej sierści.

Miała rację. Nie potrafiłam już z niczego się cieszyć. Postanowiłam jednak za wszelką cenę nauczyć moje dziecko radości.

14 grudnia 1945 r.

Juliana ulepiła bałwana, który od trzech dni stał dumnie niedaleko studni. Odwiedzała go kilka razy dziennie, żeby – jak mówiła – nie było mu smutno. Obserwowałam z niepokojem jej przywiązanie do śniegowej figurki, z braku innych przyjaciół. Czułam ucisk w gardle od hamowanego płaczu. Myśl, że wiążąc się z Piotrem odebrałam jej szczęśliwe dzieciństwo w otoczeniu kochającej rodziny, rówieśników, z budyniem śmietankowym przystrojonym czerwoną wisienką, wyzwalala wyrzuty sumienia, że ja zaznałam tego wszystkiego, doświadczyłam miłości i troski obojga zdrowych rodziców. Z drugiej strony, gdyby nie Piotr, nie byłoby jej teraz.

Ponieważ Juliana składała właśnie kolejną wizytę bałwanowi, siedziałam beczynn timer na swoim wózku patrząc w ogień. Trójbarwne płomyki podskakiwały wesolo na kawałkach zwęglonego drewna. Przyjemne ciepło roznosiło się po izbie. Odsuwałam od siebie myśl, że drewna wystarczy na jakieś trzy tygodnie. A był dopiero grudzień. Nie chciałam myśleć o tym teraz, gdy było mi dobrze i ciepło. Przymknęłam oczy i oddałam się wspomnieniom sięgającym dalekich, konstancińskich czasów, gdy niczym nie musiałam się martwić. Pod powiekami przewijały się beztrudne obrazy kuchni, gdzie Felisia spełniała nasze kulinarne zachcianki, gabinetu ojca z wielkim biurkiem, przy którym rozliczał dochody i wydatki, salonu z miękkim fotelem, w którym lubiła zasiadać matka z książką albo robótką w ręku. Na ścianach wisiały portrety naszych przodków i pejzaże malowane ręką wziętych artystów. Tutaj wisiał tylko jeden skromny portret skopiowany z mojej fotografii przez pewnego malarza z miasteczka. Był to prezent od Piotra подарowany na moje urodziny. Odwróciłam głowę, żeby na niego zerknąć i wtedy właśnie usłyszałam dziki krzyk Juliany. Struchlałam na ułamek sekundy. Potem pchnęłam wózek i błyskawicznie znalazłam się pod drzwiami.

Otworzyłam je szeroko. Zimne powietrze wtargnęło do chaty, sypnęło w oczy suchym, zmrożonym śniegiem, ograniczając pole widzenia. Serce podeszło mi do gardła, gdy usiłowałam wypatrzeć w tej kurzawie Julianę. Po chwili wszystko stało się jasne.

Juliana wisiała na szyi brodatego mężczyzny w znoszonym kożuchu i futrzanej czapie nasuniętej głęboko na czoło. Jedyne po przygarbionej sylwetce mogłam rozpoznać Ivana.

22 grudnia 1945 r.

Stał się cud. W mrocznym tunelu życia, od którego niczego już nie oczekiwałam, zapaliło się światełko. Los zesłał Ivana w najtrudniejszym dla nas czasie.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia, pierwszymi bez Piotra, przez co już wydawały się nie do zniesienia, nastaly mrozy. Trzeba było wciąż dokładać do pieca, który połykał drewno, dając niewiele w zamian. Ivan pilnował nawet w nocy, żeby palenisko ani na chwilę nie wygasło. Przy tak niskich temperaturach drewniane ściany prawie nie chroniły przed wkradającym się szczelinami chłodem. Wczoraj zamarzała studnia. Juliana nagarniała śniegu do cebrzyka, który topniał stawiany w wiadrze na piecu. Korzystaliśmy z uzyskanej w ten sposób wody, dopóki Ivan nie wykuł w lodzie przerębli na tyle szerokiej, żeby zmieścił się w niej cebrzyk.

Szykowaliśmy się do świąt. Bałam się wigilijnego wieczoru, własnych wspomnień i pytań Juliany o ojca. Ivan lepiej sobie radził z jej kłopotliwymi pytaniami. Poza tym najbardziej surowa zima nie była przy nim taka straszna, dlatego chciałam wybadać, jak długo będzie mógł nam pomagać. Kiedy Ivan wyszedł do obórki, zwróciłam się do Juliany:

- Jak widzę, cieszysz się z odwiedzin Ivana.
- Tak! – klasnęła w ręce. – Wujaszek Ivan robi mi pizczalkę z patyka.

Obiecał!

Uśmiechnęłam się. Moja córka ocenia sytuację z perspektywy swoich sześciu lat i nie dostrzega jeszcze rzeczy naprawdę ważnych.

– Ale pizczalkę można zrobić dopiero wiosną. Teraz nie ma takich patyków. Do tego potrzebne są świeże gałązki łożyny – powiedziałam podstępnie, obserwując wyraz jej twarzy. Analizowała w skupieniu moje słowa.

- A kiedy będzie wiosna? – zapytała w końcu.
- Najwcześniej za trzy miesiące – odparłam.
- Aha – powiedziała tylko i odchodząc do swojego kącika z lalkami dała mi do zrozumienia, że właśnie skończyła rozmowę.

Westchnęłam z rezygnacją. Cóż, będę musiała sama go zapytać, a nie chciałam, żeby wypadło to niezręcznie. Jest naszym gościem, nie parobkiem. Ivan jest wprawdzie prostym chłopem, ale swoim zachowaniem podkreśla zawsze swoją niezależność i godność. Łatwo go urazić.

Skrzypnęły drzwi. Ivan stękając z wysiłku postawił na podłodze dwa wiadra z mlekiem i zamknął drzwi za sobą. Podmuchi mroźnego powietrza wpadł do izby, przycupnął na moich ramionach, by po chwili zniknąć w paszczy pieca między językami ognia. Wzdrygnęłam się.

– Zimno – powiedział Ivan i chuchnął w ręce. Podszedł do paleniska i wyciągnął je na odległość ramion. Były czerwone i spękane od mrozu.

– Posmaruj dłonie masłem, powinno przynieść ulgę – poradziłam.

– A gdzieżby mnie staremu masłem ręce smarować! Ja nie panna na wydaniu, nie trzeba. Doczka niech masło je, sił nabiera. – Przez chwilę patrzył w ogień, potem odwrócił się, a w jego oczach malowało się coś na kształt wzruszenia, może nawet odrobina czułości. – Dobra ty pani, Magdalena – dodał ciszej.

– Ivan... – szukałam odpowiednich słów, żeby go nie spłoszyć prośbą o pozostanie przynajmniej do czasu, aż największe mrozy miną, ale zanim dodałam cokolwiek, Juliana już tuliła się do jego szorstkiego policzka.

– Wujaszku, ja bardzo chcę mieć piszczalkę z patyka.

– No ja obiecał, to zrobię. U mnie słowo jak kamień, nie odleci – zapewnił ją i poklepał niezdarnie po drobnych ramionkach.

– A kiedy? Kiedy zrobisz? – zaszczębiotała zaglądając mu w oczy, a ja natychmiast zauważyłam, że w tej kokieterii małej kobietki kryje się coś więcej niż pragnienie nowej zabawki.

– O, musisz poczekać! Wiosną, jak krowa całe siano zje i na pastwisko będziemy ją pędzić, gałązkę na piszczalkę ulamiemy. – Spojrzał na mnie płochliwie a ja pod mocno zaciśniętymi powiekami ukryłam ogromną ulgę, jaką odczułam po jego słowach.

27 grudnia 1945 r.

Święta byłyby smutne, gdyby nie Juliana. To ona pilnowała, by w domu pojawiła się choinka. Stała wprawdzie pochylona w kącie, jakby sama jej obecność w miejscu pełnym nieszczęść i śmierci była już nietaktem. Juliana przystroiła ją, czym się dało, i przy odrobinie wyobraźni mogła sprawiać wrażenie świątecznego drzewka. Dziewczynka piekła też pierniczki z wody i mąki wyglądające na słodkie kleksy i mimo że uważałam to za marnotrawstwo, pozwalałam jej cieszyć się z pierwszych doświadczeń cukierniczych. Prezenty były bardziej niż skromne. Ivan zrobił mi koraliki z drewnianych odpadów, Julianie kozikiem wyrzeźbił zwierzę, które z racji tego, że nie przypominało żadnego konkretnego zwierzęcia, zostało tak właśnie nazwane: zwierzę. Ja poświęciłam mój stary sweter, przerabiając go na ciepłe wełniane szaliki dla Ivana i córki. Dziergałam je na długich patykach nocami, żeby mieli niespodziankę. Cieszyli się, że są identyczne. Juliana doliczyła się, że szalik Ivana ma więcej pasków, niż jej. Czasem zastanawiam się, skąd w niej to upodobanie do ciągłego liczenia wszystkiego, co da się policzyć. Nawet Juliana

przygotowała prezenty. W jej drobnych rączkach powstał obrazek z zasuszonych kwiatków naklejonych klajstrem z mąki na kawałek deseczki, którym obdarowała wujaszka Ivana. Mnie uszczęśliwiła kamieniem radości. Był to po prostu okazały kamień przytargany z tylko jej znanego miejsca. Pomyślałam, że będę miała czym przygniatać kiszoną kapustę, o ile w naszym domu jeszcze kiedyś pojawi się kapusta. Cieszyliśmy się tym wszystkim do momentu, gdy Juliana położyła na stole mały pakuneczek zawinięty w wielokrotnie używany, poplamiony kawałek papieru i oświadczyła:

– A to dla tatusia.

Zamilkłam w połowie wypowiedzanego właśnie zdania i spojrzałam niepewnie na Ivana. Ten jednak podniósł zawiniątko, przez chwilę ważył je w ręku, po czym schował do kieszeni, mówiąc:

– Przechowam ci to, doczka. Kiedy go zobaczysz, powiesz, a ja oddam podarek.

Zabrzmiało to tak naturalnie, że dziewczynka zgodziła się bez wahania, a ja wręcz spojrzałam na drzwi, w których mógłby za chwilę stanąć Piotr.

– A teraz zaśpiewaj kolędę, mamusiu. Ale wesolą, bo ja będę grała na bębenku. – Mówiąc to Juliana przyniosła z komory drewnianą skrzyneczkę, w której kiedyś przechowywałam cukier, i wybijała łyżką rytm do mojego śpiewania.

Pomyślałam, że mimo domu na odludziu, którego ściany nasiąknięte są łzami i bólem, Julianie udało się stworzyć klimat ciepłych, rodzinnych i prawie szczęśliwych świąt.

2 stycznia 1946 r.

Wczoraj był Nowy Rok. W noc sylwestrową Ivan wyciągnął butelkę samogonu i kiedy Juliana poszła spać, upił się do nieprzytomności. Początkowo dotrzymywałam mu towarzystwa, ale kiedy zaczął plątać mi się język, dałam spokój. Jeszcze tego by brakowało, żeby dziecko zbudziło się i zobaczyło mnie w takim stanie. Przecież jednak należy, że po raz pierwszy od śmierci Piotra na jeden krótki moment poczułam się wyzwolona od trosk i zupełnie szczęśliwa. Dziś odpokutowałam to szaleństwo silnymi bólami brzucha. Ivan przestraszył się nie na żarty, kiedy zwinięta wpół cierpiałam po cichu. Parzył mi miętę i po kryjomu w kącie zapijał zmartwienie resztką samogonu. Sam jego zapach przyprawiał mnie o mdłości. Juliana bawiła się w swoim kąciku figurkami z drewna, ale kątem oka obserwowała objającego się o sprzęty wujaszka Ivana. Wieczorem, kiedy była już w łóżeczku, na dobranoc powiedziała mu do ucha coś, co sprawiło, że wyprostował się gwałtownie, a dwie łzy potoczyły się po jego poranych bruzdami policzkach. Żadne z nich jednak nie chciało mi powtórzyć słów Juliany, które były tego przyczyną.

7 stycznia 1946 r.

Dzisiaj rozpadał się deszcz, była odwilż i bałwan Juliany zrównał się z ziemią. Tak, jak przypuszczałam, ten fakt wywołał w niej uczucie ogromnego żalu i nie pomagały słowa pocieszenia, że gdy tylko spadnie śnieg, ulepi sobie nowego bałwana.

– On był moim przyjacielem! – wołała, a łzy jak grochy kapały jej z oczu, nosa i brody. – Nie rozumiesz? Jeśli ulepię drugiego bałwanka, będzie już inny. I wcale nie wiem, czy będzie chciał przyjaźnić się ze mną!

Po pewnym czasie uspokoiła się trochę, ale siłkając jeszcze nosem wbiła we mnie zaczepne spojrzenie.

– Ja nie jestem taka jak ty, mamusiu – powiedziała.

– To znaczy jaka? – zapytałam podnosząc głowę znad podartej sukienki, którą chciałam jeszcze uratować igłą i nitką.

– To znaczy, że jak tatusia nie ma, to ty się zaprzyjaźniłaś z wujaszkiem Ivanem.

– Ależ dziecko! – zawołałam oburzona. – Ty zupełnie tego nie rozumiesz! Nie przyjaźnię się z Ivanem! On mi tylko pomaga!

Tylko. Takie małe słowo, a zawiera w sobie ogrom czynności, których nie wykonałabym nawet przy pomocy Juliany. To prawda, że w tego typu czynnościach zastąpił mi Piotra. Ale przecież nie kocham Ivana. To absurdalne! Nie uważam go nawet za swojego przyjaciela. I gdybym była sprawna, nie chciałabym go tutaj, choćby dlatego, że dawno uciekłybyśmy stąd do Konstancina.

– Jak widzisz, nie można osoby, którą się kochało, zastąpić kimś innym, bo nie będzie taka sama i nie wzbudzi takich samych uczuć. Można jednak pozwolić na to, żeby ktoś inny był przy nas, bo jest nam potrzebny albo chce czuć się potrzebny. Rozumiesz to córeczko? – zapytałam łagodnie.

– Nie – odparła krótko i poszła do swojego kąta.

Kiedy Ivan wrócił z naręczem drewna, Juliana zapytała go wprost:

– Wujaszku Ivane, czy moja mamusia jest ci do czegoś potrzebna?

Spojrzał na nią zaskoczony, potem podobnym spojrzeniem poczęstował mnie, aż zaczerwieniłam się po czubki włosów, co wprawilo mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

– Ludzie zawsze są potrzebni jeden drugiemu – powiedział oględnie i zajął się dokładaniem drewna do pieca.

14 stycznia 1946 r.

Ivan przez tydzień nosił w sercu pytanie Juliany. Musiało mu ciążyć, bo dzisiaj, gdy uwijała się przy nowym bałwanie między płatkami sypiącego śniegu, przysunął z hałasem krzesło do mojego wózka, westchnął głęboko i powiedział:

– Magdalena, ty nie pytasz, dlaczego ja tu jest, a przyjełaś pod dach jak swojego. Choć ja Ukrainiec, a ty Polka. I nie pytasz, jak długo zostanę. Nie wyganiasz, chociaż chleb twój jem. Nie za darmo po prawdzie. Co mogę, tymi

rękami odpracuję. Ale doczka pytała, czy ty mnie potrzebna jesteś. A ja pytam, czy ja tobie na coś się zdaję. Bo jak nie, to pójdę precz. Ty powiedz, Magdalena, i ja tobie też powiem, do czego ty mnie potrzebna.

Widziałam, że drżą mu ręce. I głos mu drżał. To, co mówił, było dla niego ważne. Czułam na sobie wzrok pełen napięcia.

– Dobrze wiesz, Ivan, jak mi ciężko. Twoje przyjście tutaj uznałam za błogosławieństwo, uśmiech losu. Nie poradziłabym sobie z Julianą w czasie zimy. Kończyło mi się drewno, studnia zamarzła. Moja córka jest nadzwyczaj dojrzała jak na swój wiek, pracowita i bardzo dzielna, ale to tylko dziecko. Nie jest w stanie poradzić sobie ze wszystkim. A ja... Sam wiesz. Niewiele mogę pomóc. Jesteś mi bardzo potrzebny, Ivan, bardzo. Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo jestem ci wdzięczna, chociaż może nie umiem tego wyrazić. Bałam się, że przyszedłeś tylko na chwilę, na parę dni. Zostałeś na dłużej i ciężko pracujesz, więc nie śmiem pytać, ile czasu jeszcze tu spędzisz i co powie na to twoja rodzina, która też przecież ciebie potrzebuje.

– No, jak ty tak mówisz, to i ja tobie powiem. Ja nie chciałem, żeby doczka słyszała. Nie dla jej uszu takie słowa. Ciężko o swoich źle mówić, ale jak oni złe ludzie, to jak inaczej? Już wtedy, kiedy ciebie tu samą zostawił i do swoich wrócił, ja żałowałem. Ot, żona moja pić zaczęła. Bez wódki ona ani rusz. U mnie dwóch synów jest, dorośli już. Jeden dwadzieścia pięć lat, a drugiemu dwudziesty trzeci rok idzie. Ja nie wiedziałem, że oni pod Banderą. Ty nie wiesz, ale ja tamtych, co twojego wykończyli, zabił. Oni banderowcy byli, bandyci...

– Wiem, że ich zabiłeś – powiedziała cicho.

– Jak?! Skąd ty możesz wiedzieć?! Bez przytomności byłaś! – zawołał zdumiony.

– Juliana widziała. Powiedziała mi.

– Boże mój! Doczka! I nie boi się mnie? Nie boi się, choć ja ludzi zabił?

– Nie boi się. Ona wie, dlaczego to zrobiłeś.

– Wie, że oni ojca jej zabili?!

– Nie. Ale widziała, jak mnie katowali. O ojcu nic nie wie.

– Toć gdyby ja wiedział, że ona patrzy...

– Wszędzie za tobą chodzi, to i wtedy poszła.

– Żeby ja wiedział, to by ich głębiej w las zawlókł. Ot co! No trudno, trudno... Nie wróci się.

Dla Ivana ważniejsze było to, że Juliana widzi zbrodnię niż sama zbrodnia.

– Jak ja wrócił do swoich, żona leżała, zdawało się całkiem pijana. Córka z Polakiem uciekła. W domu nic do jedzenia nie było. Ja głodny był. Do sąsiadów, Polaków, poszedł chleba prosić. Nie wpuścili, bali się, że niby jeden i drugi syn mój ludzi morduje, do bandy obaj przystali. Nie bójcie się, ja takich dwóch psubratów sam zamordowałem, bo Polaków bili – powiedział ja to im pod drzwiami, nie bacząc,

czy kto słyszy. A słyszała. Żona moja słyszała, co wstała i za mną poszła. Tak z prostej ciekawości poszła. Jak ją zobaczył, mówię: A nie waż się komu gadać o tym! Obiecywała, że nie powie. I nie gadała, długo nie gadała, dopóki wódkę miała. Aż któregoś dnia zbrakło samogonu. Do synów poszła prosić. Nie chcieli dać, to ona mówi: „Jak dacie, coś powiem, tajemnicę zdradzę”. I zdradziła mnie. Za butelkę samogonu. Oni nie znają litości. Musiał ja uciekać. W nocy oknem wyszedł i do lasu! Ja od razu pomyślał tu, u ciebie, schować się.

Wzdrygnęłam się na myśl, że znajdą go, przyjdą tu za nim i wymordują nas wszystkich. Nie uszło to uwadze Ivana.

– Nie bój się. Oni nie wiedzą, gdzie ja poszedł. Szukać nie będą. Może im tak wygodniej, że ja uciekł, bo jak tu na ojca siekierę podnosić. – Zamyślił się przez chwilę. – Jak ja tobie przydam się, to u ciebie zostanę. Co myślisz? – zapytał kończąc opowieść.

W głosie Ivana wyczułam nadzieję, że nie wyrzucę go, mimo że ma synów banderowców i sam jest Ukraińcem.

– Zostań. Będziesz tu jak w rodzinie – powiedziałam i nie wiadomo dlaczego rozplakałam się.



Adam tym razem czytał dziennik Magdaleny mniej emocjonalnie, a bardziej dokładnie, zwracając uwagę na fakty historyczne, które mogłyby przydać się podczas pisania pracy. Teraz w oczekiwaniu na wykład przyłączył się do kolegów siedzących na ławce pod uczelnią. Dzień był słoneczny i można było skorzystać z ostatnich słabych promieni.

– Jak tam twoja praca? Piszesz? – zapytał Wojtek, wydziobując prażone orzeszki z małej szeleszczącej torebki.

– Piszę – odparł Adam – ale nie najlepiej mi to idzie. Zastanawiam się, czy nie odpuścić i nie zmienić tematu.

– A o czym piszesz? – zainteresował się Jerzy.

– Ja wiem... O wszystkim po trochu. – Adam uśmiechnął się gorzko. – Muszę znaleźć dziewczynę.

– Ciekawy temat! – roześmiał się Wojtek i szturchnął Maksa łokciem.

– To tylko tak wygląda. Skup się: ta dziewczyna jest teraz dzieckiem, ale kiedy ją znajdzie, będzie staruszką albo nawet będzie leżała w grobie. Rozumiesz?

– Nie bardzo – skrzywił się Wojtek i zerknął na Maksa, który wzruszył tylko ramionami na znak, że i on nie rozumie.

– Chodzi o tło historyczne. Zaczynam od drugiej wojny z banderowcami w roli głównej.

– Z banderowcami, mówisz? Drażliwe. – Wojtek wysypał na ziemię okruchy po orzeszkach, wokół których natychmiast zakrzętały się gołębie.

– Dlaczego drażliwe? – zdziwił się Adam.

– Bo ludzie zwykli myśleć o wszystkich Ukraińcach jak o zbrodniarzach, A na przykład taki Jarema Wiśniowiecki też był Ukraińcem, a uratował niejednego gościa ze szlachty i wielu Żydów.

– Człowieku! To było w tysiąc sześćset którymś tam roku! – zawołał Maks z dezaprobatą.

– I co z tego? Chodzi mi tylko o to, żeby nie pchać wszystkich do jednego worka. Widzisz, ja pochodzę z Lemków. Tych, którzy kultywują wprawdzie swoją odrębność, ale w ramach etnicznej grupy ukraińskiej – powiedział Wojtek.

– I co? Ktoś cię dyskryminuje z tego powodu? – zainteresował się Jerzy.

– Czy ja wiem... Różnie to bywa. W Przemyślu, skąd pochodzę, jest szkoła ukraińska. Ale chodzą tam też inni miejscowi uczniowie. Nienawidzą Ukraińców

i ciągle dochodzi do konfliktów. Biją się.

– W Przemyślu? Rzeczywiście, sporo tam Ukraińców – zauważył Maks.

– Są bardzo zaangażowani w życie kulturalne. Organizują festyny, jarmarki. Jest tam też PWSW, to znaczy Państwowa Wyższa Szkoła Wschodnioeuropejska – objaśnił Wojtek.

– Aha, słyszałem o tym. Bastion Ukraińców. Podobno ukraińscy studenci mają tam fory na zajęciach, przy stypendiach, profesorowie ich hołubią i nawet prezydent miasta rozdaje im dofinansowanie na prawo i lewo. – Maks uśmiechnął się kwaśno. – A tymczasem wiecie, co oni robią? – zwrócił się do Adama i Jerzego.

– Co takiego robią? – zapytał Adam ziewając szeroko na znak miernego zainteresowania tematem.

– Fotografują się z flagą UPA, organizują pochody z tymi flagami na cmentarz ich bohaterów...

– To w Przemyślu jest taki cmentarz? – zdziwił się Adam.

– Może kolega ci powie. – Maks zawiesił głos i spojrzał na Wojtka.

– No, jest – mruknął Wojtek.

– Sam słyszysz! A jeszcze władze Przemyśla wydają pieniądze podatników na jego renowację! Prawie milion złotych! To absurd! – rozjuszył się Maks.

– Tam spoczywają ukraińscy żołnierze, którzy w 1920 roku zmarli na gruźlicę – sprostował Wojtek.

– Czyżby? Chyba nie zaprzeczysz, że gniją tam też szczątki członków band UPA, którzy atakowali naszych w Birczy, w 1946 roku. Cholera, cmentarz ukraińskich bandziorów na polskiej ziemi! I nikt się tym nie interesuje. Ukraińcy z banderowskimi flagami urządzają sobie demonstracje na oczach potomków swoich ofiar i nikt im słowa nie powie. Co za naród! Mogą pluć na Polaków i usłyszeć, że deszcz pada. Ja rozumiem dobre stosunki sąsiedzkie, a nawet braterstwo słowiańskie, ale zbrodniarze niech najpierw rozliczą się ze swojej okrutnej historii! – Maks nie krył wściekłości, spoglądając co chwilę na Wojtka, w którym powoli narastała furia.

– Kto ma się rozliczyć? Ja? Moje pokolenie? Czy to ja zabijałem Polaków? Zapewniam cię, że nikt z moich przodków nawet nie tknął żadnego Polaka! – krzyknął Wojtek.

– Być może. Ale twój naród tak. Pamiętaj, że teraz my za to odpowiadamy. Właśnie nasze pokolenie. Albo ten list...

– Jaki znowu list?

– Nie słyszałeś? Do Milosza Zemana. Wiesz, kto to jest?

– Wiem. Czeski prezydent.

– Nie byle jaki prezydent. Szczerze mówiąc, zazdroścę go Czechom. Chłop myśli i kalkuluje. Ma ostry język, ale skuteczny! – wyraził uznanie Jerzy.

– No właśnie – kontynuował Maks – grupa czeskich historyków

specjalizujących się w sprawach Ukrainy wysłała list do Zemana broniący prawa Ukraińców do czczenia pamięci Stepana Bandery. Powiedz mu Adam, kto to był Bandera, bo robi małpie oczy.

– Nie wierzę, żeby nie wiedział. Przecież to przywódca ukraińskich nacjonalistów – wyjaśnił na wszelki wypadek Adam, choć nie widział takiej potrzeby.

– Łagodny jesteś – sprostował Maks – nacjonalistów to za mało powiedziane. Szowinistów! A raczej bandziorów! Ale Ukraina widzi w nim bohatera narodowego! Ci historycy zarzucili czeskim władzom, że kontynuują propagandę antyukraińską z czasów komunizmu. I wiesz, co im Zeman odpowiedział? Nie wiesz? – Maks zaatakował ponownie Wojtkę, który siedział teraz wykopując butem coraz głębszy dołek w piasku. – No to cię oświecę! Może się chociaż zarumienisz za swój niechlubny naród. – Maks zacisnął pięści i uderzył nimi w brzeg ławki, na której siedział. – Zeman zapytał, czy znają rozkaz Bandery, który brzmiał: „Zabijcie każdego Polaka między szesnastym a sześćdziesiątym rokiem życia”. I powiedział: „Ten, kto nie zna tego rozkazu, nie jest Ukraińcem ani specjalistą od Ukrainy. A z tym, kto się z nim zgadza, nie będę dyskutował”.

– Z tego, co wiem – wtrącił Jerzy – Bandera chciał stworzyć wasalne państwo ukraińskie wobec Niemiec, tylko że Hitler się znarowił i postanowił osiedlić niemieckich rolników na Ukrainie. Projekt Bandery diabli wzięli, a on sam wylądował w obozie koncentracyjnym.

– No właśnie. Tak próbowali bronić Bandery niektórzy historycy. Twierdzili, że on niewinny, biedaczek, bo w obozie siedział – dodał Maks. – Tylko że ten drań wcześniej narozrabiał. Ma na sumieniu tysiące istnień ludzkich, w tym dzieci, starców i kobiety. Jego zwyrodniali ludzie mordowali w taki sposób, że średniowieczne metody łamania kołem w porównaniu z tym to pikuś! I po tym wszystkim został okrzyknięty bohaterem narodowym. A teraz szykują następnego, niejakiego Szuchowycza, który w czterdziestym pierwszym rozstrzelał tysiące Żydów tylko w samym Lwowie. Pogratulować koledze takich przodków – syknął zjadliwie Wojtkowi do ucha. – Nawet ci ten twój Wiśniowiecki nie pomoże. Wojtek! A ty dokąd?! – zawołał widząc, jak Wojtek wstaje z ławki i oddala się w kierunku uczelni.

– Zostaw go, coś się tak uczeplił? – mitygował kolegę Adam. – Przecież on z Łemków, nie z Ukraińców.

– Jeden pies – mruknął Maks. – To, co oni teraz wyprawiają, to skandal! Nie wiem, czy orientujesz się, ile wybudowano pomników sławiących UPA!

– Gdzie? Na Ukrainie?

– W Polsce!

– W Polsce? Kto wybudował?

– Oni, Ukraińcy. Nielegalnie. Jak o tym myślę, szlag mnie trafia! U nas też

nie brakuje idiotów. Posłuchaj, pewna emerytowana nauczycielka z Radruża postanowiła ufundować krzyż ku chwale miejscowych ludzi pomordowanych przez banderowców. Ustawiła go przy cerkwi. Ta cerkiew, mówię ci, perełka! No, nieważne. W każdym razie jakiś inspektorek Nadzoru Budowlanego doniósł na nią do prokuratury, że postawiła go nielegalnie, bo to nie nagrobek, tylko pomnik, a pomników bez zezwolenia nie wolno stawiać. Przy tym sam nie miał pojęcia, czym pomnik różni się od nagrobka. Kobieta musiała krzyż rozebrać i jeszcze miała nieprzyjemności, choć ostatecznie sprawę umorzyle. Ale nie o to tu naprawdę chodzi. Kilkadziesiąt metrów dalej, na samym cmentarzu, stoi sobie i ma się dobrze pomnik „bohaterów” bandy UPA!

– Na to pozwolili? – zdumiał się Adam.

– Akurat! Myślisz, że ktoś ich o to pytał? Ukraińcy postawili go nielegalnie! Ale najciekawsze jest to, że on nadal stoi. Nikt go nie rozbiera, władze patrzą sobie spokojnie, mimo że w naszym własnym kraju panoszą się zbrodniarze, plują na naszą ziemię, mają gdzieś zakazy i gdzie im się podoba, budują pomniki swoim pieprzonym „bohaterom”!

– Skąd ty o tym wiesz? – zapytał Adam, patrząc na Maksa z niekłamanym podziwem.

– Mój dziadek należy do organizacji patriotycznej, która się takimi sprawami zajmuje. Codziennie opowiada o absurdach, od których nóż się otwiera.

– A ta organizacja coś robi?

– Jasne, że robi! Właśnie po sprawie Radruża członkowie tych organizacji i wkurzeni kresowiaczy zapowiedzieli, że znajdą i udokumentują wszystkie pomniki uwłaczające narodowi polskiemu, to znaczy poświęcone tym bandytom, i teraz oni powiadomią prokuraturę, że zostało złamane prawo, bo te pomniki postawione zostały nielegalnie, a poza tym gloryfikują faszyzm, co jest w Polsce zabronione Konstytucją.

– My przynajmniej przepraszamy za swoją akcję „Wisła” – mruknął Adam.

– A nas kto przeprosił? Nikt! – Maks podniósł się z ławki – Chodźcie, bo spóźnimy się na wykład – powiedział już spokojnie.

Adam był pod wrażeniem. Przede wszystkim butności i bezczelności, z jaką współcześni Ukraińcy panoszą się na naszych ziemiach, ale też dużej wiedzy Maksa na ten temat. Szczerze mówiąc, o wielu sprawach dowiedział się właśnie od niego. Wprawdzie dziadek działający w organizacji patriotycznej wiele wyjaśnia, jednak zaangażowanie Maksa jest godne podziwu.

Wracając z uczelni Adam natknął się na Olgę.

– Masz chwilę? – zapytała i uśmiechnęła się ciepło. – Potrzebuję pomilczeć przy jakiejś bratniej duszy. Ty doskonale nadajesz się do tego.

– Ty, pomilczeć? – zdziwił się szczerze. Stwierdził też w duchu, że dzisiaj lubi Olgę. Za ten uśmiech. – Znajdę chwilę, jeśli ci na tym zależy. Dokąd chcesz

iść?

– Wszystko jedno. Przed siebie – zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Stało się coś? – zapytał przyglądając się jej z ukosa.

– Nie, nic się nie stało. Nic, co byłoby dla ciebie ważne.

– Skąd wiesz, co jest dla mnie ważne? – naburmuszył się.

– No dobrze. Pokłóciłam się z kimś.

– Z chłopakiem?

– Adam, nie ciągnij mnie za język. Nie jest istotne z kim, tylko sam fakt, że się pokłóciłam. Jest mi teraz nieprzyjemnie i potrzebuję kogoś...

– Rozumiem. Wstąpmy tutaj. Mam ochotę na coś słodkiego. – Adam zatrzymał się przy mijanej właśnie cukierni, otworzył drzwi i przepuścił Olgę przodem.

Cukiernia była malutka, mieściły się tutaj tylko trzy stoliki. Przy jednym z nich siedział starszy pan i zjadał ciastko z dużą ilością kremu.

– Napijemy się kawy? – zapytał Adam wskazując Oldze krzesło. Zgodziła się z entuzjazmem. – Pozwolisz, że wybiorę jakieś ciastko?

– Jasne! – powiedziała i usiadła przy stoliku nakrytym bordową serwetą.

Starszy pan przerwał jedzenie i uporczywie zaczął przyglądać się Oldze.

– Spodobałaś mu się – szepnął Adam stawiając przed nią ciastko i kawę.

Dopiero teraz odwróciła głowę, by zobaczyć, o kim mówi. Mężczyzna z sąsiedniego stolika uniósł rękę i poruszył palcami, uśmiechając się lekko. Odpowiedziała tym samym gestem.

– Znasz go? – zdziwił się Adam.

– Nie, ale co mi szkodzi? – roześmiała się.

Zanurzyła widelczyk w ciastku i włożyła do ust spory kęs. Patrzył, jak rozkoszuje się jego smakiem.

– Dobrze. Co to jest tu, na wierzchu? – postukała widelczykiem w twardą skorupkę.

– Masa kajmakowa. Takie toffi.

– Toffi? Jak cukierek? – upewniła się, a on natychmiast zobaczył tajemniczą dziewczynę z długą grzywką. – Lubisz toffi? – zapytała.

– Lubię, a dlaczego pytasz?

– Nie wiem. Tak po prostu – roześmiała się. – Są bardzo słodkie. Nie każdy je lubi – dodała, a Adam zmarszczył brwi, przypominając sobie, gdzie słyszał podobne słowa.

– Pewna dziewczyna też tak powiedziała – mruknął.

– No, widzisz. – Pochyliła głowę i dłużyła widelczykiem w ciastku, jakby nagle straciła na nie apetyt. – Pokłóciłam się z Maksem, wiesz? – powiedziała zniecka i natychmiast zmieniła temat. – Przeczytałeś pamiętnik Magdaleny? – zapytała patrząc na niego uważnie.

- Jeszcze nie, ale niewiele zostało mi do końca.
- Tam nie ma końca, Adam – powiedziała.
- Dlaczego tak to podkreślasz? – zapytał pamiętając, że mówiła o tym, kiedy przyniosła mu dziennik.
- Żebyś nie nastawiał się, że dowiesz się czegoś więcej ponad to, co wiesz w tej chwili – odparła.
- Zobaczymy – powiedział oględnie. – Chodźmy stąd, mam trochę roboty – dodał wstając z miejsca.

Olga odsunęła niedojedzone ciastko i bez słowa ruszyła do wyjścia. Adam zostawił ją na przystanku tramwajowym i piechotą wrócił do domu. Rozciągnął się na tapczanie i sięgnął po stary, gruby zeszyt.

21 stycznia 1946 r.

Śnieg skrzy się w blasku słońca i zmienia barwy w zależności od pory dnia. Rankiem przybiera odcień błękitu, potem różowieje zachodem, by zszarzeć wraz z zapadającym zmierzchem. Wszystko to obserwuję przez małe okienko siedząc na swoim wózku i reperując po raz nie wiem już który nasze zużyte ubrania. Dla Juliany przerabiam moje sukienki, błogosławiąc dawną próżność, dzięki której zabrałam je z domu, kiedy uciekałam z Piotrem.

Przeraża mnie przyszłość. Śmierć Piotra i moje kalectwo odebrały naszej córce szansę na beztrudne dzieciństwo. Mieszkając w lesie wyrasta bardziej na dzikie zwierzątko niż cywilizowaną dziewczynkę. W tym roku skończy siedem lat. To wiek, kiedy dzieci idą do szkoły, kształcą się, przebywają z rówieśnikami. Wciąż myślę o powrocie do Konstancina. Wierzę, że Ivan pomógłby nam wydostać się z lasu. Ale co dalej? Jak poradzimy sobie bez pieniędzy? Nie mamy też butów ani przyzwoitych ubrań. To, z czym oswoiliśmy się tutaj, obcując ze sobą na co dzień, może być szokujące dla ludzi żyjących w normalnych warunkach. Gdyby był Piotr! On poradziłby sobie ze wszystkim. Zdobyłby buty, ubrania i pieniądze. Dlaczego musiał umrzeć? Przecież nie walczył, nie był niczym wrogiem. Był tylko Polakiem. Nie wiem, co teraz dzieje się w kraju. Jak wygląda wszystko po wojnie i czy jest już bezpiecznie. Czy wolno mi narazić dziecko na takie ryzyko? Jestem naprawdę rozdarta.

31 stycznia 1946 r.

W środku nocy coś wyrwało mnie ze snu. Przez chwilę leżałam z otwartymi oczami, nasłuchując. Z komory dobiegało pochrapywanie Ivana, z łóżeczka spokojny oddech Juliany. Widocznie jakiś koszmar przerwał mi sen. Uspokojona przewróciłam się na drugi bok, ale ledwo zagłębiłam policzek w poduszkę, pies zerwał się ze swojego posłania i podbiegł do drzwi. Nie szczekał. Węszył tylko pod drzwiami, popiskując niespokojnie. Usiadłam na łóżku, nie mając pojęcia, co robić. Przerażenie paraliżowało umysł.

– Popiół! – zawołałam półgłosem – Popiół! Chodź tu!

Przybiegł posłusznie, ale wciąż oglądał się na drzwi.

– Ivan! Idź do Ivana! – rozkazałam.

Zamerdał ogonem, ale nie ruszył się z miejsca.

– Obudź Ivana! – powtórzyłam. – Ivan, szukaj Ivana!

Chyba zrozumiał, bo ruszył do komory, do której drzwi na szczęście były uchylone. Po chwili usłyszałam zniecierpliwiony głos.

– Won, swołocz! Paszoł won!

– Ivan! – zawołałam. – Ktoś jest pod drzwiami!

Łóżko zatrzeszczało i w wejściu pojawił się zaspany Ivan.

– Kto pod drzwiami? – zapytał półprzytomnie. – Kogo by tam diabli nieśli w nocy po lesie?

– Nie wiem, ale ktoś tam jest! Pies dziwnie się zachowuje – przekonywałam go i ponownie spojrzałam na Popiola, który znowu zaczął węszyć wokół szpary.

– Magdalena, ty nie bój się. Na człowieka to on by czekał. Pewnie zwierzyne wywachał. Zwierzę tu nie wejdzie, nie bój się, śpij. – Ivan podszedł do okna i przez chwilę patrzył z nosem przy szybie. – Nic nie widać. Jutro, za dnia ślady zobaczę. Śpij.

Odwrócił się i szurając przydeptanymi łapcami poszedł do siebie. Postępując położył się na łóżku i już po chwili dobiegło mnie donośne chrapanie. Siedziałam na swoim postaniu, dopóki Popiół nie odszedł od drzwi. Do rana nie zmrużyłam oka, choć nic niepokojącego już się nie działo. Byłam ciekawa nocnego gościa. Tej nocy śnieg nie padał, ślady powinny być wyraźne.

– Idę do obórki – powiedział rankiem Ivan biorąc wiadro na mleko – po drodze zobaczę, kogo tu w nocy przyniosło.

Wrócił jednak, zanim wydoił krowę.

– Magdalena – powiedział dziwnym głosem – ja nie wiem, co pies wywęszył. Nie ma śladów. Ni zwierza, ni człowieka, żadnych. Widać umarłe z grobów wstają i do chałupy leżą – dodał i poszedł doić krowę.

4 lutego 1946 r.

Wyglądam wiosny. Luty daje nam się we znaki. Wprawdzie śnieg nie pada, ale mróz wcale nie chce odpuścić. Zapasy topnieją w zastraszającym tempie. Ivan ciężko pracuje i trudno liczyć mu każdy kęs. Jak na mężczyznę i tak jada niewiele. Poskromiłam własny apetyt i ograniczyłam przeznaczone dla mnie porcje. Nie potrzebuję tyle energii, co pracujący Ivan lub rosnąca i ruchliwa Juliana. Zaczęłam myśleć o zapasach na drogę do Konstancina. Plan wyjazdu dojrzał i czas zacząć wprowadzać go w życie. Uszyłam płócienne woreczki, w których będę gromadzić suchy prowiant. Boję się tej podróży, ale postanowiłam podjąć to ryzyko. Na razie nic nie mówię Ivanowi ani Julianie. Nie wyruszymy wcześniej niż po roztopach. Początek kwietnia, jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, będzie najlepszym terminem. Prawdę mówiąc, odżyłam, kiedy podjęłam ostateczną

decyzję. Mam o czym myśleć i marzyć, że wszystko się uda.

13 lutego 1946 r.

Ivan przyniósł mały stołeczek, na który zwykle wspina się Juliana, i usiadł blisko mojego wózka.

– Magdalena – powiedział – czas myśleć, żeby pole na wiosnę zasiać. Choć jedno. Mąka się kończy i nowej nie będzie, jak zboża nie zasieję. Sam dam radę, ale ziarno trzeba kupić. Pójdę do wioski po drugiej stronie lasu, żeby na swoich nie trafić. Może kto będzie miał żyto albo pszenicę sprzedać. Tylko pieniędzy trzeba, a u mnie nie ma. – Wymownie poklepał się po kieszeniach spodni. – U ciebie pierścionek jest. Daj, sprzedam i ziarno kupię.

Dwie przyczyny powstrzymały mnie przed przekazaniem pierścionka. Przede wszystkim nie sięgałam w moich planach dalej niż wiosny spędzonej tutaj, po drugie będą mi potrzebne pieniądze na podróż i jedyną alternatywą na ich zdobycie był ten właśnie pierścionek, który Piotr w sobie tylko znany sposób uchronił przed sprzedażą. Ale Ivan o tym nie wiedział. Nadszedł więc czas, by poinformować go o moich planach. Nie przyszło mi to lekko.

– Ivan, od dawna chcę ci o czymś powiedzieć – zaczęłam i głos utkwił mi w gardle.

Nie jest łatwo mówić o pozostawieniu tu zarówno Ivana, oddanego przyjaciela i opiekuna, ale również Piotra spoczywającego pod śliwą, a wraz z nim kawałek własnego życia pełnego miłości i szczęścia. Kiedy zastanawiałam się nad formą, która byłaby dla niego do przyjęcia, Ivan nie spuszczał ze mnie zaniepokojonego spojrzenia.

– Ivan, ja chcę stąd wyjechać – powiedziałam po prostu.

– Wyjechać? – powtórzył ochryłym z przejęcia głosem. – Kiedy?

– Na wiosnę. W kwietniu. Juliana potrzebuje normalnych warunków do życia, szkoły, ludzi wokół siebie, a ja... a ja potrzebuję lekarza.

Pomyślałam o coraz częściej pojawiających się dolegliwościach i zimny pot mnie oblał na myśl, że i tak może być za późno. A ja chciałam żyć. Dla Juliany.

– Ty chora, Magdalena? – zapytał patrząc na mnie wnikliwie.

– Tak. Nie jestem w pełni zdrowa. Coś dzieje się w moim brzuchu, odkąd pobili mnie ci dwaj Ukraińcy. Kopali mnie w brzuch. Straciłam wtedy dziecko. Mam ostre bóle powtarzające się coraz częściej. Zioła nie pomagają, obawiam się, że musi zobaczyć mnie lekarz.

Ivan zwiesił głowę i nie odzywał się.

– Zrozum, Ivan, sytuacja jest poważna. Nie chcę zostawiać cię samego. Myślałam nawet o tym, żeby poprosić cię o pomoc. Jeśli się zgodzisz, oczywiście.

– Taaa... – westchnął ciężko – ja poniał, poniał. Tak mnie z tobą trzeba by iść. Przeprowadzić przez las. Potem ty sama z doczką pójdziesz. A ja... do swoich. Ale nie tu, gdzie moja żona, tylko tam, na Ukrainu. Tak nam przyjdzie rozstać się.

Tu nie zostanę. Nie moje.

– Ależ możesz zostać! Ten domek podarował mi pewien ksiądz. Mnie i Piotrowi. Ale Piotra już nie ma i księdza nie ma. Domek jest mój. Możesz w nim mieszkać, dokąd chcesz!

– Et, sam jak palec! – zachnął się. – Co innego, kiedy ty i doczka tutaj, to ja potrzebny, ale tak... Ech, do swoich pójdę.

– Jak chcesz – powiedziała smętnie. Było mi przykro, że go zawiodłam, ale musiałam myśleć o Julianie. No i o sobie.

20 lutego 1946 r.

Z Julianą nie rozmawiałam o wyjeździe. Uważałam, że jeszcze za wcześnie. Nie chciałam, żeby wypytywała co dzień o termin podróży i marudziła (a tego byłam pewna!), żeby Ivana zabrać z sobą. Już Popiół stanowił nie lada kłopot, ale nie wyobrażałam sobie, że mogłabym go zostawić. Ivan od czasu naszej rozmowy stracił cały zapal do czegokolwiek. Wykonywał codzienne czynności automatycznie, bez zaangażowania. Dzisiaj rano podjął próbę zatrzymania mnie tutaj.

– Magdalena – powiedział stając w drzwiach izby – chcesz, ja poszukam doktora, przywiozę. Nie chcesz dać pierścionka, nie trzeba, sam się z nim policzę, do roboty jakiej najmę i się policzę. A bo ci tu źle? Ja nie taki jeszcze stary, jak wyglądam, roboty nie boję się. Chleba nam nie zabraknie. Przyjdzie czas, że w wiosce uspokoi się, łatwiej będzie z ludźmi żyć, to i doczka do szkoły pójdzie. Jakoś to będzie, Magdalena, jakoś będzie... – Przerwał i patrzył mi w oczy wyczekująco, z nadzieją.

Milczałam.

– Magdalena – powiedział po chwili, a na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech – ty dobra pani, ja ciebie od razu polubił, a doczku jak swoją umiłował. Gdzież mnie teraz rozstawać się. U mnie rodziny nie ma. Tam, na Ukrainie, może i kto jest, ale czy żyje, tego nie wiem. Zostań, Magdalena.

Rozplakałam się.



Lekturę pamiętnika Magdaleny przerwał Adamowi jakiś dźwięk. Przez chwilę nie mógł zlokalizować jego źródła. Dopiero po pewnym czasie dostrzegł na biurku telefon, który uporczywie dzwonił.

– Halo – odezwał się głosem, który nie zachęcał do rozmowy.

– Adam?

– Adam. Słucham.

– Pytam, bo trudno mi uwierzyć, że to ty. Zawsze byłeś sympatyczny. Tu Toffi.

– O co znowu chodzi? Mam okupować kolejną czytelnię? – zapytał zniecierpliwiony. Chciał wrócić do lektury, tymczasem był przekonany, że Toffi wymyśliła dla niego inne zajęcie.

– Mam dla ciebie niespodziankę. Cieszysz się? – zaszcebiotała.

– Jak diabli – mruknął po nosem.

– Pewien miły pan chciałby się z tobą spotkać.

– Po co? Znowu wpadłaś na jakiś genialny pomysł?

– Nie ja, tylko on. Proszę, zgódź się. Warto. Będzie czekał przy pomniku Fredry w Rynku. Jutro o siedemnastej. Rozpoznasz go po...

– Po krawacie? – zapytał zjadliwie.

– Po krawacie? Nie, skądże. On nie nosi krawatów. Rozpoznasz go po kimś, kogo znasz. Aha... a resztą nic. Do usłyszenia! – rzuciła na koniec i w słuchawce zaległa cisza.

Co za manipulanka! Znowu postawiła go przed jakimś faktem, zorganizowała za jego plecami spotkanie, na które wcale nie ma ochoty. Na szczęście do jutra ma jeszcze czas, żeby zastanowić się, czy chciałby tam pójść. Tego wieczoru do lektury już nie wrócił.

Następnego dnia po zajęciach podjął ostateczną decyzję. Pójdzie tam. Jeśli uzna to spotkanie za stratę czasu, nigdy już nie da się namówić Toffi na jakiegokolwiek inne.

Kiedy dotarł na miejsce, pod pomnikiem zastał kilka osób. Żadna z nich nie wydała mu się znajoma. Ot, przypadkowi ludzie, którzy kręcili się po Rynku. Zerknął na zegarek. Do siedemnastej została jedna minuta. Rozejrzał się dookoła. Nagle ktoś zakrył mu oczy. Dłonie były miękkie i pachniały mandarynką. Bez wątplenia były to damskie dłonie. Uczucie było tak przyjemne, że nie śpieszył się

ze zdemaskowaniem ich właścicielki, chociaż zżerała go ciekawość.

– Toffi? – zapytał zdumiony, gdy zabrała ręce i zjrzała mu w twarz. – Ty tutaj?!

– Tak. Mieszkam w Warszawie, ale studiuje tutaj. Przeniosłam się – powiedziała i zerknęła znacząco na mężczyznę stojącego obok. – Poznaj tato, to jest właśnie ten człowiek. A to jest mój tato, Marcin.

Tak właśnie powiedziała: tato. A przecież kiedy Adam spotkał ją pierwszy raz, mówiła, że zazdrości mu rodziców. W dodatku gdzieś widział tego faceta. Był tego pewien!

Automatycznie uściśnął wyciągniętą dłoń, podając swoje nazwisko.

– O, widzieliśmy się niedawno – uśmiechnął się pan Marcin i dodał: – w cukierni. Siedział tam pan z Olgą, moją sąsiadką. Mieszkamy drzwi w drzwi!

– Nie powiedziała o tym – bąknął Adam.

– Olga bywa tajemnicza. Albo oryginalna, jak kto woli – roześmiał się i zerknął na Toffi. – Zresztą moja córka też bywa oryginalna. Toffi, co to za imię! Zdradzę panu, że jej prawdziwe imię to Teofila. Po babce.

– Aha... – mruknął Adam, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Bardziej niż geneza imienia Toffi interesował go cel spotkania.

– Panie Adamie, nie będę ukrywał, że Toffi opowiadała mi o panu. Toffi przytaknęła gorliwie i wlepiła w Adama spojrzenie pełne satysfakcji. – Bardzo panu dziękuję, że zajął się pan moją córką, kiedy poszukiwała mnie we Wrocławiu. Widzi pan, myśmy się dotąd nie znali... Ale może siądźmy gdzieś, zanosi się na dłuższą pogawędkę. Proponuję Piwnicę Świdnicką, jest najbliżej. – Nie czekając na zgodę Adama, ruszył w kierunku Piwnicy. Już po chwili siedzieli przy stoliku. Kelner przyniósł zamówione napoje i ulotnił się dyskretnie.

– Matka Toffi i ja nie byliśmy zgodną parą – zaczął pan Marcin. – Rozstaliśmy się, zanim narodziła się Toffi. Straciliśmy kontakt. Długo przebywałem za granicą. Nie widywałem się z córką. Prawdę mówiąc, nawet się nią nie interesowałem, chociaż nie raz zastanawiałem się, co robi i jak wygląda. Jeśli powie pan teraz... Przepraszam, mogę mówić panu po imieniu? – zapytał.

– Oczywiście – zgodził się Adam.

– Jeśli powiesz teraz – kontynuował pan Marcin – że marny, a nawet żaden ze mnie ojciec, nie obrazę się. Przyjmę krytykę, bo mi się należy. No więc zajęty byłem sobą i nie śledziłem losów córki. Bywały momenty, że zupełnie o niej zapomniałem. Wiem, że brzmi to okropnie, ale założyłem szczerą w tej rozmowie. Kilka lat temu wróciłem do Polski i zamieszkałem tutaj, we Wrocławiu. W tym czasie zmarła matka Toffi, moja była żona. Wtedy córka postanowiła mnie odszukać. Trzeba przyznać, że jest w tym naprawdę dobra. Jest uparta, jak mało kto. Udało się jej znaleźć mnie po trzech latach. Dzięki niej jesteśmy teraz razem.

Adam spojrział z uznaniem na Toffi, która sączyła napój z wysokiej szklanki.

– Toffi opowiedziała mi, jak pomogłeś jej, gdy nie miała noclegu. Wspomniała też, że interesujesz się latami wojennymi, zwłaszcza sprawą banderowców. Pisziesz pracę na ten temat. Chciałem spotkać się z tobą, bo mój ojciec brał udział w akcji „Wisła” i od niego wiem, jak było naprawdę, mimo że historia różnie o tym opowiada. Jeśli byłbyś zainteresowany...

– Ależ tato – wtrąciła Toffi – nie tylko o tym miałeś...

– Tylko o tym – przerwał jej ojciec i powtórzył z naciskiem: – Zapewniam cię, tylko o tym.

Adam okazał duże zainteresowanie akcją „Wisła”, postanowili więc umówić się na dłużej w mieszkaniu pana Marcina, który dysponował starymi fotografiami i wycinkami z gazet. Teraz wracał powoli do domu rozmyślając o wszystkim, co usłyszał. W jego głowie rodziły się pytania, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

26 lutego 1946 r.

Ivan wyruszył dzisiaj do wsi. Oczywiście tej po drugiej stronie lasu.

– *Po co tam idziesz?* – zapytałam.

– *Ty w drogę chcesz iść, a nie wiemy, czy bezpiecznie ruszać się stąd. Można banderowców spotkać, a wtedy nie ma ratunku. Idę wywąchać, czy droga wolna. A i doktora może jakiego znajdę, to przyprowadzę. Może wtedy ty namyślisz się zostać, Magdalena* – odparł wkładając za pas siekiere.

– *Ivan, co ty... Po co ci ta siekiera?* – przeraziłam się.

– *No, jakby jakiego spotkał, to ubiju. Jak psa ubiju!* – zaciętrzewił się, a twarz poczerwieniała mu z nienawiści.

– *Ivan, zostaw tę siekiere. Łatwiej będzie ci uciekać, niż się bić. Może ich być cała gromada. Zostaw, proszę. Jeśli ją weźmiesz, będę się zamartwiać* – mówiłam patrząc na niego błagalnie.

Twarz mu złagodniała i nawet spojrzał na mnie przychylniej, można powiedzieć, że ciepło, co od razu wydało mi się podejrzane.

– *A może jakie drzewko ładne dla doczki wyrąbię?* – mruknął i poprawił siekiere za pasem.

– *Jakie drzewko? Po co jej drzewko?*

– *No... figurkę wystrugać, to z czego?*

Zakrył siekiere kapotą i popatrzył na mnie zuchwale. Dałam za wygraną.

– *Idź, a uważaj na siebie!* – dodałam głośniejszym głosem, słysząc, że otwiera drzwi.

– *Ty nie martw się, Magdalena. Wrócę niedługo* – odpowiedział i już go nie było.

Siedziałam nieruchomo z głową pełną wspomnień. Piotr też tak wychodził, a ja umierałam ze strachu, chodziłam od okna do okna wyglądając jego powrotu. Łzy zakręciły mi się w oczach z tęsknoty za mężczyzną, który opuścił mnie tak wcześnie.

Wydobyłam ze skrzyni lniane prześcieradła z zamiarem uszycia z nich koszulek dla Juliany. Skoro i tak opuszczamy to miejsce, nie będę potrzebowała tyle pościeli, a bielizna przyda się dziecku na drogę. Nie wiadomo, ile czasu będziemy podróżować. Moje myśli powędrowały do Warszawy. Widziałam ją taką, jaką zostawiłam przed wojną. Nie wiem, jak wygląda teraz. Mam nadzieję, że niewiele się zmieniła.

– Mamusiu, gdzie jest Ivan? – zapytała Juliana, która po wyjściu z łóżeczka pobiegła jak zwykle do komory.

Patrzyłam na to moje leśne dziecko z burzą splecionych włosów, z zarumienionymi od snu policzkami. Wyglądała jak nimfa nietknięta ręką fryzjera, w długiej lnianej koszuli płaczącej się wokół nóg. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Patrzyła na mnie trochę zaczepnie, domagając się odpowiedzi na postawione pytanie. Bardzo przypominała Piotra.

– Poszedł do wsi, kochanie – odpowiedziałam z udaną obojętnością, żeby osłabić jej reakcję. Jak się spodziewałam, gwałtowną.

– Dlaczego poszedł do wsi?! – zawołała. – Dlaczego pozwoliłaś, żeby poszedł?

– Juliano, uspokój się. Ivan wróci. Poszedł tylko po to, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Czego dowiedzieć? – dociekała.

– O której godzinie odjeżdża pociąg do Warszawy – odparłam szybko, byle coś powiedzieć.

– Ivan jedzie do Warszawy? – Oczy Juliany zrobiły się wielkie jak guziki.

– Nie Ivan. My tam pojedziemy. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym kiedyś – powiedziałam i natychmiast pożałowałam swoich słów. Nie byłam jeszcze przygotowana na tę rozmowę.

– A Ivan?

– Co Ivan? – zapytałam niewinnie, spodziewając się dalszej dociekliwości Juliany.

– Zabierzemy ze sobą Ivana?

– Niby dokąd? – obruszyłam się.

– Do babci! – rzuciła Juliana patrząc na mnie pociemniałymi z gniewu oczami. – Jeżeli Ivan nie pojedzie, to ja też nie! – Tupnęła nogą, co zdarzyło się jej ostatnio tuż przed śmiercią Piotra. Pamiętam, jak ją wtedy zbeształ.

– Juliano, proszę, żebyś nie rozmawiała ze mną w ten sposób – zmieniłam ton i zabrałam się za nawlekanie igły, dając tym do zrozumienia, że dyskusja skończona. Okazało się, że odkopałam właśnie topór wojenny.

– To brzydko tak robić! – krzyknęła, a jej oczy zaszklily się z dziecięcej bezsilności.

– Jak robić? – zdumiałam się.

– Mówiłaś, że jeżeli się z kimś rozmawia, zawsze trzeba doprowadzić rozmowę do końca. Nawet jeżeli jest trudna. A ten, kto ucieka w połowie zdania, jest tchórzem!

– Ależ ja nie uciekłam... – bąknęłam zmieszana, bo rzeczywiście uczyłam Julianę dobrych manier, miała bowiem zwyczaj wybiegać z izby, gdy brakowało jej argumentów. Teraz wykorzystwała lekcję przeciwko mnie.

– Nie uciekłaś, bo nie możesz – spojrzała wymownie na mój wózek – ale zaczęłaś szyć, a to jest to samo. – Zerknęła na mnie niepewnie, widocznie nie była do końca przekonana o swoich racjach.

– Tak, masz rację Juliano. To jest to samo – poddałam się. – Ivan nie może pojechać z nami do babci – wyrzuciłam z siebie jednym tchem. Pomyślałam, że słysząc jednocześnie te dwie informacje, przyjmie obie łagodniej. Myliłam się.

– Dlaczego nie możemy zabrać Ivana? – skupiła się na interesującym ją problemie, choć z dwojga złego wolałam, żeby pyszniła się przyznaniem jej racji.

– Ivan ma rodzinę na Ukrainie i chce do niej wrócić. To znaczy tam pojechać – sprostowałam przypominając sobie, że na tych terenach mieszkał od urodzenia.

– Nieprawda – zaprzeczyła Juliano i wzięła się pod boki. Wyglądała jak przekupka na targu. Nie znosiłam tego.

– Juliano, nie kłóć się ze mną. Wiem, że tak jest. Rozmawiałam z Ivanem.

– Ja też rozmawiałam – zmieniła wprawdzie postawę, ale nie ton głosu. – Nawet wczoraj w kurniku, kiedy zbieraliśmy jajka. Ta pstrokata kura przestała się nieść – dołożyła przy okazji informację. Była jak zwykle bardzo skrupulatna. – Ivan powiedział, że teraz my jesteśmy jego rodziną, a przynajmniej tak się z nami czuje.

– I co ci jeszcze powiedział? – zapytałam słabym głosem, podejrzewając, że o planach wyjazdowych też jej wypaplał. Miałam rację.

– Powiedział, że wyjeżdżamy w kwietniu. Tak powiedział: wyjeżdżamy. I wiesz co? Nawet się ucieszyłam. Ale jeśli Ivan nie pojedzie z nami do babci, to ja też nie pojedę, mamusiu. Czy mogę już odejść? Chce mi się jeść. – Zapytała dla zasady i umknęła do komory.

3 marca 1946 r.

Ivan nie wrócił. Juliano zlewa ten fakt obficie łzami, ja truchleję ze strachu przed przyszłością. Przejęłyśmy na powrót wszystkie domowe obowiązki. Nadmiar pracy jest o tyle dobry, że pozwala oderwać myśli od nurtującego nas problemu. Noce jednak, gdy Juliano zmęczona rozpaczą i codziennymi zajęciami natychmiast zasypia, ja spędzam bezsennie, przerażona sytuacją. Sen przychodzi nad ranem, ale wtedy budzi mnie Juliano świeżą porcją lamentów. Wzywają też obowiązki. Zastanawiam się, co się stało. Ivan mógł zginąć z rąk oprawców, wdać się w bójkę, pewien swojej siekiery. Mógł też zrezygnować z dalszej opieki nad nami i wyruszyć na Ukrainę. Jest przecież wolnym człowiekiem. Musiałam zrewidować moje plany,

zacząć układać wszystko od nowa. Jest początek marca, mam niewiele czasu, by przygotować siebie i dziecko do podróży, która stanowi wielką niewiadomą, poza faktem, że od samego początku do jej kresu muszę radzić sobie sama. Od zniknięcia Ivana żyję w ciągłym napięciu, nasłuchując dźwięków spoza domu, w których dopatruję się niebezpieczeństwa w postaci Ukraińców czyhających na nasze życie. Nie do końca ufam też Ivanowi. Mógł przecież ratując własne życie zdradzić naszą kryjówkę lub zmienić swoje poglądy i przystąpić do banderowców. Boję się.

7 marca 1946 r.

Ten dzień był jak zły sen. Już od rana wszystko wypadło mi z rąk. Nawet krowa podczas dojenia niefortunnie kopnęła nogą i wylała cały cebrzyk mleka. Do południa żadna robota mi nie szła. Na domiar złego bóle gdzieś tam w środku nasiliły się i musiałam się na pewien czas położyć, czym przestraszyła Julianę. Patrzyła na mnie przerażonymi oczami i pytała co chwilę, czy już przestało mnie boleć. Nie przestawało, więc podobne pytania tylko nasilały moją irytację. Około trzeciej po południu zdrzemnąłam się. Obudził mnie głośny łomot do drzwi. Przez chwilę myślałam, że usłyszałam go we śnie. Łomot powtórzył się jednak, a przy moim łóżku pojawiła się roztrzęsiona Juliana. Buzię miała zapchaną serem, co oznaczało, że myszkowała w komorze. Teraz patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Za drzwiami przez pewien czas panowała upiorna cisza. Potem ktoś nacisnął klamkę i do chaty wtargnęło kilku mężczyzn. Policzyłam, że było ich pięciu. Usiadłam na posłaniu i przygarnęłam stojącą przy mnie przerażoną Julianę.

– Polka? – zapytał pierwszy z nich, w czapce z daszkiem.

– Tak – odparłam głosem drżącym ze strachu.

– To córka? – zapytał wskazując na Julianę.

– Tak, córka – odpowiedziała za mnie Juliana i wyprostowała się godnie.

– Też mam taką – uśmiechnął się lekko mężczyzna w szarej kurtce, stojący nieco z tyłu.

– Jak ma na imię? – zapytała odważnie Juliana, czym wprowadziła mnie w zdumienie, a rozbawiła tego z tyłu.

– Marysia – odpowiedział. – A ty?

– Juliana – powiedziała wysuwając się do przodu i wyciągając do niego rączkę tak, jak ją uczyłam.

– Nie błaznuj – upomniął go ten w czapce.

Mężczyzna w szarej kurtce zignorował uwagę i zamknął w swoim wielkim łapsku małą rączkę Juliany.

– A pan jak ma na imię? – zapytała Juliana zwracając się do tego w czapce.

Śledziłam to wszystko i wydawało mi się, że oglądam film. Mężczyzna z przodu obrzucił ją zirytowanym spojrzeniem, ale nie dawała za wygraną.

– Ma pan córeczkę? – dociekała nie zrażona.

– *Ma* – odpowiedział trzeci z nich, zwałisty chłop, stojący na samym końcu.
– *Proszę, niech panowie usiądą. Mogę poczęstować mleczkiem* – powiedziała *Juliana*, po czym zakrzętnęła się po izbie i pozbierała rozrzucone na krzesłach fatalaszki.

Nie mogłam wydobyć głosu. Ku mojemu zaskoczeniu czterech z nich skorzystało z jej propozycji i usiadło, rozglądając się po izbie. Ten w czapce popatrzył na nich z naganą i pozostał na swoim miejscu. Juliana zdjęła z półki gliniane kubki i pobiegła do komory po garnuszek z mlekiem. Nie miałam czasu zastanawiać się, kiedy nauczyła się gościnności, skoro nikt do nas nie przychodził, ponieważ ten w czapce zwrócił się bezpośrednio do mnie.

– *A mąż?*

– *Nie ma* – odparłam krótko.

– *Dawno poszedł?*

– *Dawno* – odpowiedziała *Juliana* wracająca właśnie z mlekiem. – *Poszedł i my z mamusią teraz na niego czekamy.*

Ten w czapce skinął na zwałistego, który wstał i wyszedł na podwórko. Po chwili dwóch innych mężczyzn wprowadziło Ivana. Patrzył na mnie błagalnym wzrokiem, jakby chciał coś powiedzieć.

– *To mąż?* – zapytał ten w czapce, badając mnie spojrzeniem.

Na to pytanie nalewająca mleko do kubków Juliana podniosła głowę, a widząc Ivana podbiegła do niego z prędkością strzały i przyłgnęła całym ciałem do jego znoszonej kapoty.

– *Mąż?* – powtórzył pytanie zniecierpliwionym głosem ten w czapce.

– *Tak* – odpowiedziałam zdecydowanie.

– *Ukrainiec?* – badał dalej.

– *Polak* – powiedziałam tonem nie znoszącym sprzeciwu. – *Jaki znowu Ukrainiec!* – dodałam oburzona.

– *Dlaczego się ukrywasz?* – zwrócił się do niego, zdjął czapkę i położył na brzegu stołu. – *Tylko tchórze nie bronią ojczyzny!*

– *Przecież zgubił paluszki!* – zdenerwowała się *Juliana* i jako dowód wyciągnęła do przodu prawą dłoń Ivana.

– *Na wojnie?* – upewnił się milczący dotąd mężczyzna, wycierając wierzchem dłoni resztę mleka z wąsów.

– *Na wojnie* – odparła z przekonaniem *Juliana*. *Potem sięgnęła do kieszeni fartuszka, wydobyła drewnianą figurkę pieska, którą zawsze nosiła przy sobie, i zadzierając wysoko główkę, podała temu, który zdjął czapkę.*

– *Proszę. To dla twojej córeczki. Powiedz jej, że od Juliany.*

– *Dobrze, dobrze...* – odparł zakłopotany, przyjmując zabawkę i chowając ją do własnej kieszeni. – *On nie słyszy?* – zapytał jeszcze, patrząc na mnie podejrzliwie.

Pokiwałam smutno głową.

– Idziemy, panowie! – zwrócił się do pozostałych, którzy jak na komendę wstali i wyszli z izby.

– Do widzenia! – zawołała za nimi Juliana, ale nie odpowiedzieli. Po chwili drzwi za nimi zamknęły się z hałasem.

– Boże, co to było? – jęknęłam i opadłam na poduszkę, a krew odpłynęła mi z twarzy.

– Partyzanty – wychrypiał Ivan i przypadł do moich rąk – Magdalena, gdyby nie ty... oni ubiliby. Ja nie odzywał się, żeby nie zdradzić, że Ukrainiec. I ty, doczka! Wy mnie uratowali! – Przytulił do serca Julianę i kołysał nią rytmicznie, jakby nigdy już nie miał jej wypuścić z rąk.

– Kiedy cię złapali? – zapytałam słabym głosem.

– A ot, dzisiaj! Jak tylko do lasu wszedł. Prowadzili aż tutaj. Pytali o różne rzeczy, a ja nic się nie odzywał. Dziwne partzanty. Inne od razu by ubili. A oni nie. I krowy nie zabrali. Niczego nie zabrali. Dziwne, dziwne ...

– Ivan, gdzie byłeś tyle dni? – zapytałam przyglądając mu się uważnie.

– Ot, do roboty najął się u takiej jednej. Ona chyba Niemka była. Z brzuchem po zęby. My nie rozmawiali. Płaciła, to ja robił. Doktora ja znalazł w miasteczku i namówił, żeby on tu przyszedł. Ale wczoraj z całą rodziną go powiesili. Ukraińcy, psubraty!

14 marca 1946 r.

Ivan się zmienił. Chodzi zamyślony, niewiele się odzywa. Nie pytam o nic, ale przypuszczam, że jego stan związany jest ze zbliżającym się wyjazdem moim i Juliany. Temat ten wraca niemal każdego dnia. Juliana nie chce ustąpić w kwestii zabrania Ivana do Konstancina i na tym tle wybuchają ciągle nieporozumienia. Wywalczyłam jedynie to, by nie poruszała tego tematu przy Iwanie. Tłumoczek z naszymi rzeczami, który leży za łóżeczką Juliany, urósł do pokaźnych rozmiarów bagażu. Wszystko przecież może się przydać. Ivan wzdycha na jego widok, ale milczy. Wie, że decyzja jest nieodwołalna.

17 marca 1946 r.

– A co będzie z krową? – zapytał Ivan stawiając na progu wiadro ze świeżo udojonym mlekiem.

– Nie rozumiem – powiedziałaam spojrzawszy na niego znad obieranej właśnie marchewki. – Co ma być z krową?

– No, mučki ty kolejną nie powieszysz – powiedział nadąsany i poszedł odcedzić mleko.

Ivan ma rację. Krowa, kury i pies stanowią nie lada kłopot. Kury możemy po prostu zjeść. Ale krowę?

29 marca 1946 r.

Dzisiaj przyśnił mi się Piotr. Szedł gdzieś z zatroskaną miną. Rozglądał się,

jakby czegoś szukał. W końcu zatrzymał się, podniósł rękę i pomachał do kogoś. Kiedy się obudziłam, miałam wrażenie, że ten gest przeznaczony był dla mnie. Przez cały dzień towarzyszyło mi dziwne uczucie, że on gdzieś tam na mnie czeka.

4 kwietnia 1946 r.

Dzień wstał piękny. Słońce popisywało się pełnią blasku i pozwoliło dostrzec to, czego dotychczas, zatroskana czekającą mnie podróżą oraz pogarszającym się zdrowiem, nie zauważałam. Okoliczne brzoźki otuliły się mgiełką świeżej zieleni, z ziemi sterczały czupryny młodej trawy, a ptaki świergocząc uwijały się wokół gniazd. Juliana biegła za Ivanem, który krzątał się z markotną miną przy gospodarstwie. Wytoczyłam swój skrzypiący wózek przed dom i wystawiając twarz do słońca, pozwoliłam na dotyk jego ciepłych promieni. W pewnej chwili padł na mnie cień.

– Ivan? – zapytałam leniwie, nie otwierając oczu.

Zastanowiło mnie jego milczenie.

– Ivan? – powtórzyłam głośniejszym głosem i podniosłam powieki, osłaniając się dłonią przed słońcem. Przede mną stała kobieta, krępa, może pięćdziesięcioletnia. Twarz miała zniszczoną, ale trzymała się prosto. Trudno było ocenić jej wiek. Przyglądała mi się w milczeniu.

– Co pani tu robi? – zapytałam zdumiona. Ponieważ wciąż nie odzywała się, pomyślałam, że jest Ukrainką albo Niemką. Żadnego z tych języków nie znałam. Rozejrzałam się bezradnie za Ivanem, ale nie było go w pobliżu.

– Słucham panią – zwróciłam się ponownie do nieznajomej, choć serce podchodziło mi do gardła ze strachu, że być może sprowadziła tu jakąś bandę, która teraz czai się w zaroślach. Ale kobieta rozejrzała się trwożliwie.

– Pani jest Polką? – zapytała ściszym głosem. – Sama pani tu jest? – dorzuciła nie przestając się rozglądać. Była tak samo przerażona jak ja.

– Tak, jestem Polką – potwierdziłam z ulgą, że mówi zrozumiałym dla mnie językiem i nie ma chyba złych zamiarów, skoro sama się boi. – Nie jestem sama. Mieszkam z rodziną – dodałam.

– Ivan? – zapytała. – Mąż to Ivan?

Nie potrafiłam odpowiedzieć jednoznacznie na tak postawione pytanie. Ale w gruncie rzeczy ona za chwilę stąd odejdzie. Czy muszę jej tłumaczyć, kim jest Ivan?

– Tak. Skąd pani wie?

– Wołała go pani.

– Ach, tak... – uśmiechnęłam się. – Rzeczywiście... Jak pani tu trafiła? – zmieniłam temat.

– Czy mogłabym liczyć na coś do jedzenia? – zignorowała moje pytanie. – Dawno nie miałam nic w ustach. Słabo się czuję.

– Ależ tak, oczywiście – zreflektowałam się. W obliczu tak ciężkich czasów

pytanie, czy ktoś jest głodny, powinno być retoryczne. – Proszę do środka. Zaraz coś przygotuję.

– Nie, nie trzeba. To znaczy... zostaną tutaj. Przykro mi, że sprawiam kłopot – powiedziała obrzuciwszy szybkim spojrzeniem mój wózek.

Kiedy wróciłam z serem, mlekiem i kilkoma gotowanymi marchewkami, nieznajoma siedziała na pieńku, którego Ivan używał do rąbania drewna.

– Proszę – podałam jej posilek. – Mam tylko to. Mąka skończyła się kilka dni temu.

– Dziękuję, dziękuję bardzo. – Popatrzyła łakomym wzrokiem na prowizoryczną tacę z kawałka deseczki, a potem zaczęła łapczywie jeść.

– Proszę uważać i nie jeść tak szybko. Może pani sobie zaszkodzić – upomniałam ją.

– Wiem, wiem, czym to grozi. Przed wojną pracowałam w szpitalu – odpowiedziała z ustami pełnymi sera.

– Jest pani pielęgniarką? – zapytałam pełna nadziei na pomoc w moich dolegliwościach. Pielęgniarki często znają się na medycynie nie gorzej niż lekarze, którym asystują.

– Pielęgniarką? Nie. – Uśmiechnęła się. – Byłam lekarzem. Byłam, bo od sześciu lat nie leczę chorych. Przez całą wojnę ukrywałam się.

– Lekarzem?! – zakrzyknęłam, aż podskoczyła i z wrażenia przestała jeść. – Co więc pani tu robi?

– To długa historia – powiedziała, odstawiła na trawę deskę z nie opróżnionymi jeszcze naczyniami i wytarła usta wierzchem dłoni.

Do furtki zbliżał się Ivan z naręczem chrustu. Obok niego podskakiwała Juliana wymachując patykiem. Za nimi biegł Popiół. Ujrawszy nieznajomą kobietę Ivan zawahał się i powiedział coś do Juliany. Dziewczynka natychmiast schowała się za jego plecami. Popiół zaczął ujadać, ale Ivan uciszył go ruchem dłoni. Zadziwiające, jak potrafił podporządkować sobie nas wszystkich, nawet psa. Pomachałam do Ivana, a kobieta natychmiast spojrziała w tamtym kierunku.

– To mąż? – zapytała ze źle ukrytym zdziwieniem. Pewnie spodziewała się kogoś młodszego.

Nie chciałam się przed nią tłumaczyć.

– Tak – odpowiedziałam krótko.

Popiół przybiegł pierwszy. Merdał niepewnie ogonem, patrząc to na mnie, to znów na nieznajomą. Gdyby podniosła na mnie rękę, bez wątpienia rzuciłby się na nią. Wprawdzie usiadł przy wózku, podstawiając łeb do głaskania, ale był w pogotowiu. Po chwili przybiegła Juliana. Ivan poszedł najpierw do drewnutni, pozbyć się chrustu. Juliana dygnęła grzecznie i wbiła we mnie pytające spojrzenie. Zanim dokonałam prezentacji, pojawił się Ivan. Patrzył groźnie. Kobieta bezwiednie poprawiła włosy i zapięła guzik bluzki pod samą szyją.

- *Coś ty za jedna? – zapytał bez ogródek.*
- *Ruta. Ruta Kessler – przedstawiła się szybko.*
- *Ty Żydówka?*
- *Tak – odparła spłoszona, zerkając na mnie, jakby oczekiwała wsparcia w tym całym przesłuchaniu.*
- *Ty tu sama? Gadaj! – podniósł głos.*
- *Sama. Zupełnie sama. Niech pan nie krzyczy, ja...*
- *Co tu robisz?*
- *Ivan, daj spokój – wtrąciłam się. – Porozmawiamy później. Pani jest głodna, zmęczona, pozwól jej spokojnie dokończyć posiłek.*
- *Won! – krzyknął, nie zwracając uwagi na moje słowa.*
- Nie wierzyłam własnym uszom. Kobieta podniosła się z ociąganiem, twarz miała przerażoną. Nie patrzyła jednak na Ivana, tylko na mnie.*
- *Ivan, uspokój się – mitygowałam go bez przekonania. Wiem, jaki potrafi być uparty.*
- *Won! – powtórzył patrząc złowieszczo.*
- Nieznajoma podniosła nieduży węzełek, który spoczywał koło niej, zerknęła tęsknie na ledwo rozpoczęte jedzenie i ruszyła w kierunku furtki.*
- *Ivan! Coś ty zrobił! – krzyknęłam. – Ona jest lekarzem!*
- Patrzył na mnie z niedowierzaniem.*
- *Już ja znam ich. Swołocz! Gdzie jej tam do doktora! Doktory po lasach się nie włóczą!*
- *Co ty tam wiesz! Niech pani wraca! Wracaj! – zawołałam w kierunku znikającej za płotem kobiety.*
- Przysłuchująca się wszystkiemu Juliana rzuciła swój patyk i pobięła za nią. Po chwili ciągnęła ją za rękaw, żywo coś opowiadając. Ivan machnął ręką i zniknął w środku chaty. Byłam pewna, że stanął przy oknie i bacznie wszystko obserwował.*
- *Przepraszam panią – powiedziałam, wskazując jej miejsce na pieńku. – Ivan jest bardzo porywczy i nieufny. Takie czasy. Juliano, podaj pani tacę – zwróciłam się do dziecka.*
- Kobieta usiadła niepewnie i przyjęła kubek mleka z rąk Juliany. Przez cały czas zerkala w kierunku domu.*
- *Proszę jeść – powiedziałam. – Potem wszystko nam pani opowie.*
- *Pani mąż... to Ukrainiec? – zapytała nieśmiało.*
- *Ukrainiec – potwierdziłam.*
- *I nie boi się pani?*
- *Czego? To dobry człowiek. Trochę nerwowy, ale ma dobre serce. Bardzo się o nas boi, pewnie dlatego zachował się w ten sposób. Proszę opowiadać – zachęciłam ją, gdy zobaczyłam, że skończyła jeść.*
- *Pochodzę z Łodzi. Moja rodzina została uwięziona w gettcie.*


– Co to gettacie? – zapytała Juliana, też przysłuchująca się opowieści.
– Getto. To takie miejsce, gdzie izoluje się ludzi, w tym przypadku Żydów. Odcięty kawałek miasta, ogrodzony i pilnie strzeżony, żeby ludzie uwięzieni tam nie mogli wyjść poza granice – wyjaśniła. – Tam właśnie znalazłam się z rodzicami i siostrą. Mój mąż został wywieziony do Oświęcimia. Pewnie nie przeżył, bo ślad po nim zaginął. Dzieci nie mieliśmy. Przed wojną byłam lekarzem. Zajmowałam się chorobami płuc. Kiedy wybuchła wojna, pomagałam matce sprzedawać nasze kosztowności, by przeżyć. Ojciec zabronił mi przyznawać się, że znam się na medycynie. Bał się, że będę musiała pracować w jakimś niemieckim szpitalu albo wywiozł mnie na front, żebym opatrywała rannych. Nie wszyscy jednak zapomnieli o moim fachu. Pewnego dnia dostałam informację, że ktoś jest umierający i potrzebuje pomocy. Była to młoda zakonnica. Zgodziłam się ją obejrzeć. Przy pomocy jakiegoś mężczyzny udało mi się wydostać z getta. Oczywiście w tajemnicy przed rodziną, zwłaszcza ojcem. Nigdy już do getta nie wróciłam. Zakonnice ukrywały mnie w swoim klasztorze. Niestety ta młoda umarła. Nie byłam już tam potrzebna. Wtedy one wpadły na pomysł, żebym przebrała się w strój zakonny zmarłej i opuściła miasto. Jedna z nich dała mi adres swojej rodziny mieszkającej w jednej z tutejszych wsi. Podróż tutaj była koszmarem. Wynajmowałam przygodne furmanki, kryłam się po polach, jadłam to, co podarowali mi spotykani ludzie. Dawali mi jedzenie jako zakonnicy. Przypuszczam, że gdybym nie była przebrana, nie byłiby skłonni do pomocy. Przynajmniej nie w takim stopniu. Czasami chroniłam się w jakimś klasztorze, czasem na plebaniach przy małych kościółkach. Spędzałam tam kilka dni, nieraz tygodni. Nie mogłam jednak zostać na dłużej. Nie miałam odpowiednich dokumentów. Wprawdzie nie przyznawałam się do mojego pochodzenia, ale i tak bałam się, że spotkam Niemców, którzy mnie wylegitymują. Kiedy dotarłam na miejsce, okazało się, że wszyscy Polacy uciekli lub zostali zamordowani przez banderowców. Tej rodziny, której szukałam, też już tu nie było. Znowu musiałam uciekać. Tym razem nie przed Niemcami, a przed Ukraińcami. Pomyślałam, że wrócę do Łodzi, bo przecież wojna już się skończyła. Jednak na tych terenach wciąż nie jest bezpiecznie, więc skryłam się w lesie. Muszę się stąd wydostać i poszukać jakiegoś pociągu. Wrócić do swoich. Nie wiem nawet, czy z mojej rodziny ktoś przeżył...

– Boże – przerwałam jej – nic nie wiem o wojnie. Tutaj jej prawie nie było. A pani... Pani spadła mi z nieba.

– Dlaczego? – zdziwiła się.
– Ja też chcę uciec. Nie jestem stąd. Chcę wrócić z córką do Warszawy. Pomyślałam, że wyruszymy razem z panią.

- A Ivan? – Mimoходом spojrziała w kierunku chaty.
- Ivan wyprowadzi nas z lasu. Potem się rozstaniemy – powiedziałam.
- Rozumiem – bąknęła, choć nie rozumiała niczego.

Pomyślałam, że przyjdzie czas, gdy opowiem jej o wszystkim. Ale jeszcze nie teraz.



Adam był podekscytowany spotkaniem. Po wizycie w domu pana Marcina wiele sobie obiecywał. Poza tym chciał zobaczyć Toffi. Musiał przyznać, że fascynowała go ta dziewczyna. Nie tylko uroda, ale też upór w dążeniu do celu i jej tajemniczość nie dawały mu spokoju. Poza tym chciał się dowiedzieć, co łączy Toffi ze sprawą Magdaleny, która znowu zaczęła go niepokoić. Wprawdzie nie utożsamiał się z życiem bohaterki pamiętnika i nauczył się zachować dystans, Magdalena jednak prześladowała go w snach, w których widział wyraźnie pochyloną nad sobą jej twarz. Budził się zlany potem i nie mógł zaznać spokoju w ciągu dnia. Wiedział, że musi coś dla niej zrobić, na razie jednak nie miał pojęcia, co.

Klatka schodowa, do której wszedł, pachniała czymś nieokreślonym. Był to zapach charakterystyczny dla starych kamienic, oddychających przeszłością. Bez trudu odnalazł drzwi z numerem 7. Nacisnął krótko dzwonek. Kroki odezwały się niemal natychmiast. Po chwili zgrzytnął zamek w drzwiach i pojawiła się uśmiechnięta twarz pana Marcina.

– Wejść chłopcze – powiedział i poklepał go na przywitanie po ramieniu. – Jesteś punktualny. To cecha, którą bardzo cenię.

Adam rozejrzał się dyskretnie po mieszkaniu. Nie uszło to uwadze gospodarza.

– Toffi nie ma – roześmiał się. – Widzę, że jej szukasz. Nie mieszka ze mną, choć bywa tu dość często – wyjaśnił widząc zawiedzione spojrzenie Adama.

– Nie, skąd! Nie szukam jej. Rozglądam się tylko – tłumaczył się niepotrzebnie. – Ciekawe mieszkanie. Sporo pamiątek.

– A tak. Zawsze coś przywożę z podróży. Pozwolisz, że zaparzę herbatę. Wejść do pokoju i rozgość się, proszę.

Adam usiadł na kanapie. Na niskim stole leżały jakieś papiery i zdjęcia. Widocznie pan Marcin przygotował się do tej rozmowy.

– Z rumem? – dobiegł go głos z kuchni. – Dodam łyżeczkę rumu, na rozgrzewkę. Lubisz?

Adam nie wiedział, czy lubi. Przeważnie herbatę pił z cytryną.

– Lubię – odpowiedział – bardzo.

– To dodam dwie – roześmiał się pan Marcin i za moment pojawił się w drzwiach z okazałą tacą, która Adamowi skojarzyła się z deską, na której

Magdalena podała ser i mleko swojemu gościowi.

– Obiecałem ci, że opowiem o akcji „Wisła”, w której brał udział mój ojciec.

– W tym celu przyszedłem – powiedział Adam i sięgnął po kubek z herbatą.

– Co ty właściwie studiujesz? – zapytał pan Marcin. – Wiem, że historię, ale możesz mi powiedzieć dokładniej?

– Historię w przestrzeni publicznej – odparł Adam.

– Aha... To znaczy... – zaczął pan Marcin, ale nie potrafił sprecyzować, na czym to właściwie polega. Adam przyszedł mu z pomocą.

– To nauka o przeszłości prezentowanej w nieco inny sposób, niż robią to tradycyjni historycy. Naszym zadaniem jest określanie, jak przeszłość funkcjonuje w teraźniejszości i jak wygląda na tym tle pamięć historyczna. Historia, jakiej uczymy się w szkołach, chce wiedzieć, jak było. My natomiast dociekamy, co wiedzą ludzie o tym, co było. To takie trochę historyczne dziennikarstwo.

– Ach, więc twoja wizyta tutaj jest jak najbardziej zasadna. Dowiesz się właśnie, co wiem o tym, co było. Z bardzo wiarygodnych źródeł. Powtórzę ci, co opowiadał mi ojciec.

– To wiedza, która teraz bardzo mi się przyda. Piszę pracę na ten temat.

– Wiem od Toffi. Piszesz o banderowcach.

– Między innymi. Konkretnie trafiłem na ślad kobiety, której mąż zginął z ich rąk. Ona przeżyła, choć została przez nich okaleczona. Miała córeczkę. I właśnie ta córeczka, dzisiaj stara kobieta, może nawet nieżyjąca, będzie przedmiotem moich poszukiwań i badań.

– Interesujące. Bardzo interesujące – mruknął pan Marcin. – To co? Zaczynamy?

– Jasne! – Adam poprawił się na kanapie i upił łyk herbaty. Miała intensywny rumowy smak.

– Spójrz na to zdjęcie. To mój ojciec na tle swojego domu. Jeszcze przed wojną. A tu w mundurze, widzisz?

– Nie był już pierwszej młodości.

– Nie. Miał żonę i dwoje dzieci. Ale potrzebny był ojczyźnie, to poszedł. O tej akcji dzisiaj różnie się mówi. Jedni zarzucają Polakom, że nie możemy wybaczyć banderowcom zbrodni, a sami nie byliśmy lepsi i też zabijaliśmy ludność cywilną, inni twierdzą, że żołnierze dostali kategorię zakaz zabijania w jakikolwiek sposób cywilów. Mieli ich jedynie wysiedlić. A jak było naprawdę? Trudno ocenić. Mój ojciec mówił, że rozkaz o przeprowadzeniu tej akcji wydała Moskwa. Przygotowano ją dużo wcześniej. Ale to zasadzka zastawiona na generała Świerczewskiego i w rezultacie jego zastrzelenie w Bieszczadach stały się pretekstem do jej rozpoczęcia. Według ojca było to działanie konieczne. Gdyby nie śmierć Świerczewskiego, która tę akcję przyspieszyła, gdyby nie wysiedlono Ukraińców na Ziemię Odzyskane, to oni zlikwidowaliby wszystkich Polaków

z tych terenów. Mój ojciec był w oddziale MO. Opowiadał, że wszedł raz do chałupy, w której mieszkali Polacy, cała rodzina, ze trzy pokolenia. Wszyscy mieli rozplątane siekierami głowy. We krwi, którą uwalana była podłoga, nogi grzęzły. I smród był nie do zniesienia. To robota tamtych, banderowców. Więc co? Nasi mieli czekać, aż wyrzną ich wszystkich? Ojciec mówił tak, jakby się usprawiedliwiał. Ale ten widok pozostał w nim do końca życia. Tego nie można zapomnieć.

– Ciekawe, czy porwaliby się na Ukraińców, gdyby nie rozkaz? – zastanowił się głośno Adam.

– Myślę, że w końcu tak. Może nie byłoby to tak zorganizowane, może nie byłoby to wojsko i milicja, tylko jacyś samozwańcy, partyzanci... Nie wiem. Ale czy warto się nad tym zastanawiać? Spójrz na to – pan Marcin podał Adamowi pożółkły papier. – To była wyraźna kampania propagandowa. Wzywano do działania poprzez pobudzanie nastrojów antyukraińskich w polskim społeczeństwie. Można by też powiedzieć, że brzmi to jak usprawiedliwienie, że ta akcja jest niezbędna. Czytaj.

Adam wziął postrzępioną na brzegach kartkę z rąk pana Marcina.

– „Banderowcy chcą oderwać od polski południowo-wschodnie powiaty i stworzyć z nich faszystowskie państwo, które oni nazywają Samostijna Ukraina. Dlatego też każdy żołnierz, który chce, by w kraju zapanował ład i porządek, by ustały grabieże, by szybciej odbudował się zniszczony nasz kraj, powinien z całych sił zwalczać faszystowskich bandytów. Żołnierzu! Pamiętaj! Musisz oczyścić południowo-wschodnie powiaty z resztek band UPA. To jest twoim obowiązkiem, tego wymaga interes Polski – interes całego narodu!” – przeczytał i spojrzał na swojego rozmówcę.

– Czy oczyścić to znaczy...

– Myślę, że chodzi przede wszystkim o wysiedlenia. Wspominając wrażenia, jakie robiły chaty polskie pełne krwi i trupów, ojciec zaciskał pięści i mówił: „Patrząc na to, coś nas pchało do ukraińskich chałup z granatami, by tych morderców wybić co do jednego, ale dowódca nie pozwalał tego robić. Poszlibyśmy za to pod sąd wojenny. My, oddziały milicji tworzone z akowców, ani wojsko polskie, nie atakowaliśmy wsi. Wojsko po takich ukraińskich akcjach udawało się w pościg za mordercami, bo chciało rozbić bandy. Ale cywili zostawiali w spokoju. Nie zabijali, tylko wysiedlali. Potem palili te wioski. W południe wysiedlali, a wieczorem wieś już płonęła. Nie wiem, dlaczego. Może żeby tamci nigdy już nie wrócili? Oczywiście, Ukraińcy, mam na myśli również Bojków i Łemków, wcale nie chcieli opuszczać swoich wsi. Byli do tej ziemi przywiązani. Kombinowali. Fałszowali dokumenty, metryki, zmieniali religię, przynależność partyjną, udawali chorych, byle tylko pozostać na miejscu. Nic to nie pomogło. Oddział ojca, zanim wszedł do wsi, zawsze wysyłał zwiad. Jeśli wieś

reagowała spokojnie, oznaczało to, że nie ma tam banderowców. Wtedy wchodzili, zganiali ludzi według sporządzonej wcześniej listy, dawali im godzinę czy dwie na spakowanie rzeczy i kazali się wynosić. Ale z relacji ojca wynika, że niektóre oddziały bombardowały wsie, zanim weszły. Wtedy ginęli i cywile.

– Jednak nie byli takimi bestiami, jak oni. Nie wydłubywali oczu i nie ściągali płatami skóry z człowieka – zaperzył się Adam.

– No, tak do końca to nasi też bez winy nie byli. Weźmy choćby Jaworzno. – Pan Marcin wydobył spod stosu papierów kilka fotografii i podał Adamowi.

– Jaworzno? – zdziwił się Adam.

– Obóz koncentracyjny. Stworzony przez Niemców jako filia obozu w Oświęcimiu. Ale to Polacy wykorzystali ten obiekt do uwięzienia Ukraińców. Mówili, że spełniają testament Świerczewskiego. Mojego ojca tam wprawdzie nie było. Ale byli jego koledzy. Jeden z nich przekazał mu zdjęcia i jakieś dokumenty. Niedługo potem umarł. Pewnie czuł śmierć i dlatego oddał pamiątki. To przecież historia. Niechlubna dla nas, ale historia. W tym obozie osadzono kobiety, dzieci, starców... I jak to w obozie, więźniów bito i głodzono. Niestety, Polacy też mają grzechy. I nie wykręcimy się, bo byli świadkowie, którzy opowiadali o igłach wbijanych pod paznokcie, zatykaniu ust gałganami i wlewaniu wody do nosa. Człowiek miał wrażenie, że za chwilę się udusi i wiele by dał, żeby to się szybko stało. Męczono ukraińskich cywili, którzy zadawali sobie pytanie: Za co? Mieszkańcy Jaworzna nieraz widzieli, jak wywożono trupy, by zakopać je w lesie. Na korzyść strażników obozu może przemawiać jedynie to, że widząc umierającego Ukraińca, przed którym były jeszcze godziny męczarni, wstrzykiwali mu jakiś środek uśmierzający, żeby nie cierpiał. Ten obóz funkcjonował dwa lata. W czterdziestym dziewiątym wypuszczono tych, co przeżyli. Wydano im dokumenty, na których widniało zwolnienie z aresztu. O, zobacz, tutaj mam taki dokument. – Pan Marcin podał Adamowi mały prostokątny kartonik. – Zdjęcia więźniów poobcinano, żeby nie było widać obozowych numerów, które mieli zawieszane na szyi. Łącznie więziono trzy tysiące dziewięćset osób. Bezwzględnie zakazano im mówić o Jaworznie. Musieli podpisać się pod dokumentem, że nie powiedzą ani słowa. Potem ich deportowano z zakazem opuszczania miejsca, w którym odtąd przyszło im żyć. Do pięćdziesiątego roku nie wolno im było korzystać z posług religijnych ani uczyć w szkole rodzimego języka. Też słodko nie mieli. Jak i my. Ech, lepiej byłoby o tym wszystkim zapomnieć i nie dopuścić, by kiedykolwiek się powtórzyło. Wojna to wojna. Samo zło.

Ktoś zapukał, a właściwie zachrobetał do drzwi. Widocznie ten dźwięk był umowny, bo pan Marcin uśmiechnął się szeroko i wstał z fotela.

– Chyba koniec naszego męskiego spotkania. Słyszę pazurki Toffi – powiedział.

Adam chrząknął i przygładził włosy.

– Cześć, tato. Zimno. Poproszę o herbatę. – Toffi przywitała się z ojcem, zdjęła kurtkę i weszła do pokoju.

– O, Adam! – zawołała zaskoczona. Widocznie zapomniała, że umówił się z jej ojcem. – I cóż, dowiedziałeś się czegoś?

– Dowiedziałem, oczywiście, że tak. Przyda mi się do... – zaczął, ale zauważył, że nie słucha. Zaczęła gorączkowo szukać czegoś w torebce.

– Proszę, to dla ciebie. Schowaj.

– Co to jest? – zapytał, biorąc do ręki niedużą szarą kopertę.

– Zobaczysz w domu. Schowaj!

Przez chwilę ważył kopertę w dłoni, zanim włożył ją do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki. Niepokoiła. Miał wrażenie, że go uwiera. Pan Marcin postawił przed Toffi wielki kubek z herbatą i otworzył pudełko czekoladek.

– Częstujcie się. Czym chata bogata! – zachęcił i poklepał Toffi po zziębniętym, zaróżowionym od wiatru policzku, a Adam pozazdrościł mu swobody tego gestu. Toffi była ładna. Zbyt ładna, by ośmielić Adama.

Natychmiast po powrocie do domu Adam niecierpliwie otworzył kopertę. Znalazł tam małą, czarno-białą fotografię ciemnowłosej dziewczynki. Stała na tle jakiegoś budynku. Poza tym niewiele można było odczytać. Nawet wyraz twarzy był niewidoczny. Na odwrocie ktoś umieścił atramentowy napis, z którego czytelna była tylko końcówka: ...ana i data: 1947 r. Fotografia była zniszczona, z ułamanym rogiem. Z koperty wypadła też różowa karteczka, na której podany był numer telefonu, przypuszczalnie Toffi, co wprawiło Adama w stan euforii, i informacja, żeby w razie pytań dzwonił. Nie zwlekając sięgnął po komórkę i wybrał numer. Odezwała się dźwięcznym, przyjemnym głosem.

– Skąd wiedziałam, że zadzwonisz? – roześmiała się.

– Co to za fotografia? – zapytał, ignorując pytanie. Był na siebie wściekły. Mógł przecież zareagować inaczej, nawiązać do nieco kokieteryjnego tonu, powiedzieć coś dowcipnego.

– Nie wygłupiaj się. Przecież jest podpisana. – W głosie Toffi wyczuł nutkę rozdrażnienia. Onieśmielała go.

– Nieczytelna – skwitował.

– Juliana. To jest Juliana – powiedziała chłodno i wyłączyła się.

9 kwietnia 1946 r.

Uprosiłam Rutę, żeby została kilka dni, do czasu, aż przygotuję wszystko do podróży. Bała się Ivana i musiałam długo tłumaczyć, że mimo grubiańskiego sposobu bycia, jest nieszkodliwy. Ivan postanowił zostać do jesieni na gospodarstwie. W tym czasie pozbędzie się zwierząt, po czym pójdzie swoją drogą. Rutę zdumiewał taki małżeński układ, ale o nic nie pytała. Juliana natomiast urządziła codzienne awantury, upierając się, by zabrać Ivana, na co ani ja, ani on nie chcieliśmy się zgodzić. Ivan chodził markotny i demonstrował swoje

niezadowolenie, co w połączeniu z bólami, które odzywały się coraz częściej, bardzo mnie drażniło. Popiół bezapelacyjnie miał ruszyć z nami, na co z kolei kręciła nosem Ruta. Przygotowania upływały więc w nerwowej i ponurej atmosferze, choć po cichu cieszyłam się, że już niedługo zaczniemy normalne życie. Wszędzie porozstawiane były tobołki z naszym skromnym dobytkiem, ale każdy mieszkaniec leśnej chaty patrzył na nie inaczej.

12 kwietnia 1946 r.

Postanowiłyśmy ruszyć jutro o świcie. Ivanowi powiedziałam, że poradzimy sobie w lesie i nie musi nas odprowadzać. Zrobiłam to ze względu na Rutę, która wyraźnie okazywała niezadowolenie, gdy tylko wspomniałam o Ivanie. Bardzo boję się tej podróży, utrudnionej przez rozklekotany wózek, na którym będę musiała pokonać tak długą drogę. Jednocześnie jestem bardzo podekscytowana. Ruta obiecała, że pomoże mi zająć się Julianą. Z pewnością nie zmruję dziś oka.

13 kwietnia 1946 r.

Jak przypuszczałam, przez całą noc przewracałam się z boku na bok. Zazdrościłam Julianie równego oddechu, Rucie cichego poświstywania przez nos, a Ivanowi donośnego chrapania. Jeszcze było zupełnie ciemno, a już ptaki rozpoczynały poranny koncert, gdy chwycił mnie ból trudny do wytrzymania. Wepchnęłam do ust róg poszewki i zagryzłam zęby, żeby nie wyć jak zranione zwierzę. Jakiś potwór szarpał mnie od środka, kąsał, rozdzierał na strzępy. Leżałam prawie nie oddychając i wyobrażałam sobie, co dzieje się w moim wnętrzu. Świtało, kiedy ból nieco odpuścił. Postanowiłam umyć się i ubrać, zanim wstanie Ruta. Nie zauważyłam, że leży na swoim pościeliu i od dłuższego czasu bacznie mnie obserwuje.

– Co z tobą? – zapytała szeptem.

– Nic, nic. Wszystko w porządku – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się z przymusem. Nie chciałam, żeby odwołała termin podróży przez moje dolegliwości.

– Jesteś szara na twarzy. Co się z tobą dzieje? – ponowiła pytanie. – Nie myślisz chyba, że wezmę na głowę rozwydrzone dziecko, psa i chorą kalekę – dodała stanowczo.

– Nie wyspałam się, to pewnie dlatego.

– Jęczałaś też pewnie z niewyspania – stwierdziła kąśliwie. – I to, że zwijałaś się z bólu. Co ci jest?

– Nie wiem – szepnęłam i rozplakałam się.

– Opowiedz – powiedziała spokojnie, wstała z pościeliu i usiadła na brzegu mojego łóżka.

W taki sposób zapewne zwracała się kiedyś do swoich pacjentów w szpitalu. Jej ton złagodniał i był pełen troski. Może zawodowej, ale troski. A tego potrzebowałam teraz najbardziej.

Zaczęłam opowiadać. Nie pominęłam niczego. Kopania w brzuch, utraconej ciąży, pojawiającego się coraz silniejszego bólu.

– Magdaleno, bez szczegółowych badań nie potrafię postawić diagnozy. Ci bandyci mogli coś uszkodzić kopaniem albo jest to efekt poronienia, które nigdy nie było skontrolowane przez lekarza. Przypuszczam, że wymagasz operacji. Bez niej będzie tylko gorzej. Albo... najgorzej. W każdym razie nie podejmuję się transportować cię w takim stanie przez las. Nie dasz rady. Posłuchaj – uciszyła mnie gestem, widząc, że chcę coś powiedzieć – nie zostanę tu z tobą, żeby patrzeć, jak umierasz. Nic ci też nie mogę poradzić. Musisz iść do szpitala, poddać się operacji. Pójdę sama i sprowadzę pomoc. Ktoś musi cię stąd zabrać, i to jak najszybciej. Postaram się to załatwić. Czekać na mnie. Pamiętaj, czekaj!

Powiedziawszy to ubrała się szybko, do węzółka wrzuciła kilka ugotowanych wczoraj jajek i podniosła na pożegnanie rękę.

– Czekać na mnie! – rzuciła jeszcze przy drzwiach i już jej nie było.

Poczułam się, jakby ktoś podpisał na mnie wyrok, pozbawił szansy na życie, odebrał wszystko. Pocieszałam się nadzieją na ratunek, który przyniesie Ruta, choć nie wiedziałam, jak długo będę czekać. Jak długo mogę czekać.

Ivana w tym samym stopniu zdziwiła nieobecność Ruty, co moja obecność. Wprawdzie wiedział o dolegliwościach, jakie nękają mnie od miesięcy, ale jego niepokój przycisnął się, ponieważ nigdy się nie skarżyłam. Powtórzyłam mu rozmowę, jaką odbyłam z Rutą. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie. Popatrzył na mnie, potem na śpiącą Julianę i bez słowa wyszedł.

20 kwietnia 1946 r.

Minął tydzień od odejścia Ruty. Wraz z nią straciłam radość oczekiwania. Na normalność, zdrowie, życie bez trosk o dzień jutrzejszy. Zyskałam codzienny, nasilający się lęk o siebie, a jeszcze większy o córkę, którą mogę osierocić. Co stanie się z nią, jeśli mnie zabraknie? Na samą myśl o tym oblewał mnie zimny pot. Czulałam, że każdego dnia jest tylko gorzej. Staralam się nie okazywać tego Ivanowi, który bardzo się martwił, a przede wszystkim nie chciałam, żeby zauważyła coś Juliana. Zwiększyłam jednak ilość czasu, który jej poświęcałam.

– Juliano – mówiłam – są pewne rzeczy, które musisz wiedzieć zawsze, nawet jeśli ktoś obudzi cię w środku nocy i o to zapyta. Nazywasz się Juliana Dors, twoja matka to Magdalena, a ojciec Piotr. Piotr Dors. Nazwisko panięńskie twojej matki – Brzeska. Magdalena Brzeska-Dors. Urodziłaś się...

Dzisiaj znowu powtarzałam z nią tę lekcję.

– Wiem, mamusiu. Mówiłaś mi to już tyle razy – odpowiedziała znużona.

– Mówiłam, ale teraz twoja kolej. Powtórz.

– Urodziłam się szesnastego października tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku.

– W...?

- *W... Co w...?*
- *No, gdzie się urodziłaś?*
- *Nie wiem. Tutaj. – Rozłożyła ręce i obrzuciła spojrzeniem ściany.*
- *Tak, tutaj. A jeśli ktoś cię zapyta, co odpowiesz?*
- *Nie wiem – powtórzyła. – Ty odpowiesz.*
- *No tak... – powiedziałam z wahaniem – może akurat nie będzie mnie przy tobie – drążyłam, choć serce pękało z bólu – to co wtedy?*
- *Poczekam, aż wrócisz – odparła rezolutnie i to, że będę przy niej trwała już na zawsze, uznała za rzecz oczywistą.*
- *Urodziłaś się w Bieszczadach, w lesie. Dzieci zwykle nie rodzą się w lasach, ale tobie się zdarzyło – powiedziałam i uświadomiłam sobie, że Juliana jest góralką. Bieszczadzką góralką.*
- *Twoja babcia i dziadek mieszkają w Konstancinie i tam musisz ich szukać.*
- *Dlaczego musisz? A ty? – naburmuszyła się.*
- *Ja też, oczywiście. – Uśmiechnęłam się do niej i czym prędzej posłałam ją po kubek wody. Zanim wróciła, zdążyłam wytrzeć łzy.*

2 maja 1946 r.

Piękny jest maj. Im piękniejszy, tym bardziej żal mi życia. Ruta przepadła bez wieści. Już jej nawet nie wypatruję, choć Ivan pociesza mnie, że wyjazd i powrót Ruty w dzisiejszych czasach nie może trwać krótko. Pewnie ma rację, a może chce dodać mi otuchy. Juliana zachwyca się młodymi kurczętami, a ja doszukuję się sensu w powiększaniu gospodarstwa. Ivan dogląda pola, na którym udało mu się zasiać nie wiadomo gdzie zdobyte ziarno, a ja nie umiem myśleć spokojnie o zbiorach. Cierpię na obsesję, którą można nazwać czekaniem na coś, czego bardzo nie chcę i bardzo się boję. Tracę sens działania, planowania, stawiania przed sobą celów. Boję się. Po prostu się boję. Mój strach nasila się po każdej nieprzespanej, wypełnionej cierpieniem nocy. Coraz trudniej jest mi udawać przed Ivanem spokój i uśmiechać się do Juliany. Zaczęłam szukać ratunku w modlitwie, ale Bóg chyba mnie nie słyszy.

8 maja 1946 r.

W chacie było duszno. Wstałam bardzo wczesnie i wypchnęłam swój wózek przed dom. Ptaki przekrzykują się w zaroślach. Na trawie przycupnęły lśniące krople porannej rosy. Drzewa kołyszą się monotonnie na lekkim wietrze. Wszystko to daje poczucie spokoju. Z uczuciem żalu wspominam dawne spacerunki po lesie, kiedy byłam jeszcze sprawna. Dlaczego los odebrał mi wszystko? Pomimo tego jest mi dziwnie dobrze. Uświadomiłam to sobie siedząc z przymkniętymi oczami i wsłuchując się w odgłosy przyrody. Doznałam uczucia, jakiego dawno nie doświadczyłam. Nie czuję nic prócz błogiego stanu ukojenia. Nie czuję bólu! Dzięki Ci, Boże – westchnęłam z ulgą i nabrałam w płuca tyle świeżego powietrza, ile zdołałam zmieścić. Kiedy mamy wszystko, wciąż szukamy szczęścia. Ale gdy

jesteśmy tak bardzo skrzywdzeni przez los, wystarczy pozbyć się jednego z utrapień, by czuć się szczęśliwym.

Dzień jest gorący i parny, jak w lipcu. Popiół, zwykle ograniczający kontakt z wodą, podbiega często do studni, żeby Ivan lub Juliana skropili go obficie. Siedzę na wózku w cieniu, pozwalając się obsługiwać i upajając się każdą minutą bez bólu.

14 maja 1946 r.

Przestałam wierzyć w powrót Ruty. Wrócił jedynie ból, który rozrywa mi wnętrzności. Dziś zostałam w łóżku. Ivan zajmował Julianę, czym tylko mógł, żeby nie kręciła się koło mnie i nie zadawała tysiąca pytań.

Po południu świat zasnuł się czarnymi chmurami i zerwał się wiatr zwiastujący pierwszą wiosenną burzę. Patrzyłam przez okno na błyskawice, raz po raz przecinające niebo. Drzewa ugiwały się pod naporem wiatru, gałęzie trzaskały jak zapalki. Strugi deszczu zmieniły się w grad wielkości grochu. Ivan niepokoił się o swoje uprawy, ale był bezsilny wobec żywiołu. Wieczorem wszystko przycichło. Powietrze pachniało świeżością i ozonem. Ochłodziło się. Ivan otworzył wszystkie okna, by wywietrzyć izbę przed nocą. Potem wyszedł przed dom, usiadł na ławeczce i zaczął śpiewać tęskne dumki. Nie wiedziałam, że ma taki piękny, czysty głos. W pewnej chwili dołączył do niego sopranik mojego dziecka. Juliana śpiewała po ukraińsku, wtórując dzielnie Ivanowi! Stanowili naprawdę piękny duet.

22 maja 1946 r.

Nie mam sił pisać. Ostatnio notuję jedynie daty. Tak łatwo je pomylić, gdy nie dzieje się nic prócz uporczywego bólu odbierającego siły i chęci do jakiegokolwiek działania. Ivan przemyka obok, czasem burczy, żebym wreszcie coś zjadła, zabierając zeschnięty ser czy wystygłe jajko. Juliana przestała pytać, dlaczego nie wstaję. Bawi się w kąciku izby lub biega gdzieś z Popiołem. Sporo też pomaga Ivanowi, ucząc się od niego gospodarowania. Przykro mi, że jestem taka bezużyteczna.

3 czerwca 1946 r.

Od wczoraj czuję się lepiej. Wszystkim dzięki temu poprawił się nastrój. No, może nie jednej z kur, która na tę okoliczność straciła życie i została przeznaczona na rosół. Ivan poświstuje przez zęby kręcąc się wokół gospodarstwa. Juliana skacze od godziny przez sznurek i usiłuje namówić na to samo Popioła, który umyka przed nią z podkulonym ogonem. Siedzę na wózku przed domem i naprawiam zużytą garderobę. Kiedy nic mnie nie boli, myślę o podróży do Konstancina. Wracają plany i nadzieja, że się uda.

9 czerwca 1946 r.

Dziś w nocy przyśnił mi się Piotr. Szłam szeroką, piaszczystą drogą. Piotr minął mnie obojętnie, potem zawrócił i uśmiechając się wyciągnął do mnie ramiona. Podbiegłam i wtuliłam się mocno. Zaczęliśmy tańczyć na tej drodze,

piasek zasypywał nam stopy, zapadaliśmy się w nim coraz głębiej i głębiej, aż po szyję. Wtedy się obudziłam. Nade mną stał Ivan i przyglądał mi się z niepokojem.

– Sen mara, Bóg wiara – mruknął, kiedy otworzyłam oczy, po czym wrócił na swoje posłanie. Sen był koszmar, ale przez chwilę miałam zdrowe nogi. Mogłam tańczyć wtulona w ramiona Piotra. Tak bardzo za nim tęsknię.

17 czerwca 1946 r.

Siedziałam przed domem i przyszywałam poobrywane guziki do kapoty Ivana. Nie wiem, czy z tego powodu, ale był dla mnie nadspodziewanie miły. Nazbierał gdzieś garnuszek leśnych poziomek, ale tylko połowę porcji dał Julianie, resztę przyniósł mnie.

– Skosztuj – powiedział uśmiechając się przymilnie – słodkie jak ty!

Na chwilę zapaliło się światełko ostrzegawcze, ale zaraz zgasło, gdy pomyślałam, że Ivan jest zbyt stary na zaloty. Myliłam się jednak. Kiedy oporządził krowę i zagonił kury do kurnika, usiadł przy mnie na małym stoleczku i obrzucił lubieżnym wzrokiem. Skóra ścierpła mi na plecach.

– Magdalena – zaczął i oblizał suche usta. – U ciebie nie ma męża, a u mnie żony też jakby nie było. Ale ty młoda jesteś, a ja jeszcze, oho! – Tu zawinął rękaw koszuli i zademonstrował biceps. – Patrz, Magdalena! Ja silny mężczyzna i swoje potrzeby mam. Tak ja myślę, my jak mąż i żona możemy być.

Mrugnął do mnie, mlasnął, aż strużka śliny potoczyła mu się kącikami ust. Zrobiło mi się niedobrze.

– Przestań, Ivan. Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Przecież to absurd! – zaprotestowałam.

– A dlaczego? Żle ci ze mną? A kto cię karmi, myje, ubiera? Toż ja u ciebie widział więcej niż każdy inny. Mało to razy ja cię do balii wkładał, plecy mył? Ty mówiłaś: „Zamknij oczy, Ivan. Nie patrz!” A ja patrzył. No, Magdalena... No! Ty przyjmij mnie, będzie ci dobrze ze mną. Mnie nie wadzi, że ty nogi masz do niczego. Na rękach poniosę, gdzie zechcesz. Ja nie taki stary jeszcze. A silny! Patrz!

Podszedł do pnia, na którym rąbał drewno i podniósł go oburącz ponad głowę.

– Uspokój się, Ivan! – podniosłam głos. – Wstydzilibyś się mówić takie rzeczy!

– A jaki to wstyd? – nie ustępował. – Mało to ludzi tak żyje? Twój pod śliwą leży, a moja z samogonem woli żyć. No, Magdalena. Ty nie musisz miłować mnie. Ot, aby troszkę polubić ty mnie chciała.

– Ivan, mówię nie! I nie wracaj więcej do tego tematu – powiedziałam ostro, starając się zapanować nad drżącym ze zdenerwowania głosem.

– A to tak?! – Ivan stanął nade mną i włożył obie ręce w kieszenie spodni. – To tak?! Ty darmowego parobka chcesz mieć? Mało tu robię? Wszystko, żeby tobie przypodobać się! – zawołał zaczepnie. – Czeka ty! Pójdę precz, a ty sama

zostaniesz! Czekaj!

– Idź – powiedziałam spokojnie, choć na samą myśl pociemniało mi w oczach. – Nikt cię tu nie trzyma.

– A pójdę! – powiedział z przekąsem, odwrócił się na pięcie i zniknął w chacie.

Serce kołatało mi w piersi, do oczu cisnęły się łzy. Jednak urażona duma nie pozwalała mi prosić go o pozostanie i dalszą pomoc. Nie zostaniemy tu z Julianą. Przedostaniemy się przez las i wyjedziemy. Kiedy dotrzemy do wioski, powiem ludziom o krowie i kurach. Dam im mapę. Przyjdą i zajmą się inwentarzem. Muszę tylko szybko podjąć decyzję, zanim poczuję się gorzej. Z tym postanowieniem stałam się silniejsza i z większym optymizmem spojrziałam w przyszłość.

22 czerwca 1946 r.

Ivan obraził się na dobre, ale nie odszedł. Swoje obowiązki wykonywał w milczeniu, a z posiłkami przysyłał do mnie Julianę. Na szczęście dziewczynka pochłonięta swoimi małymi sprawami nie zauważyła napięcia, jakie wytworzyło się między mną a wujaszkiem. Znowu zaczęłam pakować węzłki i przygotowywać wszystko do podróży. Ivan zdawał się tego nie zauważać. Chodził ponury jak chmura gradowa i warczał na wszystko nie gorzej niż Popiół. Postanowiłam ruszyć w drogę za trzy dni. Muszę jeszcze przygotować do tego Julianę.

24 czerwca 1946 r.

Jutro ruszamy. Decyzja jest nieodwołalna. Zawołałam Julianę, by ją o tym poinformować. Przybiegła zdyszana, oderwana od zabawy z psem.

– Nie chcę – skwitowała krótko wiadomość o podróży.

– Jak to nie chcesz? – zdumiałam się. – Przecież raz już się na to zgodziłaś.

– Tak. Ale teraz nie chcę – powiedziała stanowczo. Tylko czekałam, aż tupnie nogą. Nie zrobiła tego jednak.

– Nie obchodzi mnie, czy chcesz tego, czy nie. Jutro wyjeżdżamy – zdecydowałam.

Spojrziała na mnie jakoś dziwnie i bez słowa wybiegła na podwórko, przypuszczalnie poskarżyć się Ivanowi. Poczulałam się bardzo samotna.

25 czerwca 1946 r.

W nocy rozpadał się deszcz. Niedobrze – pomyślałam – ziemia rozmięknie i koła wózka będą się zapadać. Co się stanie, jeśli ugrzęznę? Juliana przecież nie zdoła mnie wyciągnąć. Trudno. Może przestanie padać i woda wsiąknie w ziemię. Ukołysana szmerem deszczu za oknem usnęłam kamiennym snem. Obudziłam się dużo później, niż planowałam. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że Juliana jest już na nogach i w najlepsze zajada z Ivanem śniadanie. Podniosłam się i z wysiłkiem zaczęłam przenosić się na wózek. W tym momencie coś trzasnęło, wózek gwałtownie przechylił się, a prawe koło potoczyło się w kierunku progu. Siedziałam oniemiała na krzywym wózku i patrzyłam z przerażeniem, jak koło robi obrót wokół

własnej osi i upada płasko, by po chwili zupełnie znieruchomieć.

– *Mój Boże! Dlaczego mi to robisz?! – krzyknęłam głośno, a Ivan z Julianą wymienili się spojrzeniami. To skrzyżowanie spojrzeń nasunęło mi pewne podejrzenie. Czyżby celowo zepsuli wózek?*

– *Oj, bieda... – powiedział Ivan, wstał od stołu i podniósł urwane koło. – Ot i nigdzie ty nie pojedziesz, Magdalena. – Cmoknął głośno i pokręcił głową z udawaną troską w głosie.*

– *Mamusiu, nic ci się nie stało? – zawołała Juliana podbiegając do mnie. W oczach miała iskierki i na pierwszy rzut oka widać było, że cieszy się z udanego podstępu. – Wujaszku, czy naprawisz wózek mamusi? – zapytała tonem, jakby recytowała wyuczoną lekcję.*

– *A, to zależy...*

– *Zależy? – jęknęłam z przerażeniem. – Od czego zależy?*

– *Czy Magdalena sama mnie poprosi – powiedział uśmiechając się sprytnie do Juliany.*

– *Proszę cię, Ivan – powiedziałam słabym głosem.*

– *Widzisz, Magdalena, ty chciała, żeby ja poszedł precz. I kto by tobie wózek naprawił? – zapytał z nutką rozbawienia w głosie.*

Byłam bezsilna wobec tych dwojga. Obrzuciłam ich wzrokiem pełnym nagany, ale nie powiedziałam nic.

– *No, już nie gniewaj się ty na mnie, Magdalena. Ja pomyślał o tym, co ja tobie naopowiadał. Twoje prawo nie chcieć tak żyć, jak ja by chciał. Ot, jak pies obliżę się i jak pies wiernie ja przy tobie zostaną. No, nie płacz Magdalena, nie płacz. Nie trzeba...*



Adam przeciągnął się leniwie. Była sobota i nie wzywały go żadne obowiązki. Za oknem listopadowa plucha nie zachęcała do spacerów. Przez chwilę pozazdrościł Magdalenie czerwcowego słońca. Myśląc o niej automatycznie sięgnął do szuflady szafki po pamiętnik, by przeczytać choć jedną stronę przed poranną kawą. Ale pamiętnika nie było. Gwałtownie usiadł na łóżku zupełnie rozbudzony. Zniknięcie dziennika Magdaleny nasunęło mu mnóstwo absurdalnych przypuszczeń. Toffi! Wkradła się podstępnie i go zabrała. Albo Olga, choć ona nie jest taka szalona, jak ta pierwsza. A może sama Magdalena zjawiła się w nocy, by odebrać swoją własność? Na tę myśl ciarki przebiegły mu po plecach. Nie, co za idiotyczne pomysły. Adam przymknął oczy i usiłował skupić się na dniu wczorajszym. No tak! Przecież czytał pamiętnik tuż przed snem. W takim razie musi być gdzieś tutaj. Podniósł poduszkę, potem przeszukał całe łóżko, pod które też nie omieszkął zajrzeć. Przerzucił szpargały na biurku, podniósł ubranie leżące na krześle. Ślad po pamiętniku zaginął. Stał w piżamie na środku pokoju i bezradnie rozglądał się wokół. Tak zastała go matka.

– O, wstałeś nareszcie – przywitała go. – Takie czytanie po nocach nie wyjdzie ci na zdrowie. I czym się tak fascynujesz? – Pomachała dziennikiem Magdaleny. Adam zaniemówił. – Gdybym nie weszła tu w nocy, spałbyś z nosem w tym zeszycie do rana – roześmiała się. – Skąd to masz?

– Od koleżanki – skłamał. Nie miał ochoty tłumaczyć matce wszystkiego od początku.

– Od tej, co ma takie dziwne imię? – dociekała.

– Jakie dziwne imię? – zdziwił się.

– No... Zaraz... – zastanowiła się – Toffi!

– Toffi? Skąd wiesz o Toffi? – zapytał szczerze zdumiony.

– No, jak to skąd? Wiesz przecież, że wszystko zawsze czytam od końca. Chodź na śniadanie, jajecznica stygnie. Możesz jeść w piżamie, ubierzesz się potem – powiedziała i rzuciła dziennik na łóżko. – Pośpiesz się – dodała wychodząc do kuchni.

Adam tylko zerknął na porzucony pamiętnik i ruszył za matką, która przy śniadaniu najpierw przyglądała mu się badawczo, potem przeniosła wzrok na ojca.

– Wiesz, kochanie, czasem zastanawiam się, czy nie powinnam raczej urodzić córki – powiedziała. – Adam jest jakiś...

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że zniewieściałeś! – roześmiał się rubasznie ojciec. – Daj spokój, to chłop z krwi i kości! Jeszcze się o tym przekonasz. Prawda, synu? – poklepał Adama po ramieniu i puścił do niego oko. Ten tylko wzruszył ramionami, dając wyraz temu, że jego zdaniem rozmowa pozbawiona jest sensu. Reakcje rodziców na jego zachowanie i skrajnie inny pogląd na świat były głównym powodem, że nie o wszystkim chciał im mówić.

– No wiesz – ciągnęła matka – jako kobieta dostrzegam w nim cechy...

– Przestań, mamó – zirytował się Adam. – Pewnych rzeczy nie wiesz, dlatego nie do końca mnie rozumiesz.

– No to powiedz nam – poradziła i zawiesiła nóż umazany masłem nad kromką ciemnego chleba. – Czytanie dziewczęcych pamiętników nie należy chyba do męskich zajęć. No, chyba że ktoś jest w autorce zakochany! – Tu szturchnęła łokciem ojca i uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo.

– Mamó, czytałaś ten dziennik? – zainteresował się Adam.

– E tam. Przeleciałam wzrokiem pierwsze strony. Szkoda czasu.

– To na pewno zauważyłaś, że te pierwsze strony zostały napisane w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku. I na pewno dobrze pamiętasz, co twój syn studiuje. Tam jest kawał historii, mamó!

– A, to przepraszam – spuściła z tonu i zaczęła szybkim, energicznym ruchem smarować chleb. – Istotnie, to mi umknęło. No jedz, Adam, stygnie. Nie gniewaj się – powiedziała pojednawczo, pogładziła go po policzku i zmieniła temat.

Adam szybko zakończył wspólne śniadanie. Był ciekaw, co na ostatniej stronie zapisała Toffi, dlatego natychmiast po wejściu do swojego pokoju rzucił się na dziennik jak zgłodniały pies. Ze zdziwieniem stwierdził, że na ostatniej stronie nic nie ma. Gorączkowo przerzucił jeszcze dwie. Trafił na krótki wpis ręką Toffi: „Hej, mam na imię Toffi, pewnie byłeś tego ciekaw. Cieszę się, że trafiłeś na ten pamiętnik. Możemy razem poszukać Juliany. Sporo o niej wiem. Aha, nie myślisz chyba, że dzisiejsze spotkanie na Świdnickiej było przypadkowe?”

Adam usiadł na skotłowanym łóżku i ręce mu opadły. Nic z tego nie rozumiał. W dodatku uznał, że marny z niego detektyw. Gdyby nie matka, być może w ogóle nie natrafiłby na ten wpis. Zarówno kilka wcześniejszych stron, jak i dalszych, aż do końca dziennika, było pustych. Toffi sprytnie się ukryła. I pomyśleć, że mógł znać jej imię już od pierwszego spotkania. Dlaczego napisała, że spotkanie nie było przypadkowe? Skąd o nim wiedziała? Kim była dziewczyna spotkana na dworcu w Przemyślu? Była podobna do Toffi jak dwie krople wody. Przedstawiła się jako Magdalena. Może to była siostra Toffi? A może wszystko mu się wydawało?

Otworzył dziennik i wziął w palce kilka pozostałych kartek. Niewiele tego już zostało. Niedługo przeczyta ostatnie zdanie i rozstanie się z Magdaleną.

Niestety, z góry wiedział, że to ostatnie zdanie niczego nie wyjaśni.

„Tam nie ma końca” – powiedziała Olga zwracając mu dziennik. Jeśli nie odszuka Juliany, żywej Juliany, niczego się nie dowie.

6 lipca 1946 r.

Poddałam się. Ivan wprawdzie naprawił wózek, ale ja zrezygnowałam z wyjazdowych planów. Złe samopoczucie powracało i nie mogłam przewidzieć, kiedy nastąpi. Bywały dni, gdy nie wstawałam z łóżka, bywały też takie, że mogłabym przenosić góry, gdyby nie moje nogi. Ivan znowu był miły, oczywiście na swój sposób. Nigdy nie powrócił do niewygodnego tematu, ja jednak odczuwałam dyskomfort, ilekroć pojawiał się blisko mnie. Wczoraj przyprowadził do domu małą sarenkę. Miała zranioną nogę i nie mogła uciekać. Juliana jest zachwycona i spędza z nią każdą chwilę. Nawet Popiół został odsunięty na dalszy plan i obrywa mu się, gdy podejdzie zbyt blisko nowej podopiecznej. Wykorzystując fakt, że uwaga Juliany skupiona jest na pielęgnacji sarenki, wzięłam się za szycie siódmej lalki. Nawet się nie obejrzę, jak nastanie jesień, gdy moja córka skończy siedem lat. Robię to oczywiście w wielkiej tajemnicy, żeby miała niespodziankę. Choć i tak pewnie domyśla się kolejnej lalki.

19 lipca 1946 r.

Cierpiałam. Cierpiałam tak okropnie, że zdeterminowany Ivan postanowił iść na poszukiwanie lekarza. Z trudem go zatrzymałam mówiąc, że wolę, kiedy jest przy mnie. Wtedy czuję się bezpiecznie. Zrezygnował, ale chodził z poczuciem winy, że nie robi wszystkiego, by mi ulżyć. Zrywa jakieś zioła, które potem mi serwuje. Poddaję się tym eksperymentom, chociaż nie przynoszą ulgi. Wczoraj powiedziałam mu, że w końcu nazrywa czegoś, czym mnie skutecznie otruje. Obruszył się i burknął, że nie muszę tego pić. Ale widziałam, jaka przykrość odmalowała się na jego twarzy.

1 sierpnia 1946 r.

Dzisiaj skończyłam szyc siódmą lalkę. Zawołałam Ivana i poprosiłam, by ją schował.

- *Sama schowaj – oburzył się. – U mnie w komorze nie ma miejsca.*
- *Nie rozumiesz, Ivan. Nie o miejsce tu chodzi.*
- *Nie o miejsce, to o co? – zapytał.*
- *Widzisz... Do października zostało jeszcze trochę czasu. Boję się, że mnie... Że ja... – jękałam się, nie wiedząc, jak mam powiedzieć o tym, że może mnie zabraknąć do urodzin Juliany. Nie chciałam go zdenerwować.*
- *At, głupstwa gadasz. Sama jej dasz, jak przyjdzie czas – naburmuszył się, przyglądał ręką wąsy i popatrzył na lalkę. – No dobra, dobra, daj. Schowam, żebyś żalu nie miała, że niby taki zły jestem. Ale sama jej dasz.*

Wziął lalkę za nogę i burcząc pod nosem poszedł do komory.

17 sierpnia 1946 r.

Ivan ma pełne ręce roboty. Zebrał dojrzałe zboże, teraz młóci je cepem. Kurz unosi się po całym podwórku. Juliana zastępuje go przy innych zajęciach. Właśnie poszła na pastwisko po krowę w asyście Popioła i sarny, która bardzo się do niej przywiązała. Widzę to wszystko z okna izby, z której nie ruszam się od kilku dni. Nie mam sił nawet siedzieć na swoim wózku. Czuję się chora, samotna i niepotrzebna.

21 sierpnia 1946 r.

Po południu rozpętała się burza. Ivan zaciera ręce, że zdążył zebrać wszystko z pola, a ja widzę, jaki jest spracowany. Równa ściana deszczu przelewa się za oknem. Patrząc na to wszystko zubożyła i zrezygnowana.

– Mamusiu, opowiedz mi coś – poprosiła Juliana ze swojego kącika.

– A o czym chciałabyś usłyszeć? – zapytałam uśmiechnąwszy się z przymusem.

– O tatusiu – szepnęła i spojrzała na mnie jego oczami.

– Chodź tu bliżej. Ivan drzemie na krześle, nie chcę go budzić.

Juliana zawinęła płócienną sukienkę i wgramoliła się na moje łóżko.

– No? Co chcesz wiedzieć? – zapytałam obserwując, jak szuka sobie wygodnej pozycji u moich stóp.

– Skąd wzięłaś tatusia?

– Hm... Z cukierni.

– Z cukierni? To miejsce, gdzie robi się cukier?

Mój Boże, ta dziewczynka nic nie wie. Jest zupełnie nieprzygotowana do życia! Moja mała dzikuska – pomyślałam z rozrzewnieniem.

– Nie, cukiernia to miejsce, gdzie sprzedaje się torty, ciasta i ciasteczka.

– Tatuś je sprzedawał?

– Wręcz przeciwnie, tatuś kupował takie wielkie ciasto z kremem. A ja się potknęłam i niechcący oparłam się o to ciasto. Byłam cała upaprana kremem!

Juliana roześmiała się głośno, aż Ivan niespokojnie poruszył się na krześle.

– Ciiii... Zaraz obudzisz Ivana – uciszyłam ją kładąc palec na ustach.

– I co? I co było dalej? – pytała podskakując na łóżku, aż słoma zachrzęściła. Wyobraziłam sobie, jak rozciera się na proszek. Warto by ją wymienić.

– Dalej? Tatuś, który nie był wtedy jeszcze twoim tatusiem...

– A czym?

– Niczym. Nie był w ogóle żadnym tatusiem. Ciebie jeszcze nie było.

– A gdzie byłam?

– Nigdzie. Nie urodziłaś się jeszcze.

– To znaczy, że siedziałam w twoim brzuchu i czekałam, aż tatuś się z tobą ożeni?

Masz ci los. Zaczęły się kłopotliwe pytania.

– Można to tak nazwać...

– No, opowiadaj! – ponagliła mnie.
– Tatuś bardzo się zdenerwował i musiałam za to ciasto zapłacić. I jeszcze go przeprosić. Zaprosiłam go więc na herbatę i długo rozmawialiśmy.

– I potem się z tobą ożenił?

Milczałam, przypominając sobie, jaką długą i trudną drogę musieliśmy przejść, zanim do tego doszło.

– Mamusiu, ożenił się?

– Tak. A skąd wiesz, że to się tak nazywa? – zdziwiłam się, bo nie przypominałam sobie, żebyśmy kiedykolwiek o tym rozmawiały.

– Ivan mi powiedział.

– Ivan? Kiedy ci powiedział?

– Jak się na niego gniewałaś. Zapytałam, dlaczego muszę ci nosić jedzenie, a on powiedział, że gniewasz się na niego, bo chciał się z tobą ożenić. Na tatusia też się pogniewałaś?

– Nie, na tatusia nie...

– To dlaczego pogniewałaś się na Ivana?

– Zdaje się, nie o Ivana miałyśmy rozmawiać, tylko o tatusiu.

– Tak, o tatusiu. Dlaczego przychodzi tylko w nocy?

– Słucham? – Usiadłam na łóżku i wytrzeszczyłam oczy na Julianę. – Kto przychodzi w nocy?!

– Tatuś. Nie zawsze, ale przychodzi. Staje przy twoim łóżku i patrzy na ciebie. Budzę się wtedy i go wołam, ale on chyba nie słyszy.

– Nie zmyślaj Juliano. To brzydko tak kłamać – powiedziałam słabym głosem.

– Wcale nie zmyślam. Ivan mi wierzy, a ty nie!

– Opowiadałaś o tym Ivanowi?

– Wszystko opowiadam Ivanowi. Ty czasami jesteś bardzo zmęczona i Ivan nie pozwala mi do ciebie chodzić.

– I co na to powiedział?

– Powiedział, że tatuś teraz jest w takim miejscu, z którego w dzień nie może wychodzić, tylko w nocy.

– Aha... – bąknęłam.

Ivan zawsze wie, jak wybrnąć z dziwnych pytań Juliany, która ma rozwiniętą fantazję jak mało kto. Widocznie tęskni za ojcem i miewa związane z nim sny. A Ivan... jest tysiąc razy mądrzejszy ode mnie.

30 sierpnia 1946 r.

Gdzieś zaginęła sarenka. Zrozpaczona Juliana biegała po okolicy w jej poszukiwaniu.

– Ty nie płacz – pocieszał ją Ivan – ona do lasu poszła, tam jej dom.

– Nieprawda! Przecież mieszkała z nami. Tutaj jest jej dom. Tak jak

Popioła! – upierała się dziewczynka.

– Oj, doczka, jak ty nic nie pojmujesz. Ona chce być na wolności, to dzikie zwierzę.

– Znajdę ją! – krzyknęła Juliana i zanim Ivan zdążył coś powiedzieć, zniknęła za płotem.

– Ivan, nie pozwól jej iść samej do lasu! – zawołałam, ale Ivan tylko machnął ręką.

– A niech sobie szuka. Daleko nie pójdzie, bo się boi – powiedział i zajął się gospodarką.

Juliana jednak nie wracała i mimo że czułam się dzisiaj bardzo słabo, usiadłam na wózku, żeby poszukać dziecka.

– A ty gdzie? – zdumiał się Ivan.

– Jak to gdzie? Jadę szukać Juliany!

– Nigdzie ty nie pojedziesz. Biała jesteś na gębie i ledwo wózka się trzymasz. Sam jej poszukam. Ty połóż się, Magdalena. – Rzucił siekierę, którą rąbał drewno, wytarł ręce o spodnie i ruszył do lasu.

Zostałam sama. Bałam się o Julianę. Mogła trafić na partyzantów albo na jakieś zwierzę, mogła też po prostu zablądzić, nie знаła przecież lasu prócz najbliższych okolic. Z jednej strony poczułam ulgę, gdy Ivan wybrał się na poszukiwanie, z drugiej zaś było mi nieswojo. Dawno nie byłam sama i panująca wokół cisza przerażała mnie. Zwłaszcza że nawet Popiół pobiegł w ślad za swoją panią. Pomimo nasilającego się bólu postanowiłam trwać na straży przed domem i wypatrywać powrotu Juliany i Ivana.

Ale oni nie wracali. Martwiłam się coraz bardziej. Zapadał zmierzch i lada moment zrobi się ciemno – myślałam z niepokojem. Jeśli nie spotkali się w lesie, dziewczynka nie da sobie sama rady. Nie wiadomo też, czy Popiół trafił na jej ślad. Pierwsze chłody mijającego lata dawały znać o sobie. Skuliłam się i okryłam szczelniej chustą, ale nie wracałam do izby. Juliana też wybiegła w letniej sukience i mogła się przeziębic. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Oczy bolały od wypatrywania ich na tle ciemniejszego lasu. W dodatku zaczęła opadać mgła i chłód zrobił się przenikliwy. Z wrażeń przestałam odczuwać ból. Przekonałam się właśnie, że najlepszym lekarstwem na zmartwienie jest kolejne zmartwienie. Zupełnie nie myślałam o swojej chorobie. Mój umysł pochłonięty był Julianą.

Nagle usłyszałam głosy. Rozpoznałam Ivana, ale ten drugi na pewno nie należał do mojego dziecka. Był jakiś skrzekliwy i zupełnie mi nieznan. Wytężyłam wzrok. Na horyzoncie pojawiły się trzy ludzkie sylwetki i pies.

– A ty tutaj? – zawołał na mój widok zdumiony Ivan. – Zimno przecież, a ty nie ubrana! I czego tak po nocy przed chałupą siedzisz?

– Zamartwiałam się... – jęknęłam z ulgą, widząc Julianę całą i zdrową, opatuloną w kaptotę Ivana. Następnie wzrok mój spoczął na przygarbionej

kobiecinnie z tłumokiem na plecach, z którego sterczały na wszystkie strony jakieś zielska.

– To znachorka, Ukrainka – wyjaśnił pochwyciwszy mój wzrok Ivan. – My ją w lesie spotkali, daleko stąd. Ziola rwała. Ja jej kurę obiecał, żeby ona ciebie zobaczyła. Prześpi się w izbie, a rano powie, na co ty chora. To znachorka znająca się na chorobach lepiej niż doktory – przekonywał.

– Ivan, nie chcę żadnych znachorek. Potrzebuję lekarza. Tylko ciemny naród poddaje się znachorskim praktykom.

– Ty głupia! Jak nie ma lekarza, to i znachorka dobra. A ona umie leczyć. Ot co!

Ukrainka patrzyła to na mnie, to na Ivana, ale po jej twarzy poznałam, że rozumie, o czym mówimy. Powiedziała coś po ukraińsku do Ivana, a on przetłumaczył.

– Ty nie bój się, Magdalena. Ona ma takie ręce, co chorobę widzą. Krzywdy ci nie robi. A jak się pozna, to zioła dobre na twoją chorobę da.

Kobiecina pokiwała głową i zademonstrowała bezzębny uśmiech. Machnęłam ręką i zagoniłam przysłuchującą się rozmowie Julianę do chaty.

31 sierpnia 1946 r.

Znachorka spała w izbie na pościeli przygotowanym przez Ivana. W środku nocy musiałam zawołać Ivana, by mimo chłodu otworzył okno, bowiem kobieta chcąc mnie leczyć zdaje się nie używała wody do mycia. Rankiem, po zjedzeniu skromnego posiłku, uklękła przed obrazem, na którym przedstawiona była Matka Boska ze złożonymi do modlitwy rękoma, i kiwając się monotonicznie szeptała coś bezzębnymi ustami. Potem przeżegnała się chyba ze sto razy i stanęła nad moim łóżkiem. Powiało takim fetorem, że zrobiło mi się niedobrze i ledwo powstrzymałam odruch wymiotny. Znachorka położyła obie ręce na mojej głowie i zacisnęła powieki. Juliana przyglądała się temu wszystkiemu szeroko otwartymi oczami, dopóki Ivan nie wysłał jej do kurnika, żeby nakarmiła kury. Poszła z ociąganiem się, bo mimo że to jej ulubione zajęcie, ciekawa była dalszych praktyk znachorki. Ta zaś przechodziła sama siebie, by rozpoznać, co mi dolega. Kazała Ivanowi odsunąć łóżko od ściany i okrążyła je trzykrotnie mamrocząc coś pod nosem. Potem zajrzała mi głęboko w oczy i trwała tak całą wieczność, aż jej wzrok mgłą zaszedł i lzy pocięły po policzkach. Na koniec musiałam wysunąć język na brodę, któremu przyjrzała się uważnie. Nie mówiąc nic, pociągnęła Ivana za rękaw i wyprowadziła do komory. Tam mu długo coś szeptała, od czasu do czasu wyglądając na mnie, czy nie podsłuchuję. Nawet jeśli słyszałabym, o czym rozprawia z Ivanem, i tak nie zrozumiałabym niczego, ponieważ rozmawiali po ukraińsku. I jakkolwiek odnosiłam się do wątpliwego badania, coś zaniepokoiło mnie w jej zatroskanym wyrazie twarzy i przejętym tonie głosu. Ivan wyszedł po obiecaną kurę, a znachorka wysypała na stół w izbie kilka rodzajów ziół, przy których położyła

okazałą brzożową hubę. Następnie popatrzyła na mnie tak, jakby brała miarę na trumnę, i wyszła z izby smutno kiwając głową. Po kilkunastu minutach Ivan wszedł do izby, obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, zgarnął zioła do garnuszków i zajął się skrobaniem kozikiem huby.

– Po co to robisz? – zapytałam. – Do czego ci ta huba?

– Będiesz ją jeść – powiedział, strugając zawzięcie.

– Dziękuję. Znam bardziej wykwintne dania – powiedziałam i odwróciłam się do niego plecami, dając mu do zrozumienia, że nie zamierzam stosować terapii zalecanej przez wiejską babinę.

– U ciebie taka choroba, jak u tej brzozy, co jej guzy urosły. Musisz ją zjeść, to wyzdrowiejesz.

– Co za bzdury! – oburzyłam się. – Nie będę jadła jakiegoś świństwa!

– Będiesz. Drobną ostrugam i z mlekiem dam. Nawet nie poczujesz, Magdalena.

Nie chciałam się klócić, zwłaszcza że ból nasilił się i jedyne, na co było mnie w tej chwili stać, to zwinąć się w kłębek i zacisnąć zęby. Teraz zjadłabym wszystko, nawet pajęczę nóżki i suszone węże, byle tylko przestało boleć.

12 września 1946 r.

Zjadłam hubę i wypiłam wszystkie zalecone zioła. Zgadzałam się na wszystko. Ivan podaje mi jakieś specyfiki, żebym w nocy nie jęczała i przespała chociaż godzinę. Ostatnio przed snem zaczął poić mnie samogonem. Pomaga, ale rano budzę się z potężnym bólem głowy.

27 września 1946 r.

Jesień zagościła na dobre. Juliana zbiera całe bukiety kolorowych liści i znosi je do domu, by cieszyć moje oczy. Ivan przygotowuje opał na zimę i coraz więcej czasu spędza w lesie na rąbaniu drewna. Dziś jednak wrócił wcześniej. Coś musiało się zdarzyć, bo wyglądał na przestraszonego. Wodziłam za nim wzrokiem tak długo, aż skapitulował pod jego naporem i postanowił opowiedzieć, co go spotkało.

– Magdalena, ja swoich synów w lesie widział. Oni mnie szukają. Na pewno szukają, bo rozglądali się tak, jakby zwierzę jakieś tropili.

– Może tropili. Nie martw się.

– O, już ja ich znam! Mściwe psubraty. Będą szukać, aż znajdą!

– Nie zapuszczaj się tak daleko. Tu może nie przyjdą – uspakajałam go, ale i we mnie zagościł niepokój.

– Może nie przyjdą, a może przyjdą. Kto ich wie. Takie czasy, że własnych synów ojciec musi się bać. Takie czasy... – westchnął i zajął się rozpalaniem w piecu, bo nieszczęsnymi okienkami zaczął do izby wkradać się chłód.

2 października 1946 r.

Deszcz. Deszcz. Deszcz. Pada od tygodnia. Juliana w swoim kąciku nuci

cichutko ukraińskie dumki. Ivan wychodzi wprawdzie do lasu, ale zbiera tylko chrust, żeby siekierą nie robić hałasu. Odkąd zobaczył z daleka swoich prześladowców, jest ostrożny. Nie chce też sprowadzić na nas nieszczęścia. Piotr dał się wyśledzić banderowcom i teraz spoczywa pod śliwą. Ciężko mi pisać. Nie mogę utrzymać się długo w pozycji siedzącej.

16 października 1946 r.

Dziś są urodziny Juliany. Cieszy się z nowej lalki, a ja nie.



Adam przerzucił kilka kolejnych kartek, ale nie znalazł nic poza tym jednym nie dokończonym zdaniem. Zamknął dziennik jak wieko trumny, choć nie miał pewności, czy nie była pusta. Magdalena równie dobrze mogła opuścić leśną chatę z Rutą, która jednak powróciła, albo z zupełnie kimś przypadkowym, a nawet z samym Ivanem, przerażonym obecnością swoich mściwych synów w lesie. Postanowił skontaktować się z Toffi, która mogłaby rozjaśnić mu nieco w głowie. Jeżeli tylko zechce. Toffi jest nieprzewidywalna i nie wiadomo, czy nie przyjdzie jej na myśl stawiać go przed kolejnymi zadaniami i zagadkami, które będzie musiał rozwiązać, chcąc dotrzeć do Juliany. W każdym razie powziął postanowienie za wszelką cenę odszukać Julianę, by poznać ciąg dalszy jej losów. Sięgnął po komórkę i wybrał numer dziewczyny. Odebrała szybko, nieco zdyszany głosem.

– Cześć, nie przeszkadzam? – zapytał.

– Biegam. Ale zrobię sobie przerwę – odparła.

– Biegasz w taki deszcz? – Skrzywił się zerkając za okno.

– Nie jestem z cukru. Co chciałeś?

– Skończyłem czytać dziennik – powiedział, żeby jakoś zacząć nurtujący go temat.

– Aha, no to gratuluję – roześmiała się dźwięcznie. – Zadzwoiłeś, żeby się pochwalić?

– Toffi, nie wygłupiaj się. Chcę znaleźć Julianę. Napisałaś, że sporo o niej wiesz. Proszę więc, żebyś mi pomogła.

– Dobrze, Adam – spoważniała. – Dla mnie to jest równie ważne, choć z innego niż twój powodu. Spotkajmy się u Olgi o szesnastej. Dobrze?

– U Olgi? – zdumiał się. – Dlaczego u Olgi?

– Dowiesz się.

Usłyszał dźwięk przerwanej połączenia.

Do czasu wyjścia na spotkanie nie mógł sobie znaleźć miejsca. Miał mętlik w głowie i próbował zebrać wszystko w jedną całość. Toffi, w tajemniczy sposób związana ze sprawą Juliany, Olga, która wybrała się z nim do leśnej chaty, choć wcale tego nie chciał, i Maks, mający w małym palcu całą wiedzę o banderowcach. Miał wrażenie, że tych troje coś łączy. Ale co?

Okolo szesnastej wciąż lało. Wziął z kąta parasol ojca i szybkim krokiem podążył w kierunku przystanku tramwajowego. Olgę zastał w domu samą. Toffi

jeszcze nie było. Adam zaproszony do małego pokoiku z wdzięcznością przyjął filiżankę kawy. Nie uszło jednak jego uwadze, że dziewczyna z pewnym zniecierpliwieniem zerknęła na zegarek.

– Śpieszysz się? – zapytał.

– Tak, jestem umówiona, a Toffi zwykle się spóźnia – odparła i uniosła firankę, by wyrzucić przez okno. – Cholera, ale leje!

– Olga, skąd znasz Toffi? – zapytał bez ogródek.

– Jak to skąd? Przecież mieszkam drzwiami w drzwiach z jej ojcem! Toffi nie można nie poznać, jeśli kręci się w pobliżu. Ona jest jak... No nie wiem. Jak mrówka. Wsadź patyk w mrowisko, a ona zaraz na niego wlezie. Bardzo otwarta. Powinna wybrać zawód dziennikarza albo detektywa. Jeśli chce coś osiągnąć lub czegoś się dowiedzieć, na pewno postawi na swoim.

– A co łączy ciebie ze sprawą Magdaleny? Toffi powiedziała, że dzisiaj się dowiem.

– No to się dowiesz. Ale nie ode mnie. Ja nic nie wiem. To ona namówiła mnie, żebym jechała z tobą w Bieszczady i przywiozła z powrotem dziennik. Toffi zależało na tym, żebyś go przeczytał.

– Zaraz! Skąd ona wiedziała, że chcę się go pozbyć? – zapytał zdumiony.

– A tego to ja też nie wiem. Jej zapytaj.

Ton głosu Olgi nie wskazywał na to, żeby darzyła Toffi sympatią na tyle, by zdobyć się dla niej na poświęcenie. Ale przypominając sobie jej zapal do wyjazdu, uznał, że udaje znakomicie. Tak samo świetnie udała w cukierni, że nie zna pana Marcina.

– Olga, tam w cukierni spotkaliśmy ojca Toffi. Wyparłaś się go w żywe oczy!

– No tak... Toffi nie bardzo chciała, żebyś się czegoś domyślił.

– Czego domyślił?

– A skąd mam wiedzieć? Sama tego nie rozumiem. Uważam, że Toffi jest kopnięta! Już sam fakt, że pojechała za nami, a ja miałam udawać, że nic nie widzę i nie słyszę...

– Poczekaj, bo nie nadążam. O czym ty mówisz?

– No, jak to o czym? Nie pamiętasz, wtedy w Przemyślu? Chciała zrobić z ciebie wariata! Przecież to była ona! A ja miałam udawać, że nikogo nie widziałam.

– Boże... Jakoś tego nie ogarniam... Czekaj, do tej pory wszystko miało być tajemnicą, tak?

– Tak.

– A teraz tak zwyczajnie o wszystkim mi mówisz?

– Przeczytałaś dziennik do końca?

– Przeczytałam.

– No właśnie. Umowa obowiązywała tylko do tego czasu. Wiesz co? Daj mi już spokój! – zniecierpliwiała się.

– Czekaj! Jeszcze tylko jedno pytanie.

– Słucham – westchnęła z rezygnacją.

– Powiedz mi, czy ty tak bezinteresownie to wszystko dla niej robiłaś?

– Nie.

– A co miałaś w zamian?

– Adam, miało być tylko jedno pytanie – powiedziała na tyle stanowczo, że zamilkł. Przez chwilę panowała cisza, którą przerwała Olga.

– Wiesz, ja to zrobiłam nie dla niej, a dla siebie. Kiedyś może powiem ci, dlaczego.

Dzwonek do drzwi był ostry, natarczywy. Zadzwoił dwukrotnie i zamilkł.

– Toffi – westchnęła Olga i z miną cierpiętnicy poszła otworzyć.

– Cześć. Przyszedł już? – usłyszał Adam i poprawił się na krześle. Jej głos go elektryzował, onieśmielał, jak wszystko, co miało z nią związek. Może była kopnięta, jak określiła to Olga. Jego, Adama, po prostu fascynowała.

Weszła z wilgotnymi od deszczu włosami, opadającymi luźno na ramiona. Policzki miała zaróżowione od wiatru. Długa grzywka jak zwykle przysłaniała duże, brązowe oczy. Barwna tunika układała się miękko, podkreślając jej smukłą sylwetkę.

– Dobrze, że jesteś – rzuciła w przelocie, nie zauważając jego pełnego podziwu spojrzenia. – Spójrz, co przyniosłam! – Podała mu kartonową teczkę związaną białym sznureczkiem.

– Możesz najpierw wyjaśnić, dlaczego to spotkanie odbywa się u Olgi? – zapytał przytrzymując teczkę.

– Miałam wrażenie, że powinniście ze sobą porozmawiać. Czyż nie? – Uśmiechnęła się uroczo, na co Olga zareagowała wzruszeniem ramion.

– Z nas wszystkich to właśnie ty jesteś najbardziej tajemnicza – mruknęła.

– Olga, wszystkiego się dowiesz, tylko jeszcze nie teraz. Pewne rzeczy i dla mnie są niejasne.

– Dobrze, już dobrze. W gruncie rzeczy mnie to i tak nie dotyczy. – Olga ponownie zerknęła na zegarek, czego Toffi zdawała się nie zauważać.

– Skoro to Olgi nie dotyczy, nie ma potrzeby, byśmy zajmowali jej czas. Czy nie możemy przenieść się w inne miejsce? – Zreflektował się Adam.

– Możemy, jasne, że tak – zgodziła się Toffi i przeszła do przedpokoju. – Przepraszam Olga, nie pomyślałam – dodała wkładając nieprzemakalną kurtkę.

Wyszli na zalaną deszczem ulicę.

– Zaprosiłabym cię do ojca, ale akurat wyjechał – powiedziała naciągając kaptur na głowę. – Ja z kolei...

– Nie szkodzi, pójdziemy do mnie.

Adam otworzył parasol i z przyjemnością poczuł dłoń Toffi wsuwającą się pod jego ramię. Przez chwilę zastanowił się, czy nie powinien pójść okrężną drogą.

Kiedy przybyli na miejsce, Toffi uderzyła otwartą dłonią w czoło.

– Zapomniałam teczki! Zostawiłam ją u Olgi na szafce.

– I co teraz? – zapytał uśmiechając się Adam. Stwierdziwszy, że ona też ma jakieś przywary, stał się odważniejszy.

– Trudno. Pokażę ci innym razem. Wiesz co? Chodźmy na piwo!

W pubie był spory tłum. W powietrzu unosiły się smużki dymu. Wcisnęli się do kącika i zamówili dwa piwa. Przez pewien czas sączyli je w milczeniu, lustrując się wzrokiem.

– Toffi, wybacz, że będę pytał, ale nurtują mnie pewne niedomówienia.

Pokręciła przecząco głową na znak, że nie zamierza teraz mówić o tym, co go nurtuje.

– Toffi!

– Nie.

– Toffi...

– Mmmm?

– Śliczna jesteś, Toffi.

Dalsze losy bohaterów w kolejnych częściach:

„Obce matki”

„Burza przed ciszą”

